

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- O czym marzą młodszy od „Wyborczej”
- Pornografia na nowe czasy
- Bogaty jak rolnik • AI na polu walki
- Leki psychiatryczne: brać czy nie brać
- Z czego się śmieje młoda Ameryka



**WYSOKIE
OBCASY**
„Aborcja”
to nie jest
brzydkie słowo



Agnieszka Holland

CZŁOWIEK ROKU „GAZETY WYBORCZEJ”

FOT. RAFAŁ MASŁOW

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

ISSN 0860-908X
9 770860 908167

19>

**Koniec z patriotycznym
szantażem**
– zapowiada dyrektor
Muzeum II Wojny Światowej



**Samochód,
domek, wczasy**
O czym śnił
górnik w PRL

**Marzenie
zamachowca**
Piłsudski: Polska musi
być wszystkich

Adam
Michnik

Agnieszka odpowiedź pozostawia wizowi

W uznaniu dla artystycznych dokonań i obywatelskiej odwagi człowiekiem roku „Gazety Wyborczej” została mianowana Agnieszka Holland.

Agnieszka Holland talentem i wyobraźnią odpowiada na wyzwania naszego czasu. Te wyzwania, które odziedziczył nasz świat po truciznach systemów totalitarnych niezależnie od barw i sztandarów, czarnych, bądź czerwonych.

Agnieszka Holland skłania do namysłu nad logiką nazizmu i bolszewizmu, czym daje świadectwo nowej żywotności polskiej szkoły filmowej, sprzeciw truciznom dyktatur, nietolerancji i kłamstwa. Agnieszka tworzy świat spragniony wolności i prawdy, otwartości i tolerancji. To świat trudnego humanizmu w trudnych czasach.

Agnieszka stawia pytania i diagnozy, ale nigdy nie udziela odpowiedzi definitywnej. Odpowiedź pozostawia widzowi. Zaprasza w ten sposób do namysłu i rozmowy. Łączy w swoich dziełach artystyczną wybitność i ludzką przyzwoitość. Wydobywa na światło problemy publiczne, przed którymi staje każdy z nas. Agnieszka wciąż tworzy dzieło, na które warto czekać. ●

Andrzej rysuje



Bez granic Chłódnik łączy kraje



Po obu stronach portalu Wilno-Lublin ustawiono stoły i urządzono biesiadę przy „najdłuższym stole na świecie” – miasta dzieli 650 kilometrów. Głównym daniem był chłódnik litewski.

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Patrz w górę



Eta Akwarydy pojawiają się przed brzaskiem. Ten rój meteorów ma szczyt aktywności w pierwszej połowie maja. Warunki do obserwacji mogą być teraz świetne. Niebo nad Polską się wypogadza, a Księżyc nie oślepia, bo jest w nowiu

Porozumienie międzygatunkowe Alfabet wielorybów

Klikanie kaszalotów przypomina złożonością ludzką mowę. Taki wniosek naukowcy formułują w najnowszym wydaniu pisma „Nature Communications”.

Z dotychczasowych badań wynika, że coraz bardziej skomplikowany obraz życia społecznego różnych gatunków waleni, do których należą wieloryby, delfiny i morświny.

Naukowcy odkryli m.in., że orki przechodzą menopauzę i że posiadanie babci zwiększa prawdopodobieństwo przeżycia orczych wnucząt. Dowiedli też, że niektóre delfiny wyczuwają pole elektryczne. A różne gatunki wielorybów mają tak rozbudowany repertuar pieśni, że należy dokładniej zbadać ich możli-



wości komunikacji głosowej. To wyzwanie podjęli uczeni z Dominiki, Kanady i USA.

Zajęli się kaszalotami, największymi drapieżnikami wyposażonymi w zęby. Samce mają kilkanaście metrów długości i ważą kilkadziesiąt ton. Polując na swoje ulubione kałamarnice, potrafią nurkować nawet na głębokość blisko dwóch kilometrów. Słyną też ze swojej mowy – a ich klikanie przypomina trochę mlaski najstarszych ludzkich języków. Lata temu badacze odkryli, że kaszaloty klikają w... dia-

lektach. Jak piszą autorzy publikacji, jego złożoność (zbiór różnych, odmiennie modulowanych klików) komplikacją mocno przypomina ludzką mowę. Podali analizie nagrania kliknięć 60 kaszalotów należących do klanu żyjącego we wschodniej części Morza Karaibskiego. Dzięki temu opracowali alfabet, którym posługują się żyjące w nim wieloryby. Oczywiście, do zrozumienia znaczeń poszczególnych wyrazów i zdań wyklikiwanych przez kaszaloty jeszcze daleko. ●

Tomasz Ulanowski

W poniedziałek „Duży Format”

Ukraińscy maturzyści. „Dziady” całe przeczytałem

Na początku ciągle mylił mi się iloraz z iloczynem. Nie byłem pewien czy dobrze rozumiem zadanie z matematyki. Myliłem też przeszłość i przyszłość. Potrzebowałem dwa lata, żeby się zaadaptować.

Reportaż Aleksandry Szyłło



Schuman nie był kolegą Kaczyńskiego

Unia z pokory wobec Boga

Jak Europa, jakiej chce Kaczyński, poradziłaby sobie z Putinem, Xi, suszami, powodziami, wirusami i kryzysem migracyjnym

Wielński



Antyeuropejska wolta Jarosława Kaczyńskiego oburza i dziwi. Bo trudno pojąć, jak polityk, który 17 lat temu po długich telefonicznych targach z niemiecką kanclerz Angelą Merkel pogodził się z zapisami traktatu lizbońskiego (a jego brat prezydent Lech Kaczyński traktat po półrocznym wahaniu go ratyfikował), może z kamienną twarzą twierdzić, że rozwiązania, na które sam przystał, mają doprowadzić do narodowej katastrofy. Że Unia Europejska, po anihilacji polskiego narodu i przymusowej zmianie diety z mięsnej na robaczaną, pozbawi Polskę zapasów złota, a to, co zostanie z kraju, zamieni w niemieckie wysypisko śmieci.

W 2015 r. politycy PiS oburzali się, gdy nazywało się ich eurosceptykami. Zanim prezydent Andrzej Duda zaczął mówić o „wymagowanej wspólnoty” i „baju baju dla frajerów”, piśmowski szef MSZ Witold Waszczykowski w pierwszym sejmowym exposé sugerował, że Unię jedynie trzeba naprawić. Z taką tezą zgodziłoby się wielu polityków ówczesnego głównego nurtu w Europie. Tymczasem w ostatnim czasie Unia stała się dla polityków PiS większym zagrożeniem niż Rosja, okupantem na wzór III Rzeszy lub ZSRR.

Jak tłumaczyć tę ewolucję, a w zasadzie radykalizację? Zdradą europejskich ideałów. – Dzisiejsza Unia Europejska różni się nie tylko od projektu zawartego w wizji unijnych ojców założycieli, ale także od tej, do której weszliśmy 1 maja 2004 roku – tłumaczył niedawno Kaczyński. W tym kontekście wejścia przez UE na złą drogę często pada nazwisko Roberta Schumana, szefa francuskiej dyplomacji, współtwórcy Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, organizacji uznawanej za protoplastę Unii Europejskiej.

Instytucję, która miała poddać koor-dynacji wydobycie węgla i produkcję stali, stworzyły odwieczni wrogowie – Francja i Niemcy – wraz z Belgią, Holandią Luksemburgiem i Włochami. Pomysł ogłoszony przez Schumana w specjalnej deklaracji 9 maja 1950 r. (w rocznicę tego wydarzenia obchodzimy Święto Europy) zakładał, że wspólna kontrola nad produkcją i wydobyciem strategicznych materiałów zażegna ryzyko wybuchu kolejnej wojny. W zachodniej Europie zapanała wreszcie pokój, co faktycznie się stało.

Fascynacja PiS Schumanem nie wynika jednak z jego pacyfistycznych pobudek, a z innych przekonań. Schuman był praktykującym katolikiem i działaczem katolickich organizacji, nie krył się ze swoją wiarą, czerpał z niej inspirację jako polityk, działacz francuskiego ruchu oporu i w końcu pionier jednoczenia Europy.



• Robert Schuman podpisuje Konwencję Praw Człowieka w Parlamencie Europejskim, 1950 r. FOT. EUROPEAN PARLIAMENT

Czytam publikacje o Schumanie na stronach francuskiego episkopatu. Wylania się z nich obraz wybitnego humanisty, demokracji, człowieka, którego nie napędzają ambicje, a pokora wobec Boga i wola służby ludziom. Jego największą zasługą było promowanie pojednania i współpracy między zwaśnionymi krajami Europy. Trzy lata temu papież Franciszek uznał heroizm zmarłego w 1963 r. cnót i nadał mu tytuł Czcigodnego Sługi Bożego. To wstęp do beatyfikacji i być może kanonizacji polityka.

Czytam publikacje polskie publikacje o Schumanie na pewnym portalu hojnie sponsorowanym przez znajdujący się w gestii ludzi Zbigniewa Ziobry Fundusz Sprawiedliwości. Dowiaduję się, że Schuman próbował realizować „chrześcijańskie ideały w praktyce, organizować życie społeczności, by nie było one w sprzeczności z nauczaniem Kościoła”, gdyż rozumiał, że „kontynent założono na Jezusie Chrystusie” i że „ta wielka tradycja wzmacnia Europejczyków”. Dziś takie przekonania są w Brukseli „nie do pomyślenia, bo chrześcijaństwo uważa się tam za problem, a nie za ścieżkę, którą warto podążać”.

I jeszcze jedna ciekawa myśl: „Łączenie Schumana z obecnym kształtem Unii Europejskiej jest podstępem. Używa się go jako listka figowego, aby uwiarygodnić UE dla europejskich katolików”. Najwyraźniej francuscy duchowni, rodacy Schumana, znają go gorzej niż jego apologety z PiS.

Argumentacja polskiej populistycznej prawicy, że Schuman gardziłby dzisiejszą Unią, jest tak samo racjonalna, jak przekonywanie, że Józef Piłsudski miałby problem z zaakceptowaniem współczesnej Polski. Wpisywanie w dzisiejszą rzeczywistość historycznych postaci, konfrontowanie ich poglądów z problemami, które za ich życia nie istniały, jest niepoważne. Leczyć w propagandzie PiS trwa w najlepsze.

Bo katolik Schuman, przyszedł europejski święty, kontrastuje z współczesnymi unijnymi politykami, którzy

■ **Wpisywanie w dzisiejszą rzeczywistość historycznych postaci, konfrontowanie ich poglądów z problemami, które za ich życia nie istniały, jest niepoważne. Ale w propagandzie PiS trwa w najlepsze**

do religii mają często bardzo chłodny stosunek. Unia Europejska to złożony system prawny, ekosystem instytucji europejskich i krajowych, jej działanie dotyczy praktycznie każdej sfery naszego życia. PiS wybiera z tej maza kilka kamyczków: aborcję, robaiki, samochody elektryczne – i nakręca ataki na ideę wspólnoty. A na sztafardzie trzyma swoje wyobrażenie prawie świętego polityka...

Schumann był chadekiem, tak jak inni ojcowie założyciele Zjednoczonej Europy: niemiecki kanclerz Konrad Adenauer czy włoski premier Alcide De Gasperi. Chrześcijańscy Demokraci istnieją do dzisiaj i mają się dobrze, odbieranie członkom wielkiej frakcji w Parlamencie Europejskim prawa do chrześcijańskich korzeni jest poważnym nadużyciem. PiS nie ma z tym problemu, bo od 2009 r. nie należy do europarlamentarnej chadecji. Czy można jednak na poważnie mówić, że politycy z pierwszej połowy XX wieku byli lepszymi chrześcijanami niż ich współcześni odpowiednicy? Czy można też zakładać, że nie chcieli, by kraje Europa były w stanie wspólnie stawiać czoła zagrożeniom? Gdy powstawała Wspólnota Węgla i Stali, nad zachodnią Europą wisiała groźba powtórki z 1918 roku. Upokorzone Niemcy znowu odzyskują dawną siłę i będą chciały wziąć na sąsiadach odwet.

A gdyby przyszło im zmierzyć się z wyzwaniem z ostatnich 10 lat? Globalnym kryzysem, pandemią, kryzysem migracyjnym, napaścią Rosji na Ukrainę? Pospekulujmy.

• Jarosław Kaczyński, a za nim chór potakiwaczy, twierdzi, że w 2004 r. wstępowaliśmy do innej Unii. To prawda. Unia funkcjonowała wówczas na podstawie wynegocjowanego w 2001 r. traktatu z Nicei. Gdy na szczycie we francuskiej śródziemnomorskiej metropolii trwały burzliwe targi o siłę polskich głosów w radzie UE (rzekomo z powodu błędu maszynistki liczbę głosów przyznanych Polsce zmniejszono z 27 do 26, sprawę udało się odkręcić), było jasne, że na podstawie tego dokumentu wspólnota nie będzie w stanie stawiać czoła globalnym problemom. W 2004 r. w Rzymie podpisano Konstytucję dla Europy, ale projekt odrzuciły w referendum Francja i Holandia. Uzgodnienia, w okrojonej wersji – tak by pozbyć się wrażeń, że Europa miałaby mieć atrybuty państwa – weszły w życie jako traktat lizboński.

Gdyby nie ta zmiana, nie byłoby podstaw, by Unia Europejska angażowała się w chronienie granic zewnętrznych. By zajmowała się – choć robi to ciągle dość niezdarnie – polityką zagraniczną. By finansowała zakupy uzbrojenia dla Ukrainy, by wzmacniała europejską obronność.

W pandemii bez tak działającej wspólnoty też byłibyśmy zdani sami na siebie. Dostawy szczepionek na koronawirusa każdy kraj musiałby wynegocjować samemu, bogate państwa dostałyby je jako pierwsze.

No i nie byłoby pieniędzy z KPO. Unia Europejska nie mogłaby jako wspólnota zaciągnąć długu.

PiS od dłuższego czasu powtarza, że Unia powinna wrócić do czasów wspólnoty państw, które prowadziły między sobą wolny handel. Taki demontaż UE oznaczałby np. ograniczenie roli zniechęconych na Nowogrodzkiej instytucji unijnych. Komisarze nie mogliby interweniować w sprawie łamania praworządności, Europa nie miałaby jak bronić przed represjami mediów czy mniejszości.

Ale czy taka Unia w świecie, gdy Rosja próbuje odbudować swoje imperium, nie wahać się przed zbrodnią, gdy trwa globalna ekspansja Chin, a więzy z USA wystawiane są na ciężką próbę, miałaby sens? Czy luźna wspólnota narodów byłaby w stanie bronić się przed skutkami zmian klimatu i niekontrolowaną migracją? Czy pozostałaby gospodarczą siłą, miejscem, gdzie powstają nowe technologie, wielkim rynkiem?

• PiS twierdzi, że Schuman był przeciwnikiem utworzenia europejskiego super-państwa. Tyle, że o jego utworzeniu w zasadzie mówi tylko prezes PiS, strasząc Niemcami, którzy mają budować kolejną wersję Rzeszy.

Schuman zaś – z tego, co o nim wiemy – był chrześcijaństwo rozumiał jako demokrację, tolerancję, humanizm. Nienawistne nagonki polityków PiS na wszelkich przeciwników nie mają nic wspólnego z jego dziedzictwem. ● **Bartosz T. Wielński**

CZŁOWIEK ROKU „GAZETY WYBORCZEJ”

Niech Agnieszka się nie zmienia

JAROSŁAW KURSKI



• Wrzesień 1978 r.,
Agnieszka Holland
niedługo po premierze
„Aktorów
prowincjonalnych”
FOT. PAP/CAF/STEFAN KRASZEWSKI

Jest weredyczką, a z weredykami ten kłopot, że walą między oczy – co im się podoba, a co nie.

„Przed aresztowaniem było pół roku, a może nawet dłużej, wzbierającego napięcia – kiedy mnie przesłuchiwali, śledzili i kiedy bałam się, że mnie zamkną. A gdy już mnie zamknęli, wzięli mnie pod prysznic, dali za duże brązowe dresy i znalazłam się w obrzydliwej celi w podziemiach, nagle poczułam wolność. Pomyślałam sobie, co oni mogą mi zrobić? Nie mogą mnie wsadzić do więzienia, jestem w nim. I to ciągle jestem ja”.

Agnieszka Holland o aresztowaniu w Czechosłowacji w 1969 r. - w podkaście „Własny pokój” Katarzyny Kubisiowskiej z „Tygodnika Powszechnego”.

•
„Człowiek Roku Gazety Wyborczej” dla Agnieszki Holland jest wyróżnieniem dla nonkonformistycznej obywatelki i zaangażowanej demokratki. Dopiero w drugiej kolejności dla artystki. Tak się jednak składa, że jej obywatelski nonkonformizm i demokratyczne zaangażowanie splata się i wyraża poprzez jej filmy. Ostatni: „Zielona granica” – film krzyk, film świadectwo, ściągnął na nią — nawet jak na PiS-owskie standardy — niewyobrażalną falę hejtu.

Była „Goebbelsem”, „Hitlerem”, „Leni Riefenstahl”, „obrażała polski naród”, „lżyła polski mundur”. Ziobro napisał: „W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają do tego Agnieszkę Holland”

Reżyserka twierdzi, że to jej nie dotyczyło, że „nie byli to ludzie, którzy byliby w stanie jej dotknąć”. Ale ja jej nie wierzę. Zmasowana, skoordynowana i upaństwowiona nienawiść, ataki w publicznym radiu i telewizji, w internecie, płynące z ust wysokich urzędników państwowych — Dudy, Morawieckiego, Kaczyńskiego, Glińskiego czy Błaszczaka — nadają im charakter oficjalnego stanowiska partii, władzy i państwa wreszcie. Skąd my to znamy? Z Marca '68 znamy, z PRL-u znamy.

Towarzysze z PiS nienawidzili jej równie gorąco jak towarzysze z PZPR. Kto nie potępił „Zielonej granicy”, przestawał być Polakiem, a był niemieckim kolaborantem, bo film powstał „na zlecenie Berlina”, bo przecież „tylko świnię siedzą w kinie”.

Przypominam te groteskowe obelgi, bośmy już o nich zapomnieli albo chcemy zapomnieć. A wszystko to działo się niespełna rok temu. Wcześniej, po podobnej upaństwowionej nagonce, zamordowano Pawła Adamowicza, Iżono Donalda Tuska, rodzinę Brejzów, Marka Saffjana, Martę Lempart... Zatrzymam się, bo wymieniać można bez końca. Nikt więc już nie dyskutował z tym, czy Holland potrzebna jest ochrona osobista.

Kim jest reżyserka, której w równym stopniu nienawidzi czerwona i brunatna władza?

Matka chrzestna pokolenia

Agnieszki w zasadzie bliżej towarzysko nie poznałem, choć jesteśmy na „ty”. Przez ostatnie osiem lat rządów PiS wytworzyła się między nami zażyłość ludzi sprzeciwu, ludzi, którzy od początku i bez wątpliwości rozpoznali naturę PiS-owskiej władzy i którzy wiedzieli, że wobec zamachu na demokrację i Europę nie wolno pozostawać obojętnym. Agnieszka nigdy nie odmawiała wystąpień, przemówień na wiecach, podpisów pod listami protestacyjnymi, obecności tam, gdzie była potrzebna, także na naszych łamach.

Dlaczego? – Bo mam poczucie odpowiedzialności za to, co się wokół mnie dzieje, bo bardzo mnie ciekawi *homo politicus* – odpowiada. – To część mojej osobowości. Wolność jest dla mnie czymś bardzo istotnym. Także wolność innych ludzi polegająca na akceptacji ich odmienności.

Ta wolność ma i rewers – jest weredyczką, a z weredykami ten jest kłopot, że walą między oczy – co im się podoba i co im się nie podoba. Przywołaję władzy, ale i tzw. swoim. Nie każdy to lubi, nie każdy to unosi. Potrafiła dzwonić z pretensjami do „Wyborczej”, krytykować nasze decyzje redakcyjne, upominać się o rzekomo cenzurowanych przez nas autorów, w ogóle się mądrzyć na temat linii redakcyjnej gazety, jakby było oczywiste, że jej wybitna wiedza i filmowa intuicja dotyczy też tego, jak się robi gazetę. Jest więc Holland osobą całkowicie niezależną, nieuginającą się pod brzemieniem towarzyskiego konwenansu. Inni muszą umieć sobie z tym radzić.

Myślę zatem, że tak jak w życiu, tak i na planie ma dużą pewność siebie, przekonanie o słuszno-

ści swego postępowania. Mówią o niej, że jest matką chrzestną pokolenia polskich filmowców, reżyserką, która „nosi spodnie”. Obdarzona naturalną charyzmą i autorytetem przywódcy. Niskiego wzrostu, niepozorna, ale uważnie słuchana.

Trudno jej kino gatunkowo zakwalifikować. Uważa się, że to kino moralnego niepokoju pomieszczone z poetyką czeskiej Nowej Fali. Zależnie oczywiście od obrazu, oscyluje w przestrzeni gdzieś między kinem swoich mistrzów i przyjaciół: Andrzeja Wajdy, Krzysztofa Kieślowskiego i Edwarda Bernsteina-Żebrowskiego – autora uniwersalnego arcydzieła „Szpital przemienienia”.

Jak sama mówi, niemal wszystkie jej filmy są o człowieku, a nie o mechanizmach historii czy polityki. To opowieści o ludziach, którymi historia się bawi, o pionkach rzuconych na szachownicę. To wiza ludzi w pułapce, którzy próbują nadać sens swemu istnieniu. Ci, którzy dostrzegają podobieństwo twórczości Holland do prozy Kundery, nazywają to „pułapką kunderowską”. To podobieństwo nie jest przypadkowe. Holland poznała osobiście Milana Kunderę, a w latach 80. przetłumaczyła na polski jego „Nieznosną lekkość bytu”.

Lepi więc Holland swych bohaterów prawdziwie, bez patosu heroizacji. Przez mały, pojedynczy los Holland opowiada wielką historię, co w szczególności widać w „Kobiecie samotnej”, w „Europie, Europie”, „Gorejącym krzewie”, w „Obywatelu Jonesie” czy „Szarlatanie”.

Nie jestem krytykiem filmowym. Widzę jedynie. Ale skoro jej publiczne zaangażowanie wyraża się przez film, powróciłem do jej filmów. Tych, które mnie kształtowały i które wywarły na mnie największe wrażenie. Będzie to więc subiektywna retrospek-

Agnieszka Holland: Mam poczucie odpowiedzialności za to, co się wokół mnie dzieje, i bardzo mnie ciekawi *homo politicus*

tywa, osobista opowieść o Agnieszce Holland, taką ją czytam, jak widzę i jak czuję w splocie między tym, co sztuką a tym, co życiem.

Córka komunisty, który przestał wierzyć

Zadaję sobie pytanie, w jakim stopniu zaciążyła na niej śmierć ojca Henryka Hollanda. Agnieszka miała wtedy 13 lat. O tragedii dowiedziała się z prasy, z nekrologu, na szkolnym feryjnym wyjeździe. Usłyszała od koleżanki: – „Zobacz, Agnieszka, czy ten Holland to aby nie jest jakiś twój praszczur?”.

Gdy miała lat 11, rodzice się rozwiedli i właściwie dopiero wówczas ona i jej młodsza siostra zyskały poczucie, że ojciec się nimi interesuje. Dwa lata to jednak zbyt krótko, by powierzchowna relacja ojca z córkami zmieniła się w relację głębszą. Tak przynajmniej twierdzi sama reżyserka. O prawdziwych powodach tragedii Agnieszka dowie się od matki dopiero na studiach i dopiero wówczas po raz pierwszy odwiedzi grób ojca.

Henryk Holland został aresztowany 21 grudnia 1961 r., wyskoczył przez okno swego mieszkania na szóstym piętrze podczas przeszukania przez Służbę Bezpieczeństwa.

Był Żydem, jednak idee syjonizmu porzucił już we wczesnej młodości i przystąpił do komunistów. Wojnę spędził w Związku Radzieckim, dzięki czemu ocalał. Cała jego rodzina z wyjątkiem siostry zginęła w Holokauście. Pozostawiło to w nim traumę, z której nigdy się nie otrząsnął. Tym też, jak sądzę, objaśniać trzeba jego gorliwy komunizm w stalinowskiej wersji. Oto jest ustrój społecznej sprawiedliwości, gdzie nie ma „Greczyna ani Żyda”, gdzie wszyscy są równi. Do Polski powrócił wraz z Armią Berlinga.

Był jednym z ośmiu studentów, członków PZPR, którzy w marcu 1950 wystąpili z listem otwartym atakującym prof. Władysława Tatarkiewicza, co mogło przyczynić się do odsunięcia filozofa od prowadzenia zajęć na uczelni. W polemikach z przedstawicielami Lwowsko-Warszawskiej Szkoły Filozoficznej Holland zarzucał im skrajny obskurantyzm, fideizm i klerykalizm. Później pracował jako publicysta ideologiczny „Trybuny Ludu”.

Referat Chrzczczowa uświadomił mu, że komunizm okazał się nie tylko zwykłą utopią. Okazał się

utopią zbrodniczą. Od tej pory zaliczał się już do awangardy, ale rewizjonistów. Poparł Gomułkę, domagał się jego rehabilitacji, tak jak i wszystkich niesłusznie skazanych w procesach stalinowskich, krytykował partyjny beton. I gdy dość szybko nastąpił gomułkowski odwrót od idei Października — przypłacił to aresztowaniem. Został oskarżony o szpiegostwo polegające na przekazaniu warszawskiemu korespondentowi „Le Monde” tajnych materiałów o okoliczności śmierci Berii i Stalina. Materiał szybko ukazał się na Zachodzie, ale Hollanda kosztowało to życie.

Czego młodą Polkę nauczyła Praga?

Agnieszka odziedziczyła zatem ciężki rodzinny bagaż. Z jednej strony ojciec z „żydokomuny”, co wytyka jej do dzisiaj antysemicka prawica, a z drugiej rewizjonista doprowadzony przez komunistów do desperackiej śmierci. To nazwisko było spalone – przynajmniej w łódzkiej Filmówce mocno kontrolowanej przez przedmarcowe komunistyczne władze. Holland więc nawet nie próbowała pójść drogą Polańskiego, Munka, Skolimowskiego, Zanussiego.

Ciągnęło ją za granicę. Zamiast do Łodzi złożyła więc papiery do praskiej szkoły filmowej, gdzie zawiodła ją młodzięcza fascynacja Franzem Kafką. Fascynacja zwiędzona zresztą teraz właśnie kręconym w Pradze filmem o autorze „Zamku” i „Procesu”. O ile wtedy w Polsce wzbierała nacjonalistyczna, moczarowska fala, o tyle w Pradze triumfowała czeska Nowa Fala. Był Forman, Němec, Chytilová. To poszerzyło horyzonty, dawało oddech. Atmosfera w szkole była playboyowata, a Praga była zdemokratyzowanym, egalitarnym miejscem, w którym czuć było klimat wolności.

Holland wrosła w nowy kraj, a Czechy stały się jej drugą tożsamością. Jak mówiła portalowi Culture.pl: „Czechy są blisko, a jednocześnie są bardzo od Polski różne. Spędziłam tam pięć najbardziej formatywnych lat mojego życia. Ten czas zmienił moje spojrzenie na Polskę bardziej aniżeli późniejsza emigracja”.

Oglądając jej „Gorejący krzew” o Janie Palachu, czeskim studencie, który dokonał desperackiego aktu samospalenia w proteście przeciw zdławieniu Praskiej Wiosny i społecznej konformizacji — widzimy to szczególnie mocno. Ten film – dzięki osobistemu doświadczeniu reżyserki, choć jest fabułą, ma moc dokumentu.

Zadaję sobie pytanie, jak dalece tragiczna śmierć ojca wpłynęła na stosunek Agnieszki w ogóle do politycznego samobójstwa i politycznych samobójców w rozumieniu francuskiego socjologa Émile’a Durkheima „samobójstw altruistycznych”, czyli tych dokonanych w imię lub na rzecz wspólnoty, w imię jakiejś ważnej publicznej sprawy. Śmierć jej ojca była raczej aktem osobistej rozpacz, ale śmierć Palacha i jego naśladowców — ucznia Jana Zajícę i Evžena Ploceka, Węgra Sándora Bauera była śmiercią altruistyczną. Podobnie śmierć Ryszarda Siwca – urzędnika z Przemyśla, który we wrześniu 1968 r. podpalił się podczas uroczystości dożynkowych na Stadionie X-lecia, w proteście wobec sowieckiej interwencji w Czechosłowacji. „Usłyszcie mój krzyk!” – apelował w ostatnim nagraniu i choć na stadionie były dziesiątki tysięcy osób, jego krzyku nie usłyszał nikt. Podpalali się też buddyjscy mnisi w Południowym Wietnamie i w Tybecie. Był wreszcie Piotr Szczęsny, który dokonał samospalenia w proteście wobec antydemokratycznych rządów PiS.

Ona zawsze słyszy krzyk

To właśnie przy sprawie Piotra Szczęsnego szczególnie zaimponowała mi Agnieszka Holland. Gdy ktoś popelnia polityczne samobójstwo, zaraz odzywa się chór, że to na pewno „wariat”, żeby o tym nie pisać, bo to skłania do naśladownictwa, do heroizacji i romantyzowania śmierci. Pojawiają się tuziny specjalistów od „efektu Wertera”. Konformizm podpowiada, by głosu nie zabierać. Agnieszka zabrała.

Pisała: „Umarł człowiek. Wspaniały, odważny, szlachetny. Chciał nam powiedzieć coś bardzo ważnego. Od nas zależy, czy usłyszymy. Zasługuje na naszą uwagę i pamięć. (...) namawiam wszystkich, których serca i umysły poruszył, by poszli na miejsce jego czynu, by oddać mu cześć”.

W OKO.press natychmiast zamieściła żarliwy tekst, który nawet dzisiaj czyta się z przejęciem. Piotr Szczęśny jeszcze żył, ale nikt nie wiedział, kim jest. Wybrałem najważniejsze fragmenty:

„Trudno mi zrozumieć, jakim prawem znana publicystka »Wyborczej« i inni liberalni specjaliści od wszystkiego, wspólnie z policją i państwową propagandą nawołują do przemilczania czynu tego Człowieka i twierdzą, że nie był to czyn polityczny. Jeśli taki akt, tak uzasadniony i wykonany, nie jest aktem politycznym, to co nim jest?” [...] „Stawianie go w jednym szeregu z »typowymi« samobójstwami wynika — w moim przekonaniu — z moralnego i życiowego wygodnictwa. Lepiej uznać Tego Pana za nieszczęsnego wariata, ofiarę depresji, ci-szej wokół niego, bo psychiatrzy i psychologowie przecież mówią, żeby nie nagleśniać samobójstw, że to przesada i normalny człowiek by się tak nie zachował. [...] Nie bardzo rozumiem, dlaczego wolne jeszcze media minimalizują to zdarzenie i okupiony cierpieniem autora apel. Wygląda to na wygodne tłumaczenie własnej bezradności. Media wszak mają informować, a nie wychowywać i rozstrzygać, do czego ludzie dojrzeliby, a czego lepiej im zaoszczędzić. [...] W naszej historii beznadziejnych powstań i straceńczych zrywów mamy tradycję poświęceń dla ogółu. Czy to byli wariaci? Czy bohaterowie?

Śmierć przez ogień to nie tylko tradycja mnichów buddyjskich, to również dzieje Świętej Inkwizycji i palenia na stosach tych, którzy widzieli więcej, dalej i mieli więcej odwagi (Czarownice! Jan Hus!). Ogień niszczy, ale też oświeca. Jak gniew. [...] Poważne potraktowanie tego samospalenia stawia nas przed wyzwaniem, koniecznością podjęcia jakichś realnych działań. Uświadomiamy nam, że TO nie minie samo, że jeśli NAPRAWDĘ wierzymy w wartości, które głosimy, musimy o nie NAPRAWDĘ walczyć, a nie tylko zadowalać się »lajkowaniem« czy »szerowaniem« w mediach społecznościowych.”

I wreszcie pisze Holland: „Są ludzie wrażliwi niż inni. Ludzie, którzy widzą i czują głębiej. Ludzie, którzy mają w sobie specjalny, rzadki gen odwagi i sprawiedliwości”.

Mnie też trapi tajemnica, skąd w ludziach bierze się dysydencka odwaga. Dysydencka, to znaczy taka odwaga, która każe iść samemu przeciw władzy, iść samemu przeciw większości, ale też iść nawet przeciw swoim — najbliższym przyjaciołom, nawet rodzinie, jeśli ma się takie przekonanie. Dlaczego ludzie walczą o innych i o wspólnotę, ryzykując własne bezpieczeństwo? Holland tłumaczy to obecnością „genu sprawiedliwości lub genu wolności”, tym, że „ci ludzie po prostu go mają. Nawet jeśli próbują z nim walczyć, to on okazuje się silniejszy”. To wiele tłumaczy, ale czy wszystko?

Herosi nieheroiczni

Nie byłoby tak klarownego moralnie stanowiska Holland w sprawie Piotra Szczęsnego, gdyby nie samospalenie Jana Palacha, które przeżyła jako praska studentka, a później jako artystka opowiedziała o tym współczesnym Czechom.

Palach studiował historię, Holland była na akademii filmowej. Brała udział w strajkach i manifestacjach, potem sama spędziła sześć tygodni w więzieniu w związku ze sprawą Taterników (powieiała i kolportowała przerzucane przez granice nielegalne publikacje paryskiej „Kultury”). „Gorejący krzew” był więc i o niej, o tym, co sama przeżyła i co sama widziała. Film Polki dla Czechów w konwencji zgola niehrabawolskiej i niehaszkowskiej — tragicznej, ale nie patetycznej.,



• **Z Krzysztofem Kieślowskim w 1979 r. podczas VI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych** FOT. PAP/STEFAN KRASZEWSKI

• **Za kamerą podczas kręcenia w 1989 r. w Łodzi filmu „Salomon”** FOT. PAP/ANDRZEJ ZBRANIECKI

• **Festiwal w Cannes w 1990 r., na lewo od Agnieszki: Andrzej Żuławski i Andrzej Wajda, na prawo: Roman Polański, Ryszard Bugajski i Krzysztof Kieślowski.** FOT. GETTY IMAGES/MICHELINE PELLETIER



Jest w opowieści Holland o Palachu empatia dla jego czynu. Nie afirmacja — bo jak widzimy, to czyn z jednej strony altruistyczny, ale wobec najbliższych — cierpiącej matki czy brata — to czyn egoistyczny. Holland jednak jakby dotknęła tej tajemniczej siły, która mimo brutalnych prób wymazania Palacha ze zbiorowej pamięci jest żywotnym ziarnem wolności, które wyrasta w 20. rocznicę tragedii i staje się zaczynem nowej, tym razem zwycięskiej Aksamitnej Rewolucji. Holland rozumie, że jest w tych czynach rodzaj mistycznego poświęcenia, które nie pozwala milczeć. Trzeba usłyszeć ten krzyk, by ofiary nie pogrzać po raz wtóry.

„Gorejący krzew” mnie zachwycił, bo jest, jak wszystkie filmy Holland, historią nieheroiczną. To nie była opowieść o bohaterskim Palachu i okolicznościach, które doprowadziły do desperackiego czynu (Czesi to nie Polacy, nie leczą kompleksów filmową produkcją nadętego narodowego ego, bo kompleksów raczej nie mają). To opowieść o umieraniu nadziei, o marności natury ludzkiej, o samotności matki, która najpierw traci syna, potem społeczną pamięć o nim, a na końcu władze odbierają jej jego grób — bo nawet ten bezbronny symbol jest dla komunistów zagrożeniem.

W pierwszym odcinku kipi więc wolność, jest zbuntowana młodzież, są strajki, manifestacje. W ostatnim pozostali już tylko wszechobecni tajniacy, kanalie i tchórze, jest sąd na smyczy władzy, strach i niemoc.

Po obejrzeniu „Gorejącego krzewu” zrozumiałem, jak silne musiały być dla niej podobieństwa postaw ludzkich w rzuconej na kolana Czechosłowacji roku 1969, a naszym polskim „urządzaniem się w d...” w czasach PiS. Dlatego właśnie zarówno Palach, jak i Szczęśny chcieli potrząsnąć ludzkimi sumieniami.

Obserwowałem Agnieszkę Holland w czasach PiS-owskiej smuty. Rozumiała, że powinnością artysty jest też dawać świadectwo w życiu publicznym, gdy zagrożona jest wolność i prawa człowieka, i była w tym bezkompromisowa. Oczywiście można powiedzieć, że jej status reżyserki o międzynarodowym uznaniu dawał jej większe możliwości artykulacji swoich poglądów i większą niezależność niż przeciętnemu obywatelowi. To prawda, ale nie wszyscy jej kole-dzy i koleżanki o podobnej co ona pozycji artystycznej tak czynili. A ona tak.

Bohaterowie przegranej sprawy

Ciekawe, w jakim stopniu zdławienie Praskiej Wiosny odarło Agnieszkę Holland z euforii karnawału Solidarności, której najgłępszym chyba wyrazem było powtarzane z ust do ust pyszałkowane zawołanie Andrzeja Rozpłochowskiego z Huty Katowice, że „jak Solidarność walnie pięścią w stół, to kuranty na Kremlu zagrają Mazurka Dąbrowskiego”. Gdy Andrzej Wajda kręcił „Człowieka z żelaza”, obraz sierpniowej rewolucji *in statu nascendi*, pomnikowy paradokument z jaskrawo zarysowanym dobrem i złem oraz rozdаныmi racjami moralnymi — Holland nakręciła dwa filmy, które szły na zderzenie z panującymi nastrojami.

„Gorączka” według powieści Andrzeja Struga „Dzieje jednego pocisku” wieszczyła klęskę rewolucji. Wszystko tonie tam w daremności działań, a idealizm młodych zderza się z jakąś niemocą, nieporadnością i potęgą carskiego despotyzmu. Na dodatek to, co wydaje się słuszne i czyste, staje się niejednoznaczne i samo staje się źródłem cierpienia, przemocy i zła.

Przywódca PPS-owskiej grupy bojowej jest narcystycznym idealistą realizującym swe cele w sposób bezwzględny, cyniczny i szafując życiem swoich podwładnych. Rewolucja oznacza ślepy terror i niewinne ofiary — bo cel uświęca środki.

„Gorączka” to opowieść o rewolucji 1905 r. w Królestwie Polskim, a właściwie o jej desperackim końcu. Akcja wędruje wraz z przedmiotem. Jest nim bomba zrobiona w komórce bojowej PPS, która wie-dzie nas po zakamarkach podziemnych lo-kali, ciemnych skrytkach, do tajnych ze-brań, bezowocnych narad, przez robotnicze

strajki i nieszczęsne próby zamachu na gubernatora, aż po prowokacje, cyrkuly, szpicli i cele śmierci.

Nieszczęsna bomba przekazywana z rąk do rąk trafia do niebojącego się o nic i niczego anarchisty, który jako jedyny doprowadza swój plan do końca. Ciska bombę w samo serce systemu opresji, między obradujących oficerów carskiej Ochrony i ... bomba nie wybucha. Film kończy eksplozja wrzuconego do rzeki pocisku zdetonowanego przez rosyjskich saperów.

To film o gasnącej rewolucji, o tym, jak ludzie łatwo rozstają się z marzeniami, jak kończy się solidarność, jak zamieniają się w szpicli, a niedawne ideały sprzedają za obietnicę spokojnego życia. Ci sami robotnicy, którzy w 1905 r. z entuzjazmem strajkowali i wznosili wolnościowe hasła, w 1907 r. omal nie linczują działacza PPS-u.

Ten sam klimat daremności wszelkiego czynu i zawodu społeczeństwem towarzyszył nam w podziemiu w szczególności w latach 1986-87. Solidarność rozbita, Związek Radziecki trzymał się mocno, ludzie zmęczeni i apatyczni. Znikąd nadziei. Holland przeczuła to świetnie, w czym pomogła jej pamięć zdławionej Praskiej Wiosny.

Każdy może być samotny w tłumie

Ale trudno się nawet dziwić, że w 1981 r. nikt nie chciał słuchać żadnych ostrzeżeń, tak jak nikt nie chciał rozumieć profetycznego przesłania pieśni Jacka Kaczmarskiego, który na Festiwalu Piosenki Prawdziwej w 1981 r. śpiewał: „Budujcie arkę przed potopem”. Jeśli już powoływano się na Kaczmarskiego, to na to, że „mury runą”, ale też mało kto chciał dosłuchać do samego końca pieśni zainspirowanej utworem Katalończyka Lluisa Llach. W ostatniej zwrotce bowiem mury „rosły, rosły, rosły, łańcuch kołysał się u nóg”, tak jak w antyfrankistowskim pierwowzorze utworu, który można było jedynie skrycie nucić, bo reżim gen. Franco miał się świetnie aż do samej śmierci dyktatora.

Widać tylko wtedy można być uwielbianym prorokiem, jeśli wiesz, że się nie to, co w istocie nastąpi, ale to, w co ludzie akurat chcą wierzyć.

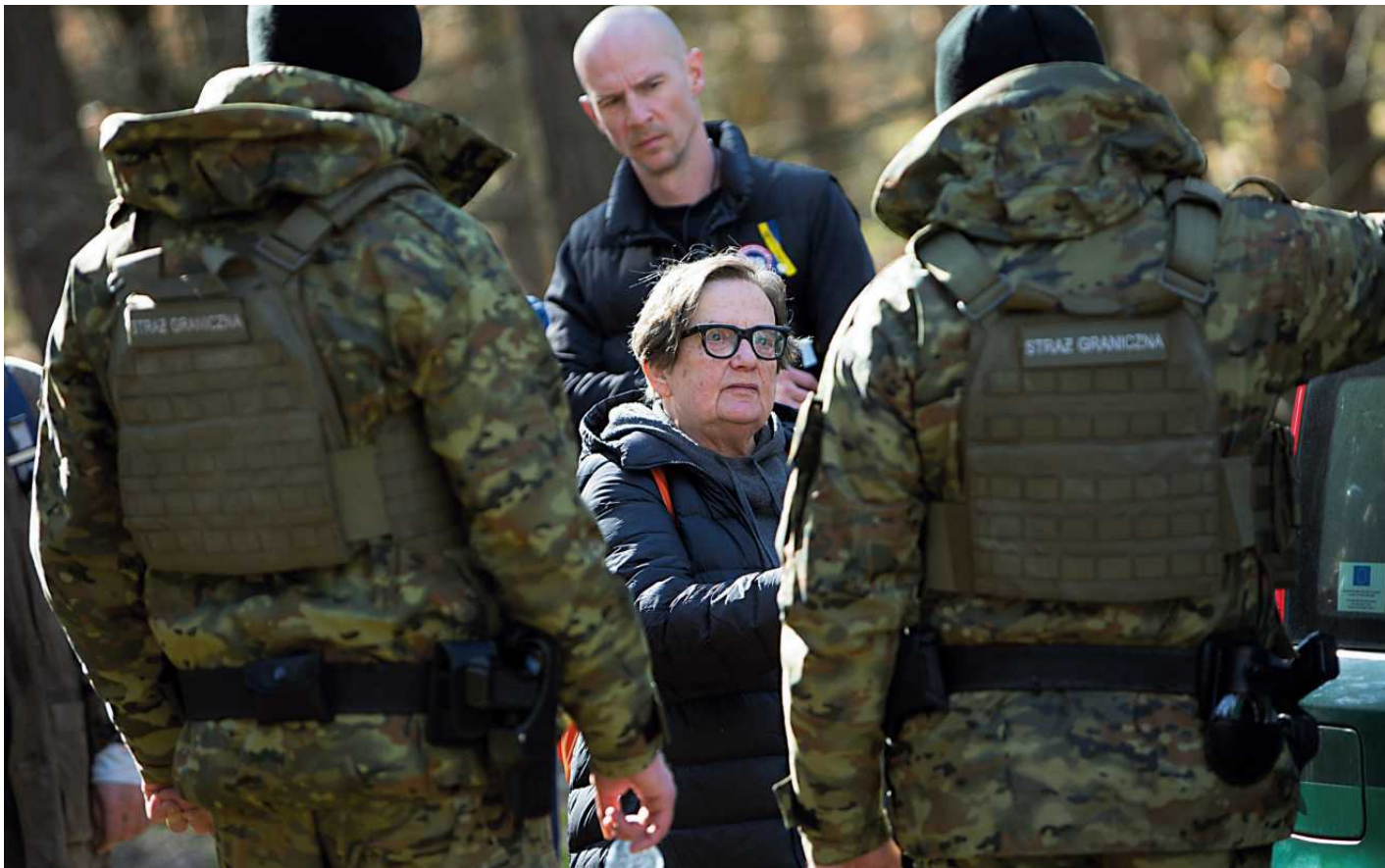
Tak właśnie stało się z filmami Holland czasu Solidarności, w szczególności z „Kobietą samotną”.

Tego filmu nikt nie chciał, a zwłaszcza nie chciała go robotnicza rzekomo władza. Bo to obraz głęboko realistyczny, jak z powieści Emila Zoli. Nędza PRL-u, beznadzieja, bezradność kobiety zostawionej samej sobie. Ofiara w pracy — kobieta jest listonoszką, chcą jej więc odebrać dobry rewir. Ofiara brutalności rodziców i nauczycieli w szkole syna — dziecko zawsze wszystkim winne, bo jest najbiedniejsze i od samotnej matki. Ofiara w relacjach z mężczyznami — tak z ojcem dziecka, jak i nieporadnym amantem, rencistą po wypadku w kopalni.

Mieszka w przydzielonym przez partię w pokoju przy torach, bez bieżącej wody. Bytuje w potwornej nędzy. W końcu przedziera się z dzieckiem przez tłum autentycznej (to nie byli statysty!) solidarnościowej manifestacji. Wielce symboliczna scena. Wielka zbiorowa nadzieja zderza się z wielką indywidualną ludzką beznadzieją. Nie ma bowiem większej samotności niż samotność w tłumie. Idzie więc ze skargą do komitetu partii, skąd tę „natrętą i krzykliwą babę” siłą wyprowadza milicja.

Film to studium osuwania się w społeczną otchłań — bez szczęśliwego końca. Dziecko trafia do domu dziecka, kobieta kradnie pieniądze, próbuje uciec przed życiem, światem, sobą. Ostatecznie umiera uduszona przez partnera. Nic dziwnego, że ten znakomity film trafił na półki. Nie takie życie miała ofiarowywać proletariatu Polska Ludowa.

W „Kobiecie samotnej”, dziele bardzo młodej jeszcze reżyserki, odnajduję zapowiedź postawy jej całego życia, to znaczy opowiadania się po stronie wykluczonych, słabych, bezradnych, ludzi społecznie odrzucanych, mniejszości seksualnych, imi-



• Agnieszka Holland podczas pracy nad „Zieloną granicą”, oplutą przez prawicę, uhonorowaną Orłem i nagrodami na festiwalu w Wenecji FOT. AGATA KUBIS

Dla Zjednoczonej Prawicy była „Goebbelsem”, „Hitlerem”, „Leni Riefenstahl”, „obrażała polski naród”, „łżyła polski mundur”

grantów, ludzi spoza społecznej „normy”. We wczesnych latach osiemdziesiątych tacy ludzie byli przeźroczyści. Tytułowa kobieta samotna, wychowująca w straszliwych warunkach chłopca, mówi do dręczącego ją sąsiada: „Pan myśli, że skoro jestem samotna, to każdy może mnie krzywdzić? Bóg pana pokara”.

Rzecz w tym, że Bóg nikogo za to nie pokara. Dziś, w niewiele bardziej optymistycznych realiach, można by nakręcić podobny film, równie aktualny.

Skąd się bierze dobro?

„Europa, Europa” oraz „W ciemności” obok „Shoah” Lanzmanna, „Listy Schindlera” Spielberga, „Pianisty” Polańskiego, „Korczaka” Wajdy, „Sklepu przy głównej ulicy” Kadára i Klosa oraz „Kropki słońca” Szabo, to dla mnie najważniejsze obrazy o Zagładzie.

W obu wypadkach to filmy nieoczywiste i nie czarno-białe.

Żydowski chłopiec ucieka po Nocy Kryształowej wraz z rodziną z ojczyznej Saksonii do Polski, do Łodzi. Po wybuchu wojny rodzina się rozdziela i młody Salomon trafia do sierocińca w Grodnie, stając się wzorowym komsomolcem. Gdy hitlerowskie Niemcy atakują Związek Radziecki, chłopak służy już za tłumacza w niemieckiej armii, podając się za sierotę po zamordowanych przez Sowietów bałtyckich Niemcach. Szybko zostaje „maskotką” oddziału i bohaterem Wehrmachtu mimo woli. Trochę to było w konwencji kina Andrzeja Munka — „Eroiki” lub „Zezowatego szczęścia”, tyle że to nie komedia, a dramat, który do tego nakręcony został na faktach. Salomon odesłany do Rzeszy zostaje wcielony do Hitlerjugend — słowem robi wszystko, by tylko nie zostać zdemaskowanym jako Żyd. Próbuje nawet naciągnąć sobie skórę napletka, by móc współżyć z młodą, fanatyczną wyznawczynią Adolfa Hitlera, w której się zakochuje...

To opowieść antybohatera, w której liczy się tylko jedno — przeżyć. Przeżyć za wszelką cenę w świecie, w którym Żyd przeżyć nie ma prawa.

Dramat w „W ciemnościach” rozgrywa się we Lwowie. Grupa ocalałych z getta Żydów przez 14 miesięcy ukrywa się w cuchnących i ciemnych kanałach. Życie zawdzięczają kanalarzowi Leopoldowi Sosze — typowemu przedstawicielowi lwowskiego proletariatu. Najpierw pomaga za pieniądze, potem pomaga z dobroci serca, czego zresztą się wstydzi, bo nie chce uchodzić za frajera. Film prawdziwy nie tylko dlatego, że zrobiony na faktach, ale dlatego, że wszystkich bez wyjątku — ratujących i ratowanych — pokazuje bez żadnych upiększeń.

Trudno jest opowiadać historię dobrych ludzi. Zło jest bardziej fotogeniczne i powstało już o tym morze filmów. Zło pleni się samo. Wystarczy tylko zwolnić hamulec, zdjąć sankcję karną albo moralną. Tymczasem Holland fascynują postacie bezinteresowne, a nawet takie, które wbrew własnym interesom zabiegały o sprawiedliwość, chciały choć trochę poprawić świat.

— To większa zagadka niż zło w człowieku. Zło jest immanentne, ale skąd się biorą Ci dobrzy? Skąd się bierze dobro? — pyta Holland.

Stanąć przeciw wszystkim

Ostatni wreszcie obraz z mojego autorskiego wyboru — „Obywatel Jones”. To walijski młody dziennikarz Gareth Jones, zdolny, inteligentny, który znalazł się w Moskwie, chcąc zrobić wywiad ze Józefem Stalinem. Pragnął zrozumieć, jak działa ów bezkrytycznie wychwalany przez lewicowe elity Zachodu system sowiecki i na czym polega sukces gospodarzy Związku Radzieckiego. Tu był szczególnie nieufny, bo Jones miał solidne przygotowanie ekonomiczne, a jak wiadomo — liczby nie kłamią. Coś się nie zgadzało, tylko nikt nie wiedział, co. Jones postanowił to sprawdzić.

Mimo zakazu opuścił Moskwę i zobaczył Hołodomor — celowe unicestwienie narodu ukraińskiego poprzez wywołanie sztucznej fali głodu. Oczywiście na Zachodzie nikt nie chciał mu wierzyć, nikt nie chciał go słuchać. Egoistyczne interesy państw były zbyt ważne, by narażać stosunki dyplomatycz-

ne ze Stalinem i wywołać światowy konflikt z powodu śmierci głodowej jakichś pięciu milionów ludzi w sowieckiej Ukrainie, o której mało kto słyszał.

Jones był sygnalistą, któremu się nie udało. To częsta cena jaką płać dziennikarze. W szczególności ci niezależni, biorący się za tematy, których inni boją się wziąć, piszą o tym, o czym inni pisać nie chcą, szukają tego, czego inni nie dostrzegają, a co głęboko schowane, wreszcie tacy dziennikarze, którzy mają w swym DNA dysydenta, którzy potrafią pójść przeciw wszystkim, także przeciw swoim. Przez ostatnie autorytarne osiem lat tylko takie dziennikarstwo miało sens.

Agnieszka H. to ciągle ja

Holland przyjedzie odebrać tytuł „Człowieka Roku Gazety Wyborczej” wprost z Pragi, z planu nowego filmu o Franzu Kafce.

W pierwszej scenie kałkowskiego „Procesu” Józef K. dowiaduje się, że jest aresztowany. Nie wie, jaką zbrodnię popełnił, nie wie, kto go oskarża, nie wie więc, jak i przed czym ma się bronić, nie wie, jak. Liczy tylko, że wszystko się wyjaśni, a jego oczywista niewinność go wyzwoli. Surrealizm miesza się z rzeczywistością, wydaje się, jakby wszyscy wszystko wiedzieli, tylko Józef K. niczego nie rozumiał i nie przyjmował do wiadomości rzeczy oczywistych.

Podobnie jak Józef K. musiała się czuć w tej samej Pradze Agnieszka H., uwięziona przez czeskich komunistów w 1969 r. Przebrana w groteskowe, za duże dresy, oskarżona przez kontrolujące wszystko czechosłowackie państwo, wtrącona do obskurnej podziemnej celi (strażnicy byli zdecydowanie mniej uprzejmi niż ci z powieści Kafki) i w odróżnieniu od Józefa K. przestała się czemukolwiek dziwić, a przede wszystkim przestała się bać.

Pozostała wolna. „Oto jestem w areszcie, ale to ciągle jestem ja”. I tak zostało. Od z górą 75 lat Agnieszka Holland pozostaje sobą. Nie boi się, nie cofa, nie idzie na marne kompromisy. I taką, Agnieszko, pozostan! ●

Pchamy ten kamulec pod górę, a on nieustannie spada z powrotem. Jesteśmy w momencie, kiedy kamień zaczyna się osuwać. Ale to nie znaczy, że nastąpi koniec historii.

Z AGNIESZKĄ HOLLAND
ROZMAWIA JĘDRZEJ
SŁODKOWSKI

MÓJ BRAT KAFKA

JĘDRZEJ SŁODKOWSKI: Gdzie panią właściwie złapałem na tym Zoomie?
AGNIESZKA HOLLAND: – Jestem w Pradze, miejscu, które jest dla mnie ważne i do którego szczęśliwie w ostatnich kilkunastu latach wracam, by tu pracować. Teraz kręcimy film o Franzu Kafce.

Z jednej strony próba powiedzenia o nim czegoś nowego jest karkołomna. Z drugiej, od zawsze mnie do filmu o nim ciągnęło. Kafka od lat nastoletnich był jedną z najważniejszych dla mnie inspiracji. Nie tylko literackich, ale też on sam jako człowiek. Zacztywałam się w jego książkach, kiedy miałam 15, 16 lat.

To jest chyba ten moment w życiu, w którym człowiek zachłystuje się Kafką, doznaje dzięki niemu objawień.
– Tylko ilu z nas później do niego wraca? Ja akurat dość często. Co jakiś czas także w trybie zawodowym.

Na przykład pod koniec 1980 r. zrobiliśmy wspólnie z Laco Adamikiem [ówczesny mąż Agnieszki Holland, także reżyser] „Proces” w Teatrze Telewizji według mojej adaptacji.

A wie pani, akurat sobie to wczoraj obejrzałem na YouTube.
– I jak się oglądało?

Świetnie. Jako człowiek wychowany na „Alternatywy 4” miałem tylko problem w scenach, w których Roman Wilhelmi grający Józefa K., występuje wspólnie z Jerzym Kryszakiem w roli Nadzorcy, za dużo razy widziałem ich jednak wspólnie w serialu Barei. Zrobiła na mnie wrażenie paranoiczna, groteskowa atmosfera waszego spektaklu – te sądowe kancelarie na strychach są u was jeszcze bardziej ponure i klaustrofobiczne niż sobie je zawsze wyobrażałem.

– Roman Wilhelmi był odważnym pomysłem obsadowym, bo na ogół Józef K. wydaje się personifikacją Kafki, człowieka wrażliwego i kruchego, którego miażdżą tryby bezdusznej biurokratycznej maszyny.

A ja odczytałam Józefa K. inaczej. Wydało mi się, że Józef K. to nie Franz Kafka, ale jego ojciec Hermann. A jego „winą” jest poczucie, że wszystko robi absolutnie sprawnie, że wszystko ma uporządkowane, że panuje nad życiem i światem. I dopiero w trakcie procesu on stopniowo redukuje się do Franza – opadają z niego te wszystkie pan-cerze.

Dlatego właśnie w głównej roli nie obsadziliśmy Ola Łukaszevicza, który wtedy bardzo pasował do roli Kafki eterycznego, ale właśnie Romana z jego dosadnością i beczelnością, w końcu on grał Nikodema Dyzmę.

„Alternatywy 4” Bareja kręcił parę lat później, ale pańskie skojarzenie nie jest

tak zupełnie od rzeczy. Kiedy Kafka po raz pierwszy czytał pierwszy rozdział „Procesu” Maxowi Brodowi i innym przyjaciółom, oni wszyscy ryli ze śmiechu. Początek powieści, której bohater zostaje oskarżony, ale nie wiadomo o co, wydał im się potwornie komiczny i zresztą słusznie, bo Kafka lubił czarny humor.

W naszym nowym filmie też będziemy szukać w życiu Kafki humoru. Nie chcemy wpaść w stereotyp, bo jego życie sprowadza się często do ponurego tragizmu.

Wracając jeszcze do spektaklu, pani operator Jacek Petrycki opowiadał, że Wilhelmi się wściekł, bo był kręcony z bliska, przez co nie wyglądał jak amant, a miał wtedy takie emploi. I że nawet rzucił rolę!

– To prawda, ale udało się go namówić do powrotu. Roman strasznie się awanturował. Kręciliśmy go szerokimi obiektywami, no i cóż, faktycznie wyglądał trochę jak żaba. Na próbach wszystko szło dobrze, ale kiedy przeszliśmy do zdjęć, zachowywał się średnio mądrze. Rzadko mi się zdarza, żeby zniechęcić aktora, z którym pracuję, ale i ja, i Laco Adamik, osiągnęliśmy taki poziom antypatii do Romana, że kiedy zagrał dobrze, to aż się martwiliśmy, zamiast cieszyć. A grał jednak głównie dobrze, przecież był świetnym aktorem.

Świętej pamięci Wilhelmi już dawno gra w innych murach i nie chcę mówić o nim źle, ale zdziwiliśmy się wtedy, jak jest próżny.

No cóż, są tacy aktorzy, którzy mają ogromną inteligencję aktorską, ale w życiu są mniej inteligentni.

To się zresztą pokoleniowo zmienia, bo coraz rzadziej spotykam się ze zjawiskiem, że aktor, który gra świetnie, mięsiście, dosadnie, inteligentnie, w życiu jest dość nie-mądrym człowiekiem. Prawie wszyscy aktorzy, z którymi mam szczęście pracować w ostatnim czasie, to ludzie wybitnie inteligentni, bardzo wrażliwi nie tylko na punkcie własnej osoby, ale też na punkcie świata wokół.

Telewizyjna premiera waszego „Procesu” odbyła się w listopadzie 1980 r., czyli prace nad spektaklem musiały zacząć się jakoś niedługo po wybuchu karnawału „Solidarności”. Czy to „Proces” był wtedy odczytywany jako metafora PRL-u?

– Trudno mi to dziś zrekonstruować, nie pamiętam. Pamiętam za to, że proces pisania tej adaptacji był ciekawy i bardzo mnie wzbogacił. Bo kiedy dokonuje się takiej adaptacji, trzeba rozłożyć dzieło na czynniki pierwsze, dokonać jego precyzyjnej i głębokiej dekonstrukcji. I ponieważ weszłam w „Proces” tak głęboko, to uważam, że redukcja Kafki do komentarza politycznego byłoby niesprawiedliwym uproszczeniem.

Nigdy mi się też nie podobało, że Kafka, którego wielka światowa kariera – w sensie: jego twórczości – wybuchła po II wojnie światowej, zaczął być odbierany jako prorok, ktoś, kto przewidział system totalitarny, komory gazowe, obozy koncentracyjne, i tę całą bezduszną, biurokratyczną maszynę bezwzględnej kapitalizmu, która redukuje człowieka do roli jakiegoś trybika. To wspinałam, że każda taka definitywna interpretacja Kafki kończy się rodzajem klęski czy niespełnienia. Bo potem następuje kolejna epoka i jego teksty aktualizują się w jeszcze inny sposób.

Jest oczywiście coś, co do czego wszyscy się zgadzają: że Kafka jak nikt inny opisywał sytuacje, które są absurdałne, dziwne, niewytłumaczalne i w których jednostka zderza się z maszyną opresji. Po czesku mówi się, że taka sytuacja to „kafkarna”.

To chyba to samo co nasza „kafkowska”.

– Chyba tak. A zarazem Czechy bardzo późno zaczęły czytać Kafkę. Przed Praską Wiosną, czyli 1968 r., on był właściwie szerzej nieznanym.

Trudno uwierzyć.

– Proszę pamiętać, że Czechosłowacja, inaczej niż Polska czy Węgry, nie miały swoje-

FOT. ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZAJ

go ’56 roku. Destalinizacja nastąpiła dopiero dobrą dekadę później.

Kafka był niewydawany, krytykowany go jako literata burżuazyjnego, a jego dzieła traktowano jako coś obrzydliwego, jak gdyby zgnilego. Dopiero parę lat przed 1968 r. go zrehabilitowano, w małym nakładzie zaczęły wychodzić nowe wydania a jednocześnie zaczęła się presja środowisk intelektualnych na demokratyzację. I kiedy w 1968 r. wybuchła Praska Wiosna i zmienił się pierwszy sekretarz, a w ludzi wstąpiła nadzieja, zaczęto masowo Kafkę drukować. To było jak wybuch – całe pokolenie moich kolegów z uczelni nagle, zbiorowo poznało tę literaturę.

A pani paradoksalnie już z Polski знаła najślynniejszego praskiego pisarza, tak? – Zgadza się. Bo my mieliśmy Październik ’56, dzięki czemu zaczęto u nas wydawać wielką niemieckojęzyczną literaturę pierwszej połowy XX w.: Musila, Brocha, Kafkę, Manna. Kiedy więc przyjechałam do Pra- gi w 1966 r., miałam za sobą inne lektury niż moi koledzy.

Zdawałam do FAMU w Pradze, bo, po pierwsze, w Łodzi trzeba było wtedy mieć skończone już jakieś studia, a ja miałam 17 lat, maturę i chciałam być od razu reżyserką. Po drugie do Łodzi by mnie i tak nie przyjęto z powodu nazwiska. Po śmierci mój ojciec znalazł się na partyjnym indeksie, a w kraju narastał odgórnie sterowany antysemityzm. Po trzecie, uwielbiałam ówczesny czeski film. A po czwarte, chcia-łam studiować w mieście Kafki! Wyobraża-łam sobie, że w jakimś sensie będę tam ży-ła obok niego.

Miałam do Kafki bardzo osobisty stosu- nek, taki rodzaj czułości, jaki się ma wobec brata. Myślałam, że jestem trochę jak jego siostra Ota!; podziwiałam go, a jednocześnie obawiałam się o niego i chciałam go chro- nić, także przed nim samym.

Na pierwszym roku historii literatury wykładał Milan Kundera, którego fascyno- wali właśnie wymienieni przeze mnie pisa- rze. I on sobie mnie wypatrzył, bo koledzy siedzieli jak na tureckim kazaniu, nie mieli pojęcia, o kim on mówi.

A z panią mógł sobie pogadać?
– A ze mną mógł sobie pogadać.

I dlatego, jak się w latach 80. spotkaliście na emigracji w Paryżu, to zaufał pani, że będzie pani najlepszą osobą do przetłu- maczenia „Nieznośnej lekkości bytu”?
– Natychmiast rozpoznał mnie wtedy, po ty- lu latach! Jakiś czas byliśmy w bliskich sto- sunkach.

No to jaki właściwie jest pani i współ- scenarzysty Marka Epsteina pomysł na Kafkę, skoro nie chcecie, żeby był stereo- typowo „kafkarny”?
– Szczerze mówiąc, nie wiem. Nasz po- myśl był taki, żeby powstawanie scenariu- sza, a potem filmu było twórczym proce- sem, że w jego trakcie różne sensy będą się nam ukazywać. I że w finale te puzzle złożą się w całość, której teraz nie potrafimy prze- widzieć. Eksperymentujemy. Powiem panu, że dawno nie byłam tak niepokorna finałowe- go rezultatu.

Kafkę gra Idan Weiss, młody niemiec- ki aktor o izraelskim backgroundzie, który wyglądem bardzo przypomina Franza, ale, co ważniejsze, jest do niego podobny we- wnętrźnie, ma w sobie jednocześnie kru- chość i siłę, a także ogromną wrażliwość. I tak jak Kafka ma nonkonformistyczny cha- rakter, nie boi się własnego zdania, nawet je- śli przez to nie będzie mógł sobie wygodnie funkcjonować w społeczeństwie.

W dużym stopniu od tego, jak mocno Idan się stworzy, zależy, czy ten Kafka bę- dzie bardziej wewnętrzny, czy bardziej ze- wnętrzny. Ale nawet jeśli będzie wewnętrz- ny, to i tak pozostanie tajemnicą.

Taką tajemnicą do końca pozostaje też tytułowy „Szarlatan” z poprzedniego filmu pani i Marka Epsteina. Niby mnó-

stwo się o nim dowiadujemy, a i tak jego postępowanie jest w dużej mierze niewy- tłumaczalne.

– Racja. On też jest jakimś rodzajem Józe- fa K.

Kręćcie po niemiecku, czy po czesku?
– Po niemiecku i po czesku. Aktorzy nie- mieccy uczą się niektórych kwestii po cze- sku, a czescy – po niemiecku. Chcemy za- chować podwójność językową, przynaj- mniej do pewnego stopnia, żeby nie była też zbyt męcząca.

Teraz kręćcie w Pradze, a słyszałem, że potem będzie Berlin?
– Tam mamy jeszcze jakiś tydzień zdjęć.

I co tam kręćcie? Kończówkę jego życia? Przeniósł się tam z Pra- gi już chory na gruźlicę, zmarł rok później, w 1924 r., w wieku 40 lat.
– Akurat w Berlinie kręcimy sceny, w któ- rych Kafka przyjeżdża ogłosić zaręczyny z Felicią Bauer, które skończyły się klapą. Ale poza tym szukamy tam obiektów, któ- re niekoniecznie pochodzą z kafkowskie- go imaginarium i nie są też rekonstrukcją historyczną miejsc, w których on napraw- dę mieszkał.

Taka dekonstrukcja to ciekawy artystycz- nie proces, ale zdaję sobie sprawę, że zara- zem dość ryzykowny. Tym bardziej, że film ma wysoki jak na czeską kinematografię bu- dżet. To duża odpowiedzialność, a, jak już mówiłam, na razie sama nie jestem pewna, jak to wyjdzie.

Rozumiem osobiste przyczyny, dla któ- rych kręci pani „Franza”. Przy okazji „Zie- lonej granicy” nieskończoną ilość razy mówiła pani, że film jako rodzaj sztuki powinien komentować to, co się dzieje wokół nas. W jaki sposób film o Kafce mo- że nam powiedzieć coś o teraźniejszości?
– Jak już powiedziałam, Kafka się nieustan- nie aktualizuje. W każdej epoce i w każdym pokoleniu inaczej. A wielka klasyka ma to do siebie, że stawia nas przed pytaniami, które są zawsze ważne.

Jakie to pytania?
– W jakim świecie żyjemy? Kim jesteśmy? Czym jest nasze człowieczeństwo? Czy w ogóle można spotkać człowieka? To są oczywiście pytania egzystencjalne, a mnie się wydaje, że nadchodzi znowu czas egzy- stencjalistów.

Wojny, pandemie, migracje, zmiany klimatu – robi się trochę findesiècle’owo, a ten nastrój całkiem nieźle konweniuje z egzystencjalizmem.
– Proszę sobie przypomnieć, jakim przebo- jem podczas pandemii była „Dżuma” Camu- sa. Wcześniej wydawało się, że taki boha- ter jak poświęcający się doktor jest anachro- niczny, że to jest passé. Tymczasem okazało się, że to bohater naszych czasów.

Ja w ogóle jestem egzystencjalną pesy- mistką. Uważam, że ludzkość jest zdolna do najpotworniejszych rzeczy i że ta zdolność jest immanentna. A mechanizmem rozwo- ju i przetrwania jest nieustanna walka z tą skłonnością. Ale to jest walka Syzyfa, że na- wiążę do Camusa. Pchamy ten kamulek pod górę, a on nieustannie spada z powrotem. W tym momencie jesteśmy w sytuacji, kiedy kamień zaczyna się osuwać. Ale to nie zna- czy, że nastąpi koniec historii.

Kamień nas pokierkuje, a potem ktoś inny, następny zacznie go pchać?

– Tak. Tylko pytanie, gdzie narodzi się ten nowy Syzyf? W imię jakich wartości zacznie iść pod górę?

Muszę jednak skorygować pana słowa. Pan powiedział, że ja mówiłam, że obowią- zkiem filmu jest komentowanie współcze- snych wydarzeń. To niezupełnie tak.

Przyznaję, trochę wyostrzyłem pani sta- nowisko.
– No więc nie uważam, że film ma obowią- zek komentowania świata wokół nas i że to powinien być jedyny cel kinematogra- fii. Faktycznie uważam jednak, że bardzo źle świadczy o kinematografii, jeżeli odwra- ca się ona od rzeczywistości. Na ogół dzie- je się tak z powodu albo lenistwa, albo opor- tunizmu. Głównie oportunistu, ponieważ chcąc opowiedzieć o najbardziej kontrower- syjnych czy bolesnych zjawiskach współcze- sności, można narazić się na kłopoty.

Ale mi w kinie brakuje nie tylko aktual- nej opowieści o naszym świecie politycz- nym czy społecznym, ale brakuje mi też no- wego języka, nowego podejścia do sposobu opowiadania, łamania stereotypów, które są teraz jeszcze silniej utrwalane przez miliony godzin seriali.

Podziwiam więc moich kolegów i kole- żanki, którzy nie boją się eksperymentować.

Jakich?
– Z polskich twórców wymieniałabym Da- miana Kocura i Agnieszkę Smoczyńską. Jej „Córki dancingu” czy nawet „Silent Twins” były radykalnym podejściem do kina, do gatunku i do sposobu opowiadania. Pró- bę przelamania stereotypowego opowia- dania widzę też w „Kosie” Pawła Maślony czy „Imago” Olgi Chajdas. Oczywiście, nie wszystko widziałam, więc mogą być nie- sprawiedliwa.

Jakby miała pani jutro poprowadzić masterclass dla scenarzystów, to co by im pani powiedziała? „Ludzie, piszcie o...”? O czym?
– Jakbym miała taki jeden pomysł, to sama bym szybko starała się go wykorzystać.

Wie pan, Andrzej Wajda przez ostatnie dziesięć lat swojego życia szukał bohatera naszych czasów i tematu naszych czasów. Pamiętam naszą ostatnią rozmowę. Ja wy- jeżdżałam do Stanów, a on jechał do Gdyni, gdzie się zaraził chorobą, która okaza- ła się dla niego śmiertelna. Mówił mi, że ma pomysł, by zrobić film o braciach Kurskich. O personifikowanej polaryzacji w Polsce.

Nic się nie zmieniło od tamtego cza- su – polaryzacja wciąż jest wielkim tema- tem. W Polsce doszło do tak strasznych, tra- gikomicznych uproszczeń postrzegania te- go konfliktu oraz sposobu, w jaki ten kon- flikt się odbywa. Mamy przecież nieustan- nych „Samych swoich” i „Zemstę” – oto jest topos polskości.

Tylko że bardzo bym chciała zobaczyć dzieło sztuki, które pokazuje ten konflikt w sposób pogłębiony, prawdziwie tragiczny.

Nie zdajemy sobie sprawy, jak tragicz- ny wymiar ta polaryzacja ma nie tylko dla spójności społecznej czy być może dla si- ły obronnej Polski, ale po prostu dla duszy. Nie duszy narodu, ale duszy poszczegól- nych jednostek.

Sama czuję się tym zarażona. Trudno jest mi się powstrzymać od brutalnej nienawi- ści wobec niektórych ludzi z innego obozu politycznego. Walczę z tym. Nie wstydzę się do tego przyznać. Ale wiem też, że mam du- żą samoświadomość i perspektywę etyczną oraz filozoficzną, która nie jest tak całkowi- cie powszechna w tym chrześcijańskim rze- komo kraju.

Kiedy myślę o jakimś temacie, interesu- je mnie nie tylko to, co jest teraz, ale co mo- że wydarzyć się za trochę, co będzie z tym tematem dalej. Weźmy na przykład „Zielo- ną granicę”. I okazuje się, że mimo zmia- ny władzy, film jest wciąż aktualny, ponie- waż obecna właściwie nie zmieniła polity- ki wobec migrantów i uchodźców na gra- nicy białoruskiej, wręcz ją niejako uwiary- godniła.

A pani myślała, że Donald Tusk, człowiek roku „Gazety Wyborczej” z 2019 r., na- każe rozmontowanie płotu i zatrzyma pushbacki, jeśli dojdzie do władzy?
– Nie, to jest bardzo niemądre stawianie sprawy. Przecież nie chodzi o to, żeby otwo- rzyć granice, szczególnie tę, która jest kon- trolowana i manipulowana przez Łukaszen- kę. Chodzi o metody i przestrzeganie prawa. Chodzi też o to, żeby nie dehumanizować osób uchodźczych, które stają się, owszem, narzędziem w rękę Łukaszenki, ale należy ich traktować jak ludzi, zgodnie z wartościa- mi, o któreśmy tak długo walczyli. Nie da się „humanitarnie”, jak mówi obecna wła- dza, wypchnąć ludzi na Białoruś, bo są tam torturowani. I nie da się też „humanitarnie” zmusić ludzi, żeby zechcieli się przepchnąć przez druty.

Do Donalda Tuska mam dużo podziwu i sympatii, uważam, że jest wybitnie utalen- towanym politykiem i, jak się okazało, rów- nież skutecznym. Ale jeśli chodzi o kwestie migracji, nie spodziewałam się po nim wie- le, bo pamiętam jego działania jako prze- wodniczącego Rady Europejskiej w trak- cie syryjskiego kryzysu uchodźczego i dumę z tego, że udało się eksportować problem z UE przekupując Erdogana.

Rozumiem również jego – i mainstreamu Unii Europejskiej – obawy, że jeżeli demo- kratyczne rządy nie rozprawią się w sposób zdecydowany z kryzysem uchodźczym, to dadzą oręż prawicowym populistom, którzy zwyciężą w wyborach i zrobią porządek po swojemu. I będzie jeszcze bardziej nieprzy- jemnie. Wiem, że to poważny dylemat poli- tyczny.

Eksterioryzowanie jednak i zaklinanie propagandą tego wyzwania nie oddala nie- bezpieczeństwa manipulowania uchodźca- mi i migrantami przez autorytarne, nacjo- nalistyczne i populistyczne siły wewnątrz i zewnątrz UE, przeciwnie: pokazuje nasze miękkie podbrzusze: strach, egoizm i po- datność na rasizm. Jasne, że wyrzekamy się wartości, takich jak prawa człowieka, w imię zachowania naszego komfortu, ale grozi nam, że na koniec nie będziemy mieć ani tych wartości, ani komfortu.

Jasne, możemy powiedzieć: przyjmuje- my tylko uchodźców, czyli tych, którzy ucie- kają przed śmiercią i prześladowaniami. A migranci, dla których w tej chwili nie ma w naszych społeczeństwach miejsca, powin- ni wrócić tam, skąd przybyli. Żeby dokonać tego rozróżnienia, co jest obowiązkiem de- mokratycznego państwa prawa w Unii, na- leży stosować procedury, które to umożli- wiają. Tymczasem my tego nie robiliśmy i nowa władza też tego nie robi, tylko wypy- cha ludzi przez płot do Białorusi.

Jaki to ma sens? Czy naprawdę komuś wydaje się, że jeśli nasze służby będą brutal- ne, to zniechęcimy tych albo kolejnych ludzi do tego, żeby próbowali się do Europy do- stać? Przecież to absurd. Oni wciąż do nas zmierzają – toną w różnych morzach, prze- chodzą przez różne druty kolczaste i płoty. Pushbacki ich jakoś nie zniechęcają. Są więc nie tylko nielegalne, ale też nieskuteczne, a my rezygnujemy z możliwości sprawdze-

nia, kim są ci ludzie i komu z nich mogłoby przysługiwać prawo do azylu.

A do tego granica i tak nie jest szczelna tysiące ludzi przedostają się do Polski, a następnie do Niemiec, co powoduje tam wkurzenie, bo okazuje się, że Polska wcale nie jest skuteczna w powstrzymywaniu migracji do Unii.

A polskie ośrodki dla uchodźców przypominają więzienia i wielu migrantów czeka tam iście kafkowski los.

– To czysta loteria, kto się dostanie do takiego ośrodka. Jesteśmy świadkami zalegalizowania okrutnego burdelu. I stoi za tym nowa władza.

To mi się oczywiście nie podoba. Ale nie podoba mi się coś jeszcze: że legalizując ten burdel, polskie władze rezygnują z podstawowych aksjologicznych wartości. To zemści się na tej władzy i na nas, przeciwnikach autorytaryzmu. Bo ta władza musi stać na wartościach, jeżeli chce wygrać z populistyczną, nacjonalistyczną prawicą. Ci młodzi ludzie, którzy 15 października poszli tak licznie głosować, jak na swoje nieliczne pokolenie, nie zrobili tego dlatego, że Sienkiewicz czy Kierwiński podobają im się bardziej niż Suski, bo oni nawet nie wiedzą, kim są ci panowie. To dla nich memy. Oni poszli głosować z powodu wartości. A jeżeli polscy demokraci zapomną o wartościach, jeżeli zapomną o wiarygodności, uczciwości, szacunku dla człowieka, dla praw człowieka, dla praw kobiet itd., to my jako demokratyczna Polska po prostu nie mamy przyszłości. A stosunek do migrantów czy uchodźców jest jedną z takich wartości, niezależnie od tego jak wypadają w tym temacie aktualne sondaże.

Obowiązkiem tej władzy nie jest ćwiczenie funkcjonariuszy państwa w sadyzmie. Czyta pan raporty aktywistów? Jeżeli nie, proszę poczytać o tym, jak rozbiega się uchodźców do naga, zabiera im paszporty i telefony i przepycha przez granicę na mrozie. Albo o tym, jak dwukrotnie wypycha się kobietę z Erytrei w zaawansowanej ciąży, która w końcu rodzi wyziębionego noworodka pod płotem po naszej stronie i owija ją – z braku czegokolwiek swoją mokrą bluzą. To się stało teraz, w kwietniu. To się dzieje nie w Nazarecie przed 2000 lat, ale dziś, na naszej ziemi. To świetnie, że Straż Graniczna znalazła tę kobietę z malutką dziewczynką i zawiozła je do szpitala, ale nie musiało do tego dojść, gdyby przedtem dwukrotnie ta sama straż nie przepchnęła tej kobiety na białoruską stronę.

OK, nowa władza nie mówi językiem rasistowskim. Nie urzęduje nagonki. Nie insynuuje, jak Mariusz Kamiński, że ci ludzie to pedofile i zoofile albo jak Kaczyński, że roznoszą pasożyty i zarazki.

A prokuratura w Lublinie niedawno powołała zespół, który ma sprawdzać właśnie legalność pushbacków, a to coś jednak do niedawna niewyobrażalnego.

– Trzymam kciuki.

Ale potrzebna jest nam przede wszystkim prawdziwa polityka migracyjna UE, na którą w tej chwili nie ma szans, bo refleksja na ten temat jest niepogłębiona i nie ma zgody między poszczególnymi państwami, ponieważ każde ma tu inne interesy.

Więc jeżeli mnie to w tej chwili tak boli, to nie tylko dlatego, że to się dzieje na mojej ziemi, ale również dlatego, że widzę, jakie są perspektywy. Przy braku refleksji, braku praworządności i człowieczeństwa, następnym krokiem będzie strzelanie.

Niektórzy politycy skrajnej prawicy w Europie i Stanach, które przecież też borykają się z problemem migracyjnym, zaczynają demonstrować swoje przyzwolenie na coś, co jeszcze niedawno było niewyobrażalne. A zresztą, czy ktoś mógł sobie wyobrazić to, co się stało 7 października w Izraelu albo co dzieje się dziś w Gazie? I że w Izraelu będzie powszechne przyzwolenie na dziesiątki tysięcy cywilnych ofiar po stronie palestyńskiej? Czy jeszcze niedawno moglibyśmy przypuszczać, że zaraz obok nas będą popełniane masowe zbrodnie wojenne – tak

jak w Ukrainie – a jednak i na nie wielu ludzi przyzwoli?

W sierpniu, przed premierą „Zielonej granicy”, zapytałem: „Czy jest pani gotowa na kolejną nagonkę?”. Pani odpowiedziała, że jest. Wtedy hejt na pani film dopiero raczkował. W życiu bym nie wymyślił, że np. minister sprawiedliwości porówna panią do nazistowskich propagandystów – panią, której prawie cała rodzina od strony ojca została wymordowana w Holocauście. Albo że prezydent kraju powie: „Tylko świnię siedzą w kinie”. Naprawdę po pani to wszystko spłynęło?

– I tak, i nie.

Trudno jest nie czuć się zagrożonym, kiedy się jest atakowanym przez najwyższe władze państwowe.

Bo, owszem, ich porównania i obelgi po mnie spływały. Nie są mnie w stanie dotknąć. To ludzie, do których nie mam żdzbla szacunku.

Natomiast miałam świadomość, że ich słowa mogą zamienić się w czyny i tego nie mogłam już sobie brać tak lekce. A czuć się we własnym kraju zagrożonym przez nienawistników albo fanatyków, to jest bardzo nieprzyjemne uczucie. To właśnie efekt polaryzacji.

Był taki moment, kiedy się przestraszyłam. Pokazywaliśmy film na festiwalu w Toronto, a stamtąd miałam polskim samolotem przylecieć bezpośrednio do Warszawy i zacząć przedpremierową kampanię „Zielonej granicy”. Wtedy zaczęły się te brutalne napady Ziobry i innych polityków, ale również anonimowe pogrożki. I pomyślałam, że mam przez dziewięć godzin siedzieć w puszcze nad oceanem, otoczona głównie Polakami, wśród których może być ktoś, kto postanowi mnie zaatakować... Poczulałam zwykły strach. Zmieniłam plany i poleciałam do Paryża, a dopiero stamtąd do Polski.

W okolicach premiery nabrałam już jednak pewnego dystansu do tej nagonki. Zorientowałam się, że ludzie jej w większym stopniu nie ulegają; przeciwnie, okazało się, że to świetna kampania reklamowa naszego filmu.

W latach 70. był na panią zapis, bo wspierała pani Praską Wiosnę, siedziała pani w czeskim więzieniu. W latach 80. władze panią dyskredytowały, bo stan wojenny zastał panią na Zachodzie i bezpardonowo krytykowała pani Jaruzelskiego. Czy nagonka z 2023 r. była jakoś podobna do tamtych działań władzy?

– Chwilami. Jednak nigdy żadna nagonka nie osiągnęła takich rozmiarów, jak ta PiS-owska, bo, jak powtarzam, włączyli się w nią najważniejsi urzędnicy w kraju.

I owszem, wiedziałam, że jeżeli PiS wygra wybory, to nie mam raczej co mieszkać w Polsce, bo będę narażona na bezpośrednie niebezpieczeństwo. W mediach społecznościowych zaczęto grozić mi śmiercią.

Wtedy wynajęła pani ochronę. Jak wyglądało życie z bodyguardem? Chodziła pani po bulki z obstawą?

– Akurat planowałam przyjechać do Polski wtedy, w okolicach premiery, na miesiąc. Kiedy doszliśmy do wniosku, że trzeba wziąć ochronę, skróciłam pobyt do dziesięciu dni. To były jednak koszty. Po bulki nie chodziłam, bo prawie w ogóle nie wychodziłam z domu. Moje wspaniałe sąsiadki utworzyły komitet blokowy, który czuwał, czy ktoś się aby nie wdziara. Ochrona miała aktywną robotę raz. W kinie w Białymstoku napadła na nas bojówka, zresztą pod wodzą wicewojewody podlaskiego.

Ale napadła fizycznie?

– Chcieli się rzucić na mnie. Przypuszczam, żeby mnie nie pobili, ale nie musiałam tego na szczęście sprawdzać, bo interweniowali ochroniarze.

Chciałbym wrócić do tematów na filmy. Gdybym był scenarzystą, to dziś składałbym do PISF-u projekt filmu krążącego

wokół praw kobiet w Polsce. Śmierć kobiety z powodu zakazu aborcji – to jest, na przykład, niestety, temat na film. Pomyślałem też o tym, kiedy na stronie FAMU obejrzałem pani film z trzeciego roku, który potem okazał się pani filmem dyplomowym – „Grzech Boga”. Nie wiem, czy taki był zamysł Izaaka Babla, którego opowiadanie pani zekranizowała, ale przecież ten film to środkowy palec pokazany całej patriarchalnej jude-ochrześcijańskiej kulturze! Bohaterką jest dziewczyna, która traci protektora w postaci ukochanego, bo ten musi iść na wojnę. Wie, co ją czeka – wszyscy faceci wokół traktują ją jak dziwkę, nawet kiedy jest brzemienna, bo, jak tłumaczy: „pokojówka przecież zawsze musi zadzierać spódnicę”. W finale Bóg prosi ją o wybaczenie za los, na który ją skazał, a ona odrzuca przeprosiny. W którym roku to pani nakręciła?

– W 1969 r.

Nadchodzi znowu czas egzystencjalistów

I to nie w Paryżu, ale w Pradze, niedługo po wyjściu z więzienia. Z drugiej strony ta pani bohaterka przypomina trochę bohaterkę Emmy Stone z „Biednych istot”, która chciałaby się po prostu cieszyć z seksu, cielesności, a jest karana za bezpruderyjność.

– Wiele lat później odkryłam, że nakręciłam wówczas feministyczny film. Wtedy w ogóle nie znałam tego pojęcia.

A co właściwie pani jako 20-latką myślała sobie, robiąc taki film?

– Nie mam pojęcia. Chyba to, co jest na filmie. Pamiętam, że ten „Grzech Boga” robiłam szczerze. Trochę tylko zaadaptowałam nowelkę Babla, bo u niego dziewczyna rozmawia z Jezusem, a ja zamieniłam Jezusa na bezradnego staruszka, Boga, który co prawda chciał dobrze, ale, kurczę, już jest za głupi i za stary, żeby zrozumieć cierpienie kobiety.

Ma pan rację, że sprawa kobiet i aborcji w Polsce jest wielkim tematem, ale jednocześnie film musiałby wykroczyć poza bieżączkę. Powstały zresztą na ten temat dwa wielkie filmy: rumuński „4 miesiące, 3 tygodnie i 2 dni” Christiana Mungiu, francuski „Zdarzyło się” Audrey Diwan według Anne Ernaux czy jeszcze wcześniej „Vera Drake” Mike Leigh’a.

Ale ma pan rację, to dziwne, że nie ma polskiego filmu fabularnego o najdonioślejszej politycznie sprawie ostatnich lat. Wzmacnia to moją refleksję, że polskie kino nie opisuje rzeczywistości. Cóż, mam nadzieję, że w tej chwili jakieś 20-letnie reżyserki i scenarzystki pracują nad projektami takich filmów.

Ale jeszcze bardziej zaskakuje mnie, że mimo tego, jak bardzo zmieniło się podejście do tego tematu i że jest przyzwolenie większości społeczeństwa na liberalizację przepisów antyaborcyjnych, to nie zmieniła się klasa polityczna, łącznie z tą wybraną teraz – jest znacznie bardziej konserwatywna niż jej wyborcy. Dlaczego tylu ludzi, również kobiety i młodzi, zagłosowało na polityków, którzy otwarcie mówili w kampanii, że nie poprą liberalizacji aborcji? Przecież Szymon Hołownia, Władysław Kosiniak-Kamysz czy Marek Sawicki robią dokładnie to, co zapowiadali w kampanii.

O czym jeszcze obejrzałaby pani film?

– O Kościele, ale taki, który nie byłby tylko satyrą. O, weźmy historię jednej z bohaterek filmu braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”. Czytałam wywiad z osobą, która w filmie wyoutowała się jako ofiara księdza, który molestował ją jako dziecko. Skonfrontowała się z nim, nagrała go potajemnie. Wte-

dy pierwszy raz jej rodzina się o tym dowiedziała. Z wywiadu wyszło, że rodzice ją wydziedziczyli, wyrzucili z serca i z rodziny. Nie da się tego wyjaśnić tylko przy pomocy narzędzi socjologicznych czy publicystyki. Tu trzeba zejść do głębszych złożeń ludzkich sumień, mroków duszy, żeby zorientować się, skąd bierze się takie przywiązanie do opresji. Bo to przywiązanie do opresji załatwia zarazem ważną potrzebę ogromnej liczby ludzi w Polsce.

Ucieczka od wolności?

– Ucieczka od wolności to dobry trop, ale jest w nim zarazem coś pogardliwego: oni uciekają od wolności, są gorsi niż my, którzy się z wolnością umiemy zmierzyć. Jak opowiedzieć o tym, żeby nie wejść w te koleiny, nie osądzać i postarać się innych zrozumieć? Oto jest wyzwanie.

Reżyserowała pani odcinki najlepszych i najbardziej przełomowych seriali tego wieku: „Prawo ulicy. The Wire”, „Treme”, „House of Cards” czy „The Killing”. Nie ma pani wrażenia, że teraz zalewa nas serialowa papa, taka Huxleyowska soma, którą ćpają masy, żeby na chwilę się oderwać od realu, spuścić napięcie. Jeszcze pięć lat temu na spotkaniach towarzyskich rozmawiało się z ekscytacją o nowych serialach. Jedynym taki, który przychodzi mi do głowy z ostatnich miesięcy, jeśli nie lat, jest „The Curse”.

– Ma pan rację, seriele stały się ofiarą własnego sukcesu. Zaczęły być produkowane w ogromnej ilości, zesztaampowały się.

Jaki tytuł pan wymienił?

„The Curse” Nathana Fieldera i Benny’ego Saffiego, z nimi i Emmą Stone w rolach głównych. Szalony, ironiczny i żenujący zarazem, zachwycający i przerażający. Opowiadający, no właśnie, o naszych czasach – bohaterami są celebryci i flipperzy, ale także zaskakujący formą.

– Nie widziałam tego, bo kiedy pracuję nad filmem, niczego innego już nie oglądam. Faktycznie, mnie też mało który serial ekscytuje. A serial ma sens wtedy, kiedy ludzie chcą o nim gadać. Tym się różni relaksująca papka od kawałka sztuki, że dobry serial prowokuje do dyskusji. Dobrze zatem, że jeszcze jakiś taki jest.

A na „1670” się pani śmiała?

– Nie bardzo. Ale ja się też nie śmiałam na „The Office”. Widzę wszystkie szwy, które mają w tych serialach śmieszyć i w związku z tym już mnie one śmieszą. Ale doceniam sukces „1670”.

Została pani Człowiekiem Roku „Wyborczej” – i wiemy, że był to dla pani niezwykle intensywny rok. A jaki będzie ten?

– To będzie rok „Franza”. Teraz zdjęcia, potem montaż i nastawiam się, że zajmie dużo czasu, bo, jak mówiłam, mamy wiele różnych nieoczywistych założeń i być może okaże się, że film jest nieudany. A nie mogę do tego dopuścić, więc będziemy walczyć przy montażu do momentu, kiedy znajdziemy tę właściwą opowieść.

W niedawnej rozmowie z Pauliną Reiter w „Wysokich Obcasach” odgrażała się pani, że po „Franzu” rozważy pani prawdziwą emeryturę. Przepraszam, życzę pani odpoczynku, ale jakoś nie umiem zobaczyć pani na emeryturze.

– Mam jeszcze jeden ewentualny projekt, ale za wcześniej, żeby o nim mówić. Też, o dziwo, „pisarski”, tak się to z Kafką zbiegło.

Emerytura? Wie pan, zaczynam odczuwać wysiłek nawet nie tyle samych zdjęć, bo na to mam jeszcze najwięcej energii, ale tego całego pozostałego procesu, przemieszczania się po świecie, mieszkania co chwilę gdzie indziej, braku elementarnego spokoju, braku harmonii z przyrodą i samą sobą. Więc obstawiam, że dam sobie spokój.

Chyba że przyjdzie do mnie taki temat, który będzie na mnie czekał jako wyzwanie i obowiązek jednocześnie, a którego nikt inny nie będzie chciał podjąć. ●

Ładniejsi założą maski

Prawica nie lubi nowego „Scrabble”. Wyjątkowo się z nią zgadzam



Marcin Matczak

Czasami chce się zacząć felieton z przytupem, a nic na przytup nie daje się lepiej niż cytaty z Jana Pawła II. Na przykład taki: „Ze wszystkich rzeczy nieważnych piłka nożna jest najważniejsza”.

Gry w ogóle są ważne. Przypominają życie i przygotowują do życia. Już Huizinga w „Homo ludens” pisał, że nie tylko dają uście nadmiarowi energii i relaksują, ale trenują nas. Dzięki nim ćwiczymy umiejętności niezbędne do przetrwania i reprodukcji, uczymy się radzić sobie fizycznie i emocjonalnie z trudnymi doświadczeniami i stajemy się bardziej kreatywni.

Tak zawsze było – wystarczy przypomnieć sobie starożytne igrzyska olimpijskie i dyscypliny, które trenowały umiejętności ważne na wojnie czy polowaniu (rzut oszczepem, zapasy). Ale także szachy. Jak lekkoatletyka wzmacnia mięśnie, one trenują umysł, uczą planowania, ćwiczą pamięć, wyobraźnię i uwagę. Nawet teoretycy „Pasjansa” (są tacy!) piszą, że jest on „umysłowym odpowiednikiem joggingu: jego celem jest ujednolicenie mózgu i pozbycie się nietowarzyskiej umysłowej wiotkości”.

Gry przypominają życie i warto obserwować, jak się zmieniają. Kiedyś gry zmieniano, by zwiększyć ich konkurencyjność. Spalony w piłce nożnej ewoluował, by strzelać więcej goli, bardziej spektakularnie wygrywać. Kiedyś trzeba było wybiegać zza obrońcy, dziś wystarczy być z nim równo, a za moment na spalonym będzie tylko ten, kto całym obwodem ciała przekroczy linię ostatniego zawodnika.

Ale takich zmian, jak się zdaje, będzie coraz mniej. Pokazuje to nowa wersja gry „Scrabble”.

Układanie słówek na wyścigi i punkty okazuje się, jak informuje producent gry, firma Mattel, „zbyt onieśmielające” i zbyt „rywalizacyjne”, zwłaszcza dla młodszych graczy. Wprowadzono więc wersję „Scrabble Razem”, co nie jest w żadnym razie złośliwą aluzją do polskiej lewicowej partii. To wersja krótsza, łatwiejsza i oparta na współpracy, nie konkurencji. Według badań Mattelel potrzeba rywalizacji zdecydowanie maleje wśród Generacji Z. „Spośród 2000 ankietowanych 35 proc. uważało, że najbardziej konkurencyjni są boomerzy, następnie millennialsi (31 proc.), a na końcu Generacja Z (29 proc.).

Brett Smitheram, mistrz świata w „Scrabble” ocenił, że nowa wersja „nawiazuje do trendu wśród młodych ludzi, którzy chcą uniknąć rywalizacji w grach, zamiast tego preferując pracę zespołową i współpracę, dążąc do wspólnego celu – zabawy”.

I fajnie – gry od wieków zmniejszają wrogość i umożliwiają współpracę. Ale nie wszystkim zmiana się spodobała: amerykańska prawica grzmi, że wyszły „Scrabble dla płatków śniegu”. Rzeczywiście, jest to wersja nie tylko dla orłów. Nie zdobywasz punktów za najdłuższe, wydziwione literowo słowo i z nikim się nie ścigasz. Zespołowo rozwiązujesz 20 zadań, a jak to się uda, wygrywają wszyscy. A zadania gło-

wy nie urywają: „ułoż trzyliterowe słowo”,

„ułoż słowo z co najmniej dwiema samogłoskami”.

Złośliwi powiedzą, że to trochę tak, jak w dowcipie o ewolucji szkolnych zadań matematycznych. Rok 1960: „Drwał sprzedał drewno za 100 zł. Wycięcie drzewa na to drewno kosztowało 4/5 tej kwoty. Ile zarobił drwał?” Rok 2020: „Drwał sprzedał drewno za 100 zł. Pokoloruj drwala”.

W nowej wersji pojawia się też sześć kart pomocy. Korzysta się z nich, jak z kół ratunkowych w „Milionerach”: możesz dobrać literę albo wymienić się nią z przyjacielem.

Prawicowa telewizja Fox News wpadła po premierze „Scrabble Razem” w panikę moralną. Ta zmiana to przejaw „wokeizmu” – lewicowej strategii kulturowej i edukacyjnej, której nadgorliwie chroni wrażliwość słabszych! W grze konkurencyjnej, a także w życiu, czasami się przegrywa. A przegrana boli, więc trzeba zrobić tak, żeby nie bolało – by nikt nie przegrywał. Jeśli w grze nie ma punktów, nie da się przegrać z kimś, kto ma ich więcej. Nie ma porównywania się, ustalania, kto jest mądrzejszy czy szybszy.

Dla prawicy jak nie ma przegranych, to nie ma też wygranych – a gry, tracąc konkurencyjność, tracą swoją główną funkcję. Według komentatora Fox News gra bez punktów jest „nieładna”. Jego lewicowy przeciwnik powiedziałby, że to punktoza jest nieładna, a konkurencja zwierzęca, charakterystyczna dla szczurów i ich wyścigu. I tak gra staje się przestrzenią sporu o przyszłość ludzkości.

Jestem boomerem, ale nie wpadam w panikę, jak amerykański odpowiednik TV Republiki. Sam lubię sobie pograć w ping-ponga dla przyjemności, bez liczenia punktów. Ale martwi mnie trochę wizja świata, w którym konkurencje traktują się jako nieładna, a przegraną jako torturę, której powinny zabraniać międzynarodowe konwencje. W życiu nikt nie daje sześciu kart pomocy, które można wyciągnąć z rękawa, kiedy pojawia się problem. Ktoś, kto przygotowuje się do życia na podstawie gier, w których się nie przegrywa, może się później zdziwić.

I martwi mnie lewicowa urawniłowka umiejętności i talentów, oparta na założeniu, że lepszść jednego jest zła, bo daje poczucie gorszości drugiemu. Przy takim założeniu nasz świat może wyglądać kiedyś jak ten z opowiadania Kurta Vonneguta „Harri-son Bergeron”:

„Był rok 2081 i wszyscy wreszcie stali się równi. Nie tylko wobec Boga i prawa. Byli równi we wszystkim. Nikt nie był mądrzejszy od innych. Nikt nie wyglądał lepiej. Nikt nie był silniejszy ani szybszy. Równość ta była zasługą 211, 212 i 213 poprawki do konstytucji, a także niesłabnącej czujności agentów Ministerstwa Równości Stanów Zjednoczonych”.

W tym świecie ładniejsi noszą na twarzach maski, a lepsze baletnice noszą wyrównawcze worki ze śrutem, „by nikt na widok pełnego gracji gestu czy ładnej buzi nie poczuł się jak coś, co kot przytargał ze śmietnika”. Wyszmy prezenterzy telewizyjni mają wadę wysowy, a ludzie z wyższym ilorazem inteligencji noszą w uszach odbiorniki nadające pisk, który upośledza myślenie.

„Tu się z nikim nie ścigasz. Tylko odpoczywasz” mówi bohater opowiadania. I nie wolno tego zmieniać, bo wtedy „całkiem niedługo byłibyśmy z powrotem w tych ciemnych czasach, gdy każdy z każdym rywalizował”.

„Nie chciałabyś tego, prawda? – mówi do żony. A ona odpowiada: „No pewnie, że nie”. ●

Pisząc ten felieton, korzystałem z artykułu „In Defense of the New »Woke« Scrabble”, który ukazał się na internetowych łamach magazynu „Slate”

Dzisiaj

Jarosław Kaczyński: „Idziemy tam, żeby powiedzieć temu wszystkiemu »nie«, ale nie mówimy »nie«, bo jesteśmy dzisiaj na »tak«”



Michał Rusinek

Przemówienie otwierające kampanię PiS przed wyborami do Parlamentu Europejskiego Jarosław Kaczyński rozpoczął od trawestacji cytatu z wydanych w 1903 roku „Myśli nowoczesnego Polaka” Romana Dmowskiego: „Jesteśmy Polakami i mamy polskie obowiązki”. Cytowanie twórcy Narodowej Demokracji, zwalczającego swego czasu „kosmopolityczny socjalizm” i głoszącego tezy o konieczności opowiedzenia się Polaków po stronie Rosji, a przeciwko Niemcom, nie wspominając już o niestrudzonym tropieniu spisków żydowskich i masońskich – w kontekście wyborów do europarlamentu oraz obecnej sytuacji geopolitycznej wydaje się pomysłem dość ryzykownym. Ale i wyraźnie pokazującym stosunek Kaczyńskiego do idei Unii Europejskiej.

Co więcej, przemówienie bynajmniej nie dotyczyło obowiązków, lecz praw, których powinniśmy się, zdaniem Kaczyńskiego, dla siebie domagać. A ściślej – jednego prawa, bowiem najważniejszym prawem Polaka jest prawo do wolności, przy czym owa wolność jest dla niego raz „istotą” polskości, raz „przymiotem, który jest nierozdzielnie związany z polskością”, a raz „naszą polską autonomiczną niezależnością” (w przeciwieństwie, jak rozumiem, do niezależności niepolskiej, czyli nieautonomicznej). Zatem Kaczyński wprowadził wolności nie zdefiniował, ale z jego przemówienia można wywnioskować, jak ją rozumie. Isaiah Berlin zaproponował niegdyś podział na „wolność do” i „wolność od”, a więc wolność pozytywną i negatywną. Wolność, o której mówił prezes PiS, jest wyłącznie negatywna: wolność od jakichkolwiek przymusów, np. paktu imigracyjnego („jesteśmy suwerennym krajem i będziemy robić to, co uważamy”). Wolność od waluty euro (którą „chcą nam narzucić”, żeby zabrać nam złoto i przechowywać je we Frankfurcie). Wolność od zielonego ładu, który zagraża naszemu rolnictwu (służy tylko „wąskiej elicie” i jest „przeciwko wszystkim Polakom”). A także specyficznie rozumiana wolność słowa, która jest ponoć zagrożona przez „polityczną poprawność”: w Europie Zachodniej można iść do więzienia, jeśli się zaprzeczy, że ktoś może zmieniać płeć „co trzy tygodnie” lub „co trzy lata”, i że związek „mężczyzny i mężczyzny lub kobiety i kobiety” jest małżeństwem, a to jest przecież – zdaniem Kaczyńskiego – nienormalne i sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Nasza wolność polegać ma na tym, byśmy mogli „żyć zgodnie z tym modelem, który znamy”: fundamentem naszej cywilizacji jest przecież rodzina, w której „przychodzą na świat dzieci, te dzieci są wychowywane i przekazują wartości, wiedzę, tak że w kolejnych pokoleniach

może się ona rozwijać”. Ona, czyli, jak rozumiem, cywilizacja. A może wiedza? To nie do końca jasne. Ważne, że „są tacy, którzy chcą to zniszczyć przy pomocy radykalnych ograniczeń wolności”. Raczej „za pomocą”, ale nie czepiamy się.

Wolność jest, jego zdaniem, związana z bezpieczeństwem. Trzeba się z tym zgodzić. Kaczyński rozumie ją jednak przede wszystkim jako wolność od europejskich koncepcji wzmacniania bezpieczeństwa granic, które jego zdaniem są „tylko na papierze”, a europejski system obrony powietrznej nazywa „jakąś kopułą”. Fundamentem bezpieczeństwa jest dla niego „sojusz z USA”. Czy sojusz Unii Europejskiej, czy raczej sojusz samej Polski? Tego wprost nie powiedział, ale można się samemu domyślić.

Na wolności negatywnej nie jest łatwo zbudować pozytywny przekaz, a przecież na konferencji rozpoczynającej kampanię wyborczą taki przekaz jest potrzebny. Idziemy do Parlamentu Europejskiego, by powstrzymać europejskie pomysły – mówił Kaczyński i dodał: „i to jest nasz pozytywny program”. Widać tu wiarę w moc swojego słowa: jeśli to, co jest negatywne, nazwę pozytywnym, to takim się stanie. Ale jeszcze ciekawsze jest zdanie: „Idziemy tam, żeby powiedzieć temu wszystkiemu »nie«, ale nie mówimy »nie«, bo jesteśmy dzisiaj na »tak«”. Co ono właściwie znaczy?

O byciu na „tak” pisałem kilka tygodni temu. Najwidoczniej specjaliści od wizerunku przekonali prezesa, że powinien zmienić przekaz na pozytywny. Zgodził się, mimo że jest to przekaz całkowicie niezgodny z jego charakterem, osobowością, a przede wszystkim stosunkiem do Unii Europejskiej. Przypomina to mem, na którym kobieta prosi mężczyznę, by powiedział coś pozytywnego, a on mówi: „proton”. Niektórzy komentatorzy doszukiwali się w tym pozornie nielogicznym zdaniu echa sformułowania Lecha Wałęsy „jestem za, a nawet przeciw” lub lapsusu „żadne krzyki i płacze nas nie przekonają, że białe jest białe, a czarne jest czarne” Jarosława Kaczyńskiego. Tym razem to jest coś innego. Kluczowym słowem tego zdania jest bowiem „dzisiaj”. „Dzisiaj”, czyli w trakcie kampanii wyborczej, „jesteśmy na »tak«”, bo pozytywny przekaz nam się powinien opłacić. Ale wy, którzy mnie słuchacie i którzy wierzyć w każde moje słowo, jak w słowo wyroczni: nie myślcie, że będziem nadal na „tak”, kiedy już zostaniemy europarlamentarzystami. Wtedy pokażemy do czego jesteśmy zdolni, jak potrafiemy się sprzeciwiać, podważać, niszczyć i burzyć. Po to idziemy do Brukseli, żeby mówić „nie”. Nasze „tak” jest chwilowe i fasadowe: przecież cały program, który przedstawił w swoim przemówieniu Kaczyński jest programem negatywnym i w gruncie rzeczy antyunijnym. Nie powiedział wprost o jeszcze jednej wolności, która może być aż istotą, a może tylko przymiotem prezesa PiS i jego ludzi, zwanych, jak to zwykle przed wyborami, „biało-czerwoną drużyną”: wolności od Unii Europejskiej. Roman Dmowski z pewnością by takiej wolności przyklasnął. My natomiast nie traktujemy tych wyborów jako wysyłania do Brukseli tych, którzy mogliby narozrabiać w Polsce. Tam, wspierani przez koleżanki i kolegów z podobnych partii z innych krajów, mogą swoim „nie” narozrabiać jeszcze bardziej. ●

35. urodziny „Gazety Wyborczej”

JESTEŚMY MŁODSI
OD „WYBORCZEJ”

„Gazeta Wyborcza” obchodzi w tym roku 35. urodziny. Wielu z nas taki wiek ma jeszcze przed sobą. Ale to my już teraz współtworzymy „Wyborczą”. Piszemy teksty, kręcimy wideo, nagrywamy podcasty i robimy mnóstwo innych rzeczy, które sprawiają, że „Wyborcza” to również nasze medium. Z okazji urodzin przyglądamy się sobie i piszemy o naszych największych sukcesach, największych porażkach, planach na życie w wieku „Wyborczej” i czego życzymy swojemu pokoleniu.

Paweł Marcinkiewicz

• dziennikarz „Wyborczej Stołecznej”, ur. 2003 r.

Latem 2016 r. miałem niespełna trzynaście lat. Mój dziadek był już po pierwszej, porannej lekturze „Gazety Pomorskiej”. Wtedy nie wyobrażałem sobie, że prasa może mieć inną formę niż tę papierową. Dorwałem ją ze stołika w kuchni i szybko przekartkowałem, by jak najszybciej dotrzeć na ostatnie strony z doniesieniami sportowymi. Gdzieś po drodze natknąłem się na krótką notkę – zaproszenie na warsztaty dziennikarskie pod kierunkiem red. Mirosława Twaroga, który wychował pokolenia bydgoskich dziennikarzy. Jego opowieści słyszę w głowie po dziś. Nauczył mnie dziennikarskiego idealizmu i jakiegoś archaicznego poczucia misji.

Ta notka w dziadkowej gazecie to był przypadek, który ruszył domino. Gdy rok później pisałem pierwszy tekst do „Gazety Młodych” – dodatku do bydgoskiej „Wyborczej”, nie sądziłem, że po kilku latach wyładuję na Czerskiej. O tym wszystkim zadecydowały kolejne przypadki i fantastyczni ludzie „Wyborczej”, którzy dawali mi kolejne szanse. W dziennikarstwie znalazłem swoją pasję i pewną drogę życiową.

„Skażony” optyką z warsztatów Twaroga najbardziej cieszę się z tekstów, które przynoszą społeczny odzew. Poczucie spełnienia pojawiło się chociażby, gdy po napisaniu z Wojtkiem Karpieszukiem tekście o rezygnujących ze studiów ze względów majątkowych, odezwała się do nas pani, chcąc zaoferować jednej z dziewczyn mieszkanie, na które nie było ją stać. To poczucie sprawczości jest największym sukcesem.

Gdyby zapytać mnie o porażkę, powiedziałbym, że zbyt mało czasu poświęciłem dla siebie, na odpoczynek i nicnierobienie. Tak więc gdy będę w wieku „Wyborczej”, chciałbym umieć odpuszczać. I siedzieć z kawą w rękę w swoim, już splecionym mieszkaniu na Rakowcu, cieszyć się sobą i rodziną.

Swojemu pokoleniu życzę, by nadal było roszczeniowe. Nie obrażajmy się na tę łatkę dziadków, bo świadczy o nas tylko dobrze. Nieskalanie trudnościami okresu socjalizmu oraz bolesnej z początku restrukturyzacji gospodarki lat 90. pozwala nam patrzeć na świat z innej, cennej perspektywy, gdy jedynym celem życia nie musi być przetrwanie. Takiej, w której zdobycze cywilizacyjne jak godziwe wynagrodzenie za pewną pracę, czas na odpoczynek, wolność wypowiedzi są nam po prostu dane. I należy je egzekwować.

Do tego życzę nam, byśmy byli świadomi i aktywni politycznie. Nie tylko od wielkiego dzwonu jak w październiku. Abyśmy zrozumieli, że nie tylko aborcja czy kwestie klimatyczne – choć niewątpliwie ważne – ale także inne sprawy, którymi zajmują się politycy, nie są bez znaczenia dla naszego codziennego życia. Aby za kolejne

35 lat mogli obudzić się w kraju, w którym nasze roszczenia będą oczywistą oczywistością i w którym będziemy mogli spokojnie czekać na ucziwą emeryturę.

Sławomir Chodorski

• wydawca Social Media, ur. 2002 r.

Mój największy sukces to zbudowanie wspólnoty harcerskiej. Pokazuję jeszcze młodszemu od siebie, co jest ważne, na co mogą zwrócić uwagę i jacy inni ludzie żyją obok nich – nie tylko w Polsce, ale też w Niemczech, Anglii, na Malcie i wszędzie, gdzie nas poniesie czas. Za sukces uważam też rozwój, czyli robienie rzeczy, których do tej pory jeszcze nie robiłem, zmienianie świata, aby móc zostawić go lepszym. Cieszę się, że mogę każdego dnia odnosić sukcesy, które wywołują uśmiech na mojej twarzy i chęć dalszego działania.

Moja największa porażka to każda, nawet najmniejsza, obraza drugiego człowieka i znak pogardy w jego stronę, spowodowany brakiem kontroli nad emocjami. Dołączyć mogę do tego również brak odwagi, aby komuś pomóc, kiedy czuję taką powinność.

Gdy będę w wieku „Wyborczej”, to będę dalej wybierał. Wolność, rozwój i odpowiedzialność. Mam nadzieję, że nieważne gdzie będę, te wartości pozostaną niezmiennie. Chcę szanować każdego człowieka, ale też mieć bliskiego i szczerzego przyjaciela, który będzie potrafił mi powiedzieć w odpowiedniej chwili, że przekraczam granicę i naciagam własne wartości.

Gdy będę w wieku „Wyborczej”, będę z pewnością mieszkał na działce. Wśród natury, drzew, blisko jeziora czy rzeki, będę miał kilka zwierząt, a najbliższy mi będzie oczywiście pies. Może golden retriever? Oprócz tego wąż w terrarium, jezioro z żółwiami, dużo kwiatów, roślin, hamak i du-

żo regałów na książki. A kto wie – może jeszcze laptop do ich pisania? Możliwość połączenia świata przyszłości i pracy w wielkim mieście z życiem w spokoju natury. Dom, w którym będę mieszkał, będzie drewniany, składający się z dwóch poziomów, uroczego tarasu i dużej przestrzeni – wewnątrz i na zewnątrz.

Życzę swojemu pokoleniu, by chciało. Chciało wybierać, chciało być wybieranym, chciało czuć odpowiedzialność i chciało zmieniać świat na lepsze, nawet jeżeli te słowa dla niego brzmią pusto. Mam wrażenie, że moi rówieśnicy nie dostrzegają często odcieni szarości, muszą się zadeklarować: czerni czy biel. Przez to wpływają jeszcze bardziej na polaryzujący dyskurs ukierunkowany na nich. Nie szanujemy zdań, które choć trochę nie zgrywają się z naszymi. Chcemy narzucać swoje zdanie, zamiast postarać się je zrozumieć i stworzyć ścieżkę, która pozwoliłaby każdemu żyć tak jak chce. Cenię w nas odwagę i zde-

1 • Angelika Piłtoń: Gdy będę w wieku „Wyborczej”, chciałabym móc w Polsce wziąć ślub ze swoją dziewczyną. Drogi rządzie - wiecie co robić

2 • Michał Żyłowski: Dla swojego pokolenia pragnę spadku dwóch rzeczy - polaryzacji społeczeństwa i emisji CO₂

3 • Sebastian Słowiński: Swojemu pokoleniu życzę tyle odwagi, ile ma i tyle siły, ile potrzebuje, aby zmienić świat

4 • Paweł Marcinkiewicz: Swojemu pokoleniu życzę, by nadal było roszczeniowe

5 • Katarzyna Seiler: Jestem dumna, że mimo skomplikowanych dla mojego pokolenia okoliczności udało mi się wyrwać z rodzinnego gniazda i usamodzielnąć



6 • Sławomir Chodorski: Moja największa porażka to każda, nawet najmniejsza, obraza drugiego człowieka

7 • Arkadiusz Gruszczyński: Lubię wiedzieć pierwszy i tę wiedzę potem przekazywać naszym czytelnikom i czytelniczkom

8 • Ewa Tomkowska: Cieszy mnie każdy tekst, który zmienił życie chociaż jednego czytelnika lub czytelniczki

9 • Katarzyna Jarocho: Gdy skończę 35 lat, chciałabym pozostać otwarta na perspektywę młodszych ode siebie i ich potrzeby

cydowanie, ale często zachodzi to na agresję, atak czy sarkazm. A sarkazm boli. I chodzi właśnie mojemu pokoleniu, żeby bolało. Żeby zaboląło drugiego człowieka, żebyśmy czuli psychiczne, moralne, intelektualne zwycięstwo, żebyśmy mogli wypowiedzieć z dumą nasze stanowisko, odejść z podniesioną głową i nie wysłuchać drugiej strony. Chyba że trwa oficjalna debata, klócimy się, walczymy. Jesteśmy coraz bardziej spolaryzowani, a chyba nie o to w tym chodzi. Dlatego żyć też dużo Szacunku i Refleksji. Autorefleksji.

Michał Żyłowski

• **dziennikarz „Wyborczej Stołecznej”, ur. 1999 r.**
Swojej gazecie życzę przede wszystkim różnorodnych i odważnych dziennikarek i dziennikarzy. Ludzi, którzy wzorem ubiegłych lat będą śmieć pisać o rzeczach trudnych, nieprzyjemnych, a raz na jakiś czas – także o pięknych.

Z kolei dla swojego pokolenia pragnę spadku dwóch rzeczy – polaryzacji społeczeństwa i emisji CO₂. Pesymista powiedziałby, że jest już na to za późno, ale ja sam uważam, że wciąż jest szansa na powstrzymanie tego duetu, który dyktuje losy współczesnego świata.

Redakcyjne urodziny sprawiły, że sam zacząłem myśleć o tym, w jakim miejscu będę, kiedy będę mieć 35 lat. Nie będę jednak ściemniać – w wyobraźni widzę tylko białą kartkę, która dopiero czeka na to, co się wydarzy. Być może, za 11 lat będę mógł się podzielić tym, czego dowiedziałem się przez ten czas. Ponieważ mam dopiero 24 lata, może się to wydawać szalone, ale życzę „Wyborczej”, żebym jej nie przeżył, ale ona przeżyła mnie. W zdrowiu, względnym spokoju i sprawczości.

Sebastian Słowiński

• **dziennikarz „Wyborczej Stołecznej”, ur. 1998 r.**

Nie lubię słowa „sukces”, mam wrażenie, że wszystko odbywa się w pewnym procesie: w różnych miejscach, z różnymi ludźmi, z różnym efektem – czasem dobrym, czasem złym. Przewrotnie powiem, że za swój największy sukces uważam, to że nie wszedłem w politykę, a swoją działalność społeczną zakończyłem na poziomie oddolnego aktywizmu, o którym zresztą pozwolono mi dużo pisać na łamach „Wyborczej”, na długo zanim dołączyłem do niej na stałe po skończeniu studiów.

Przez cały okres studiów kulturoznawczych i filozoficznych na Uniwersytecie Warszawskim byłem zaangażowany w działalność organizacji prodemokratycznych, Strajku Kobiet, sam należałem i działałem najwięcej w Studenckim Komitecie Antyfaszystowskim. Ostatnia rzecz, jaką udało nam się zrobić, to doprowadzenie do wmurowania tablicy upamiętniającej ofiary getta ławkowego na UW. Walczyliśmy o to pięć lat.

W tym samym duchu chyba nie umiem powiedzieć o swojej „największej porażce”. Może jestem jeszcze na tyle młody, że za

kilka lat dopiero fraza ta nabierze dla mnie realnego znaczenia, na przykład jak będę w wieku „Wyborczej”. Mając jednak 35 lat, wolalbym zamiast o porażce myśleć o szczęściu – chciałbym, aby za dziesięć lat Ukraina była członkinią Unii Europejskiej, żeby politycy nauczyli się słuchać społeczeństwa i odważnych aktywistów oraz aktywistów. A tak obojętnie, to chciałbym móc wziąć ślub z chłopakiem.

Z tej specyficznej okazji, jaką jest 35-lecie „Gazety Wyborczej”, swojemu pokoleniu życzyłbym tyle odwagi, ile ma i tyle siły, ile potrzebuje, aby zmienić świat, ale chciałbym też, aby „Gazeta Wyborcza” była ważnym dla nich medium, gazetą – właśnie gazetą – którą zarówno czytają, jak i gazetą, która o nich pisze, słucha ich i z nimi rozmawia. Bez wrażliwych i czułych, ale jednocześnie bezkompromisowych mediów społeczeństwo obywatelskie zawsze toczyć będzie walkę nierówną z władzą, jakakolwiek by nie była. Chciałbym, aby moje pokolenie, kiedy dojdzie do tego dojrzałego wieku, w jakim znalazła się „Wyborcza”, żyło w świecie bardziej bezpiecznym, bez strachu przed zapaścią klimatyczną i przed wojną; w świecie bez drutów kolczastych na granicy. Jestem przekonany, że spełnienie tego życzenia w jakiejś mierze zależy właśnie od nas.

Angelika Pitoń

• **dziennikarka „Wyborczej Kraków”, ur. 1993 r.**

Mój największy sukces to pierwsza nominacja do Koron Równości – plebiscytu organizowanego przez Kampanię Przeciw Homofobii. Było ostatnie przedcovidowe lato, w Polsce szaleć zaczynała instytucjonalna homofobia, mowa nienawiści sączyła się z ust polityków, hierarchów Kościoła katolickiego, a kolejne regiony Polski zaczęły ogłaszać się strefą wolną od LGBT. Byłam pierwszą dziennikarką w kraju, która zaczęła tropić takie przyjmowane przez lokalne samorządy deklaracje – najpierw lokalnie, a potem ogólnopolsko. Stworzyliśmy pierwszą mapę, poświęciliśmy temu tematowi cztery strony w krajowym wydaniu „Wyborczej”. I choć próba systemowej dyskryminacji osób LGBT trwała niestety przez kolejne lata, miałam poczucie, że nie dzieje się to przy milczeniu społeczeństwa, a moja praca – dokumentowanie i agłaśnianie nieprawidłowości i aktów dyskryminacji jest zauważana i przynosi realną nadzieję na zmianę, której dowodem było głosowanie w plebiscy KPH. Nominacja polectła też moje ego – była bodaj pierwszą, którą otrzymałam za swoją dziennikarską robotę.

Moja praca ma sens, kiedy przynosi zmianę. Za swoją porażkę – choć niezawinioną – uznaję wszystkie te momenty, gdy mimo wysiłków, i moich, i bohaterów/bohateerek, którzy powierzyli mi swoją historię i kawał własnego życia, nie udaje mi się zmienić nic. Ani systemowo, ani mentalnie. Najbardziej dotkliwa dla mnie była historia nauczycielek z Miechowa, które wykazały się niebywałą odwagą i opowiedziały czytelnikom „Wyborczej” o wieloletnim molestowaniu przez zna-

■
Gdyby zapytać mnie o porażkę, powiedziałbym, że zbyt mało czasu poświęciłem dla siebie, na odpoczynek i nicnierobienie. Tak więc gdy będę w wieku „Wyborczej”, chciałbym umieć odpuszczać

nego lokalnego działacza PSL. Mężczyzna ten przez lata śmiał się im w twarz. Partia wzięła go w obronę, a krótko po publikacji mojego reportażu znalazł nawet dobre miejsce na liście do Sejmu.

Gdy będę w wieku „Wyborczej”, to chciałabym móc w Polsce wziąć w pełni legalny i uznawany przez państwo ślub ze swoją dziewczyną. Drogi rządzie – wiecie co robicie!

Życzę swojemu pokoleniu, żeby się nie bało. Żeby pamiętało, że nie żyjemy dla pracy i że ważniejsze w życiu są te wszystkie momenty, w których możemy śmiać się (i płakać) z bliskimi nam ludźmi. I żebyśmy byli na siebie uważni.

Ewa Tomkowska

• **redaktorka, kierowniczka działu Nauka, Klimat i Zdrowie, ur. 1992 r.**

Mój największy sukces to każdy mój artykuł lub innego autora/autorki z działu Nauka, Klimat i Zdrowie, którzy przełamuje tabu i burzy mity naukowe. Takie teksty często wywołują kontrowersje i są hejtowane. Ale gdy patrzę na nie z perspektywy czasu, to wiem, że to właśnie one prowadzą do dyskusji i zmian.

Cieszy mnie też każdy nasz działowy tekst, który zmienił życie chociaż jednego czytelnika/czytelniczki, albo po prostu wywołał uśmiech, radość lub też poszerzył wiedzę.

Moja największa porażka to niedokończone artykuły o cierpieniu pacjentów i pacjentek. Część z nich tak mocno mnie przytłoczyła, że nie dałam rady ich spisać i opowiedzieć czytelnikom. Wiem, że mogłyby one pomóc innym w podobnej sytuacji, ale też były bardzo ważne dla samych odpytywanych przeze mnie bohaterów.

Na przykład do dziś nie mogę sobie wybaczyć, że nie spisałam historii mężczyzny z rzadką chorobą skóry. Jego schorzenie zniszczyło mu życie m.in. doprowadziło do silnej depresji. Po rozmowie z nim płakałam cały wieczór, zbierałam się kilka dni. I już nigdy nie byłam w stanie wrócić do tego wywiadu. Został jako jedno z nagrań na dyktafonie.

Gdy będę w wieku „Wyborczej”, to mam nadzieję, że będę w niej pracować (śmiech). I jeszcze wymyślę wiele ciekawych projektów i artykułów, które zmienią i wzbogacą życie, chociaż części naszych czytelników.

Życzę swojemu pokoleniu, by miało jak najmniej trosk, a jak najwięcej szczęśliwych momentów. Aby nie wisiało nad nami zagrożenie wojnami, pandemiami i katastrofami klimatycznymi.

Katarzyna Seiler

• **dziennikarka „Wysokich Obcasów”, ur. 1992 r.**

Prawie dziesięć lat temu zapytana o swój największy sukces na rozmowie kwalifikacyjnej odpowiedziałam, że jest to zrobienie prawa jazdy. Wtedy dało mi to poczucie wolności, bo choć wychowałam się wcale nie tak daleko od Warszawy i nie w najmniejszej miejscowości, to doświadczałam wykluczenia komunikacyjnego. To, co dziś nazwałabym swoim największym sukcesem związane jest z podobnymi odczuciami: jestem dumna, że mimo skomplikowanych dla mojego pokolenia okoliczności udało mi się wyrwać z rodzinnego gniazda i usamodzielnąć. Paradoksalnie jednym z objawów tej nowej wolności jest to, że coraz mniej stoję w korkach, a po ukochanej Warszawie przemieszczam się rowerem.

Jak do tej pory moją największą porażką, był lęk przed podejmowaniem ryzyka. A co jeśli zrobię coś złe, zbłaźnię się, będę tego żałować – albo co gorsza – ktoś na mnie nakrzyczy? Kończy się to na przykład tak, że mimo uzyskania absolutorium na studiach, nigdy nie obroniłam licencjatu z archeologii, bo bałam się odezwać do promotora, gdy za długo zwlekałam z terminem oddania pracy. Ale to nic. Ten problem najdotkliwiej objawia się niechęcią do próbowania nowych rzeczy. To jednak porażka, kiedy człowiek dopiero w wieku 30 lat orientuje się, że kocha ramen, a wcześniej bał się go spróbować.

W wieku 35 lat dotrę do etapu w życiu kobiety, kiedy zaczynamy być rozliczane ze swoich „osiągnięć” osobistych. To czas, gdy nagle ze zwykłych ciężarnych stajemy się „matkami geriatrycznymi”, a singielki według opinii publicznej są od tej pory raczej starszymi pannami. Dużo łatwiej zbywać takie uwagi, gdy przychodzą z zewnątrz, znacznie trudniej, gdy zaczynają uporczywie dźwięczeć w naszych głowach razem ze słynnym „tykającym zegarem”. Chciałabym unikać przejmowania się tym tykającym zegarem jak najdłużej, trochę jak Kapitan Hak z „Piotrusia Pana”. Skupić się za to na rozliczaniu siebie samej z osiągnięć zawodowych i tego, jakim jestem człowiekiem.

Marzę o tym, żebyśmy za kolejne 35 lat mogli mówić młodszym od nas: „Nie martwcie się, nas też straszyla wojna, kryzysami, końcem świata i upadkiem cywilizacji, ale wszystko jakoś się ułożyło”. Życzę nam wszystkim równych szans i praw. Żeby moja równolatka na Bliskim Wschodzie mogła przejmować się równie blahymi rzeczami co 35-latkę w Europie. Oby wszystkie nasze lęki o przyszłość okazały się przesadzone, ludzkość pozytywnie nas zaskoczyła i żadne czarne scenariusze się nie ziściły.

Katarzyna Jaroń

• **dziennikarka „Wyborczej Stołecznej”, ur. 1992 r.**

Wzbraniał się przed stosowaniem takich kwantyfikatorów jak „sukces” czy „porażka” w odniesieniu do mojego życia. Cieszę się, że wykonuję pracę, którą lubię i która dla mnie wciąż ma sens. Dodatkowym atutem jest to, że zdarza mi się w pracy sta-

nać za słabszymi lub rozpocząć ważną społeczną dyskusję. Kilka lat temu, gdy zaczynałam pracę w „Stółku”, opisywałam sprawę Ukrainki, która przyjechała do Polski za chlebem. Czekając na prawo pobytu, nie mogła wynająć mieszkania ani posłać dziecka do żłobka, pracowała na czarno, sprząając u innych z kilkumiesięczną córką na ramieniu. Po mojej interwencji jeszcze przez długi czas zbierałam dla nich ubrania i jedzenie od czytelników, które wozili na udostępnionego im za darmo przytulnego i ciepłego mieszkania w Warszawie.

Praca daje mi też możliwość sprawdzania tematów, które z początku brzmią jak teoria spiskowa. Tak było w przypadku ubierów, które zamiast do celu miały jeździć do Lasu Bielańskiego w Warszawie, gdzie kierowcy gwałcili pasażerki. Miejskie legendy okazały się być prawdą, a opisanie ich, doprowadziło do sze-rokiej dyskusji, regulacji taksówek na aplikacje, złapania i ukarania sprawców.

Gdy skończy 35 lat, chciałabym pozostać otwarta na perspektywę młodszych ode mnie i ich potrzeby. Służyć im swoją wiedzą i doświadczeniem.

Życzę swojemu pokoleniu, by doczekało się za swojego życia: taniich mieszkań na wynajem, spadku cen nieruchomości, niskich rat kredytu, niskich odsetek, jeszcze kilku linii metra, ścieżek rowerowych, szybkich i tanich kolei, dostępnej publicznej ochrony zdrowia, zniesienia luki płacowej, czterodniowego tygodnia pracy, jawnych zarobków, likwidacji śmieciówek, bezpłatnej antykoncepcji, powszechnej edukacji seksualnej, legalnej aborcji. Oprócz tego dużo zdrowia.

Arkadiusz Gruszczyński

• **dziennikarz „Wyborczej Stołecznej”, ur. 1990 r.**

Trudno mi myśleć o sobie w kategoriach „sukcesu”, obce jest mi takie pojęcie jak kariera. Zawsze cieszę się, kiedy spotykam w tramwaju kogoś, kto czyta mój tekst. Lubię momenty, kiedy ktoś na mieście zaczyna dyskutować z moimi spostrzeżeniami, cenię chwile, kiedy ktoś się ze mną nie zgadza i pokazuje mi inną perspektywę. Ale do rzeczy: w wyniku kilku moich tekstów zostali odwołani dyrektorzy kilku instytucji, w ostatnich wyborach po moim tekście jeden z kandydatów na radnego z Prawa i Sprawiedliwości wycofał swoje nazwisko, bo okazało się, że oszukiwał ludzi. Lubię wiedzieć pierwszy i tę wiedzę potem przekazywać naszym czytelnikom i czytelniczkom.

Moją największą porażkę omówię z moim terapeutą.

W wieku „Wyborczej” będę już za pół roku, więc zasadniczo w moim życiu niewiele się zmieni. 35 lat to okres stabilizacji, a nie nagłych zmian.

Życzę swojemu pokoleniu, by: wszyscy mieli umowę o pracę, cieszyli się długimi wakacjami, mieli ubezpieczenie zdrowotne, doczekali budowy mieszkań na tani wynajem, a także końca populistycznej prawicy w wersji PiS. ●
Zebrał Igor Rakowski-Kłos

Emilia Dłużewska

Nie szukałam chłopaka. Chciałam fajnej, seksownej przygody, co na ogół nie kończy się dla mnie dobrze. To przez tę miłą, pyzată buzię. Ludziom wydaje się, że powinni ułożyć sobie ze mną życie. Za każdym razem, kiedy mówię „moglibyśmy się puknąć, albo coś”, słyszę od facetów „Nie, dzięki. Ale może chcesz poznać moją mamę? Wyglądasz jak ktoś, komu poznawanie mam idzie lepiej, niż seks” – opowiada Taylor Tomlinson w swoim drugim stand-upie dla Netflixa. – I nie myślą się – dodaje.

Trudno o żart, który lepiej tłumaczyłby spektakularną karierę Tomlinson.

Ledwie 30-letnia komiczka ma na koncie mnóstwo występów na żywo (tylko w 2023 r. dała ich 130) i w najpopularniejszych komediowych podcastach, trzygodzinne programy wyprodukowane przez Netflixa, rzesze fanów, a od niedawna również własny program komediowy w telewizji CBS – jako najmłodsza prowadząca w stacji i jedyna kobieta w amerykańskiej telewizji. Krążą plotki, że jej historia ma stać się scenariuszem filmowym.

Amerykańscy komicy przez lata robili kariery, naruszając tabu. Nie ma w języku angielskim słowa, które nie padłoby ze sceny w jakimś klubie komediowym, nie ma świętości, która nie zostałaby zszargana, nie ma koszmaru, który nie stałby się pointą żartu. Molestowanie seksualne? Papież? Hitler? Rak? Seryjni mordercy? Policyjna brutalność? Nie trzeba długo szukać. Ale to podejście coraz częściej odbija się w świecie komediowym czawką. Nie tylko, gdy na jaw wychodzi, że nie liczące się ze społecznymi normami sceniczne osoby komików niewiele różnią się od tego, kim są w prawdziwym życiu, jak w przypadku Billa Cosby’ego żartującego z dorzucania kobietom do drinka afrodyzjaku czy molestującego koleżanki po fachu Louisa C.K.

Również dlatego, że w ciągu ostatniej dekady sposób, w jaki postrzegamy relacje władzy i przywileju bardzo się skomplikował. Boleśnie przekonał się o tym powracający na scenę po latach komik Dave Chapelle, niegdyś rozliczający białą Amerykę z rasizmu, dziś sam rozliczany z homo- i transfobicznych żartów.

Złota zasada, zgodnie z którą można było do woli walić w silniejszych, ale nie należało śmiać się ze słabszych, nie jest już taka złota – bo ustalenie, kto jest silniejszy, a kto słabszy, bywa trudne. A pomyłka może się okazać fatalna w skut-

Taylor – „Taylor Swift komedii” – Tomlinson podbija Amerykę. Choć, a może dlatego, że jest nieludzko wręcz niekontrowersyjna.

PLUSZOWE TABU

Nowa ulubienica Ameryki ma w rękawie nie jeden, a kilka asów. Po pierwsze: jest naprawdę zabawna. Po drugie: jest tak sympatyczna, że ją też chciałabym ją przedstawić mojej mamie. Po trzecie: jest nieludzko wręcz niekontrowersyjna.

Z kogo wolno się śmiać?

Inny dowcip w programie Taylor jest o tym, jak myślała, by zacząć umawiać się z kobietami („Chciałam się zorientować, czy jestem biseksualna, czy po prostu obeerzałam za dużo odcinków >Euforii< na raz”). Koleżanka poleciła jej myślowy eksperyment: czy seks oralny z kobietą wydaje jej się obrzydliwy? – Doszłam do wniosku, że nie – tłumaczy Taylor. – Jeśli nie robię nikomu minety, to nie dlatego, że mnie to brzydzi. Po prostu nienawidzę uczyć się nowych rzeczy jako dorosła. Nie mogę znieść bycia w czymś zła.

Albo ten o bezsenności: – Zaczęłam brać marihuanę. Jagodowe żelki w czekoladzie, bo skoro już mam zostać narkomanką, to przynajmniej zjem sobie coś dobrego. Tak bardzo bałam się zmienić w ćpunkę, że przecinałam je na pół i podgryzałam połówkę, póki nie poczułam się senna. Wiecie, jak bardzo trzeba bać się swojego prawdziwego „ja”, by pochylać się nad pojedynczą jagodą, najmnijszym z owoców, z plastikowym nożem z Taco Bell, myśląc: uważaj, nie chcesz stać się kimś, z kim można się dobrze bawić.

Nie są to może żarty, które opowiedziałabym swojej babci. Ale na skali ostrości amerykańskiej sceny komediowej sytuują się gdzieś między kukurydzianym chrupkiem a budyniem waniliowym.

kach. Zwłaszcza gdy obiekty żartów odmawiają zaciskania zębów i udawania, że dobrze się bawią.

I wtedy wchodzi Taylor. Z tą swoją miłą, pyzată buzię.

„Nie znam żadnego cieśli”

Paradoksalnie, jej kariera zaczęła się od skancelowania. Poszło o tweeta: „W łóżku jestem jak dzikie zwierzę. Boję się ciebie dużo bardziej, niż ty mnie”. Kancelującą była przedstawicielka jej parafii. Bo Tomlinson, o czym chętnie i często opowiada, zaczęła jako komiczka kościelna.

Na pierwsze zajęcia ze stand-upu prowadził ją ojciec, gorliwy chrześcijanin („z pewnością tego żałuje”). Taylor miała szesnaście lat i jeszcze niedawno nie wiedziała, że stand-uperzy istnieją, ale na występie pod koniec kursu na czterdzieścioro uczestników dostała najlepsze, zamykające miejsce. Krótko po tym występowała już regularnie, choć do osiemnastego roku życia nie miała wstępu do klubów. Chętnie za to przyjmowały ją kościoły.

Nie żałuje: – Występowałam przed setkami ludzi, pieniądze są dobre i dostajesz dużo darmowego wina – żartowała w programie komika Conana O’Briena. Poważniej dodaje, że była to dobra lekcja: musiała nauczyć się, jak rozśmieszyć widownię unikając przeklinania czy seksualnych podtekstów, które, choć dobrze użyte bywają szalenie zabawne, wielu młodych komików traktuje jak drogę na skróty.

Poza tym religijne wychowanie to niekończące się źródło żartów. – Ludzie



nie zdają sobie sprawy, jak trudno jest być powstrzymująca się od seksu nastolatką. Moje koleżanki mówiły coś w stylu: o nie, spóźnia mi się okres, na pewno jestem w ciąży. Jak mój się spóźniał, myślałam: o nie, noszę w sobie Mesjasza – opowiada. A kiedy śmiechy już opadną, dorzuca: – To duża presja, nie znam żadnego cieśli.

Jako 26-latka żartowała, że choć nie trwa już w abstynencji, to nie może się przekonać do przygodnego seksu. – To po prostu nie dla mnie. Moja przyjaciółka próbowała mnie namówić. – „Musisz spróbować, Taylor”, mówiła. „Nic nie daje ci takiego poczucia władzy, jak móc przecieć typa i po prostu wyjść”. Oczywiście, że jest. Czy udało ci się kiedyś sprawić, że mama typa kocha cię bardziej, niż jego?

Technicznie rzecz ujmując, to żarty o seksie, religii i cudzych matkach. Ale trzeba naprawdę się postarać, by doparzeć się w nich obrazoburczości. Tomlinson nie ma takich zapędów. Można by się spodziewać, że wychowywana w bardzo religijnej rodzinie komiczka na scenie będzie uderzać w konserwatywizm kościoła. Taylor o swojej byłej wspólnocie mówi z szacunkiem. Przyznaje, że przejście do występowania w klubach było świetną decyzją i że nie mogła dłużej pracować w kościelnym obiegu. Ale podkreśla, że jej tweet o dzikim zwierzęciu czy zakaz przeklinania nie były jedynymi powodami. – Czulałam, że występując w kościołach, oszukuję widownię, bo nie podzielałam ich wiary – tłumaczy.

Podobnie łagodnie obchodzi się z rodziną. Tomlinson jest najstarsza z czwórki rodzeństwa, gdy miała osiem lat, jej matka zmarła na raka (co, rzecz jasna, również jest częścią jej programu), a ojciec szybko ponownie się ożenił. Publicznie mówi o nim: surowy, chrońący nas, szczery. Nawet gdy narzeka na jego stwierdzenia, że geje nie powinni zawiierać małżeństw albo poradę, by zjadła łyżkę masła orzechowego, jeśli ma depresję, szybko dodaje: – Kocham ich. Ludzie, którzy nienawidzą swoich rodziców, po prostu mają nierealistyczne oczekiwania. To tylko ludzie. Są beznadziejni. Jak my wszyscy.

Ten żart pochodzi z 2019 r. Trzy lata później na scenie Taylor żartowała, że przestała rozmawiać z rodzicami („Kiedy mówisz coś takiego, widzisz, jak ludziom robi się smutno. Żaluję, że nie mają tyle jaj”). Kiedy w 2024 r. dziennikarz Jason Zinoman przygotowywał jej sylwetkę dla magazynu „New York Times”a”, tego żartu już w repertuarze nie było. Taylor zaś o rodzinie mówiła oszczędnie.

Jak wyglądają teraz ich relacje? I jak jej konserwatywny, religijny ojciec dogaduje się z jej transplciowym bratem i siostrami-lesbijkami? Tego publiczność się nie dowie.

Umawiasz się z komikiem? Uważaj
Dowie się za to wiele o dwóch ulubionych tematach millenialsów. Pierwszym z nich jest, rzecz jasna, randkowanie. W programie Taylor są żarty z Tindera, singielstwa, złamanego serca i relacji z partnerami. W tym o związku z Samem Morrilem starszym od niej o siedem lat komikiem.

Tomlinson i Morril zaczęli się spotykać jesienią 2019 r., niedługo przed premierą na Netflixie pierwszego, godzinnego stand-upu Taylor „Quarter Life Crisis”. Sam fakt, że zaledwie 25-letnia komiczka dostała propozycję występu od platformy, było ogromnym sukcesem. W dodatku stand-up został entuzjastycznie przyjęty przez widownię i krytyków. Przed Tomlinson otworzyły się drzwi do kariery.

Tyle że „Quarter Life Crisis” wchodzi na ekrany 3 marca 2020 r., gdy epidemia lodzcy w USA odnotowują pierwsze zakażenia koronawirusem. Tydzień później Ameryka zaczyna się zamykać. Ludzie siedzą w domach samotni i przerażeni.

Tomlinson i Morril są w związku na odległość: ona mieszka w Los Angeles, on w Nowym Jorku. Jak wiele par Tom-

linson i Morril postanawiają spędzić lockdown razem. Jak nieliczne – robią z tego show. Krótkie filmiki opatrzone hasłem „Świeża para w kwarantannie” publikują na swoich instagramowych kontach i YouTube. Żarty nie są super oryginalne, za to łatwo się z nimi utożsamić. – Jesteśmy jak nieznany początek „Historii małżeńskiej” – mówiła Taylor dziennikarzowi „Daily Beast”.

Od bohaterów filmu Noaha Baumbacha, opowieści o rozwodzącej się parze, odróżnia ich lepszy refleks. Owszem, zdążyli się zaręczyć, ale Tomlinson zmieniła zdanie przed sakramentalnym „tak”. Gdy w 2022 r. netflixiową premierę miał jej drugi stand-up, opowiadała już żarty o zerwanych zaręczynach („Pierścionek ciągle się w coś zaplątywał. Na przykład w sweater. Albo w moją wolność”).

– Umawianie się z komikiem powinno wymagać dodatkowej zgody. Wszystko, co powiesz, może zostać podane do publicznej wiadomości. Ale jeśli komik spotyka się z komiczką, to każde zagranie jest czyste – mówiła Tomlinson Mattowi Wilsteinowi w podcaście „The Last Laugh”. (Morril na scenie: – Wiecie, jaką mam strategię po zerwaniu? Jakies trzy miesiące później piszę dziewczynie smsa: „miałaś rację w każdym względzie”. Głos z widowni: – To okrutne, mieszasz jej w głowie. Morril: – O to chodzi).

„Płatki śniegu” wchodzą na scenę
Pandemia przyniosła Tomlinson nie tylko zaręczyny, ale i diagnozę: choroba afektywna dwubiegunowa. Jej drugi stand-up, „Look at You”, to rozważania o kolejnym ulubionym temacie millenialsów: terapii, lekach i zmianach z nimi związanych („Ostrzegają cię, że leki zmniejszą ci libido. Widzę to po sobie. Chciaż, tak szczerze, nie wiem, czy mam niższe libido, czy po prostu wyższe standardy”).

Moje koleżanki mówiły: o nie, spóźnia mi się okres, na pewno jestem w ciąży. Jak mój się spóźniał, myślałam: o nie, noszę w sobie Mesjasza

I znów: to doświadczenie, z którym mogą się utożsamić miliony fanów i fanki Taylor. Zwłaszcza po pandemii, która z jednej strony nadszarpnęła nasze (i tak już nie najlepsze) zdrowie psychiczne, z drugiej – sprawiła, że o swoich problemach, diagnozach i lekach zaczęliśmy mówić dużo otwarciej.

W dodatku, w przeciwieństwie do wielu starszych kolegów, Tomlinson wie, jak to robić, nie obrażając osób zmagających się z nimi. Może to kwestia doświadczenia pewnych rzeczy na własnej skórze: osoby z jej pokolenia dorastały wśród narzekania, że są roszczeniowymi, przewrażliwionymi „płatkami śniegu”, które powinny wziąć się w garść i przestać się nad sobą użalać. Taylor, jak większość millenialsów, nie wiele sobie z tego robi. Wrażliwość na siebie i innych, która niegdyś – zwłaszcza w komedii – uważana była za powód do wstydu, dziś jest społeczną normą.

A to zobowiązuje. Tomlinson zdarza się rzucać złośliwości pod adresem faceków, ale większość jej żartów dotyczy jej samej. To zresztą jedno z podstawowych narzędzi stand-upu: widzowie są skłonni pójść za tobą i zaakceptować nawet bardzo ryzykowne żarty, o ile poczują do ciebie sympatię. Najszybciej można ich zaś do tego skłonić, odsłaniając swoją ludzką stronę: słabość, lęk, porażkę. Komicy przez lata ćwiczyli się więc w czymś, co określa się jako „samoponiżający hu-

mor”: podkreślanie i wyolbrzymianie swoich wad. Ale wraz ze zmianą pokoleniową w środowisku coraz częściej wybrzmiewają głosy ludzi, którzy w hejtowaniu samych siebie widzą nie dowód na wewnętrzną siłę, a toksyczną cechę.

Co nie znaczy, że żarty komików z samych siebie przestały bawić albo wyleciały z programu. Po prostu się zmieniły: niekoniecznie chodzi w nich o dokopanie sobie jak najmocniej, raczej o znalezienie równowagi między koniecznym do wyjścia na scenę narcyzmem a krytycznym podejściem do siebie.

Taylor robi to świetnie: może i opowiada o złych decyzjach, żenujących momentach z życia czy problemach w związkach, ale nie jest przy tym bardziej surowa, niż byłaby w stosunku do lubianej koleżanki.

Komiczka czasów TikToka
Choć poza sceną wymaga od siebie wiele. Po drugiej produkcji Netflixa opowiadała w wywiadach, że dopiero uczy się odpowiadać: głównie dlatego, że jeśli weźmie na siebie za dużo zobowiązań, ostatecznie to odchoruje. Jak jej idzie ta nauka, trudno powiedzieć – do dziś podczas trasy gra po dwa występy dziennie, w ubiegłym roku kilkukrotnie zdarzyło jej się przeproszać i odwołać część z powodu choroby.

O swoim sukcesie nie mówi jak o zbiegu okoliczności, czy cudownym odkryciu jej talentu, ale o ciężkiej pracy. Nie zawsze z bohemiańskim sznytem nocnych klubów. Jako nastolatka poza kościołami występowała w kawiarniach, później na wielkich statkach wycieczkowych, co wspomina jako koszmar, ale też dobrze płatną pracę, która wiele ją nauczyła (m.in., żeby nigdy więcej nie występować na statkach).

Nie czekała na odkrycie, tylko zatrudniła agentkę i zgłaszała się na castingi, dzięki czemu jako 22-latka wzięła udział w telewizyjnym talent show „Last Comic Standing”

– i znów, choć uważa, że producenci nie byli wobec niej do końca uczciwi, podkreśla, że wiele się dzięki niemu nauczyła.

Świetnie rozumie też, jak działają współczesne media. I nie obraża się na to. Kiedy po występie w „Last Comic Standing” Netflix zaproponował jej pierwsze nagranie, dając do wyboru 30 albo 15 minutowy program, wbrew intuicji wzięła krótszy – uznała, że może powie mniej żartów, ale za to dotrze do większej widowni, w tym ludzi, którzy nie poświęcają występom komików całej swojej uwagi, lecz oglądają ją na telefonach, robiąc w tym czasie inne rzeczy. Do dziś jej monologi skonstruowane są tak, że idealnie nadają się do wykrojenia z nich małego fragmentu na Instagrama czy TikToka.

Poza tym Tomlinson jest po prostu bardzo, bardzo dobra. Jej żarty są zabawne, wycucie tempa perfekcyjne, riposty cięte. Nie jest pozbawiona osobowości paprotką, ale nikogo też serio nie obraża. Ma nie tylko twarz, ale i sposób bycia milej, rezolutnej dziewczyny. Takiej, która rozumie, przez co przechodzisz i sprawia, że czujesz się lepiej ze swoimi złymi decyzjami, żenującymi momentami i niedoskonałościami. Pod pierwszym odcinkiem jej show w CBS ktoś skomentował: przyszedłem tu zhejtować ten program, ale Taylor jest naprawdę zabawna. To wyjątek – reszta komentujących przyszła powiedzieć Taylor, jak bardzo ją lubią.

Płomienne manifesty? Nie, dziękuję

To właśnie fani ochrzcili ją „Taylor Swift komedii”. Pytana o to Tomlinson odpowiada, że jest zaszczycona, ale uważa to porównanie za przesadę. – Myślę, że to chodzi głównie o imię – dodaje. Skalą popularności z pewnością nie dorównuje Swift (ale, powiedzmy to sobie szczerze, skalą popularności Swift nie dorównuje nikt poza Chrystusem).

Łączy je jednak więcej niż tylko imię, kolor włosów i podobny wiek. Gdyby stand-upy Taylor Tomlinson określić innym rozpropagowanym przez millenialsów angielskim pojęciem, byłoby to: „safe space”.

Z początku to pojęcie pojawiało się głównie na queerowych imprezach, spotkaniach feministek czy osób, które miały za sobą trudne doświadczenia i bały się retraumatyzacji. Oznaczało miejsca wolne od agresji, rasizmu, seksizmu, homo- i transfobii, przystosowane do potrzeb osób nieneurotypowych. Z czasem jego znaczenie rozmyło się. Dziś „safe space” coraz częściej ma oznaczać środowisko, w którym każdy może poczuć się komfortowo i bezpiecznie. Problem w tym, że działa to tylko w teorii. W praktyce słowo „każdy” jest zawsze na wyrost, a komfort jednych często osiąga się kosztem innych. Czasem zwyczajnie ich nie zauważając.

Krytykowanie za to poszczególnych twórców jest niesprawiedliwe. Nie ma nic złego w tym, że Taylor Tomlinson nie wygłasza płomiennych manifestów, tylko opowiada swoją historię, która – tak się składa – jest historią białej, atrakcyjnej, heteroseksualnej dziewczyny z kalifornijskiej klasy średniej. Przeciwnie, byłoby nie w porządku, gdyby komiczka ze swojej pozycji próbowała zabierać głos w imieniu grup mniej uprzywilejowanych.

Podobnie trudno zarzucać Taylor Swift, że nie jest Patti Smith czy Bobem Dylanem, a piosenki pisze głównie o swoich byłych lub obecnych chłopakach. Piosenkarka nie pozuje na wielką autorkę ani głos pokolenia. Zamiast tego pisze mile piosenki, w których wiele osób się odnajduje.

Obie Taylor są niewątpliwie utalentowane, obie ciężko na swój, nie tylko artystyczny, ale i finansowy, sukces pracowały, obie odniosły go w branżach, w których młode kobiety traktuje się w najlepszym razie lekceważąco. Ale trudno nie zastanowić się, jak dalece poza talentem i ciężką pracą pomógł im fakt, że są miłymi, grzecznymi, niekontrowersyjnymi dziewczynami z dobrych domów, które łatwo polubić. Z którymi amerykańskiej białej klasie średniej łatwo się utożsamić i która nie zmusza ich do konfrontacji z niewygodną innością.

Trudno też nie pomyśleć, że powierzenie młodej kobiecie prowadzenia cotygodniowego programu komediowego w dużej stacji telewizyjnej to krok do przodu. Ale powierzenie go tej konkretnie kobiecie to krok bardzo bezpieczny. I dobrze skalkulowany. W czasach streamingu telewizje widzą spadające słupki i wiedzą, że we współczesnym, coraz bardziej stanowczo domagającym się równości świecie, raczej nie podniesie ich kolejny talk-show prowadzony przez ubranego w garnitur pana po pięćdziesiątce. ●

• Stand-upy Taylor Tomlinson „Quarter Life Crisis”, „Look At You” i „Have It All” można zobaczyć w Netflixie.



• **Propalestyńskie protesty studenckie na Uniwersytecie Columbia. Zwolennik Izraela próbuje zerwać flagę Palestyny**

Studencki bunt to element marki amerykańskich uczelni, umieszczany w folderach dla licealistów.

Mateusz Mazzini

Pierwszy raz zetknąłem się z protestami studenckimi na Oksfordzie. Był rok 2013, a studencką lewicę zajmowało podniesienie przez rząd Camerona czesnego na uczelniach. Kiedy na kampusie pojawił się wicepremier Nick Clegg, ulicami przeszła demonstracja.

W tym samym czasie na uczelni zaczęły pojawiać się słowa dziś tam powszechne: *safe space*, ostrzeżenia przed niekomfortowymi treściami, inkluzywność. Pamiętam zebranie samorządu studenckiego, na którym ktoś poruszył temat *safe space*. Większość zebranych była przekonana, że chodzi o polepszenie fizycznego bezpieczeństwa na kampusie, lepsze oświetlenie nocą – mało kto kojarzył termin z salą wykładową. Już dwa lata później na Oksfordzie odwołano debatę o aborcji – lewicowi studenci sprzeciwili się uczestnictwu panelisty mężczyzny.

Kiedy na uczelniach w USA, nieporównywalnie bardziej spolaryzowanych od brytyjskich, ale obudowanych podobnym prestiżem, wybuchły propalestyńskie protesty, odezwałem się do znajomych z Oksfordu, spośród których wielu studiowało też na uczelniach Ligi Bluszczonej. Wszyscy byli w szoku. Jeden z kolegów, prawnikowy Żyd, napisał, że to szaleństwo. Koleżanka, lewicowa Żydówka, krytyczna wobec Benjamin Netanjahu, odpisała, że brakuje jej słów, by to analizować. Inni podsyłali zdjęcia ulotek z kampusu Columbia University, z nagłówkiem brzmiał „Jesteśmy komunistami Ameryki, jest nas już 30 milionów”. Z jednej strony brzmiało to bardzo radykalnie, z drugiej – nie odbiegało specjalnie od poprzednich fal protestów, zwłaszcza na Columbii, która studenckie nieposłuszeństwo uczyniła jednym z elementów swojej marki, reklamuje się nim w folderach dla licealistów. Czy rzeczywiście jest więc czym się martwić?

Postanowiłem zapytać praktyka i teoretyka jednocześnie. **Profesor Jan Kubik**

jest antropologiem, zajmuje się zjawiskami na styku polityki i kultury, polityką protestu i populizmem. Jednocześnie zna anglosaski świat akademicki, gdyż pełni funkcje administracyjne i zarządcze – jako **dyrektor Instytutu Nauk Politycznych na Rutgers University w Nowym Brunzwicku (New Jersey) i profesor emeritus Sławiśtyki i Studiów Wschodnioeuropejskich na University College London**.

MATEUSZ MAZZINI: Od dwóch dni siedzę nad notatkami do naszej rozmowy, przeczytałem chyba wszystko, co o tych protestach napisano w najważniejszych publikacjach – i dalej nie wiem, od czego zacząć. Brakuje mi kategorii, żeby to opisać. Bo co to jest? Rewolta? Powtórka z 1968 roku? Złot pożytecznych idiotów?
JAN KUBIK: – Zajmuję się protestami naukowo, studiuję ruchy społeczne od dekad, i o tym, co się dzieje teraz, myślę właśnie w takich kategoriach.

Sam studiowałem na Columbii i wiem, że to tak naprawdę trzecia – nie druga – fala protestów na tej uczelni. Najpierw, w 1968 r., były dwa postulaty. Studenci domagali się, żeby uniwersytet przestał wykonywać badania dla armii, bo trwała wojna w Wietnamie. Drugi postulat dotyczył budowy sali gimnastycznej za głównym kampusem, już w Harlemie, czyli czarnej dzielnicy. Miała być wyłącznie dla studentów, a protestujący chcieli, by stała się publiczną.

Drugi raz, trochę zapomniany, pamiętam dobrze, bo sam w nim uczestniczyłem. W 1985 r. protestowaliśmy przeciwko związkowi finansowemu uczelni z reżimem w RPA i polityką apartheidu. Już kończyłem studia, żona była w ciąży, rzadko bywałem na kampusie – ale uczestniczyłem w przemarszach, zakończonych sukcesem. Wiosną zaczęliśmy demonstracje, a na jesieni już było wiadomo, że strumienie finansowania do Afryki, zostały zidentyfikowane i zablokowane.

A teraz? Czego studenci właściwie chcą?

– Głównym żądaniem na wszystkich amerykańskich kampusach, jest zawieszenie broni w Strefie Gazy oraz zerwanie koneksji z firmami, które robią jakiegokolwiek interesy z rządem Izraela albo inwestują w Izraelu. Pojawiają się gdzieś tam hasła bardziej radykalne, ale mgliste, niedoprecyzowane – niektórzy studenci mówią, że będą „kontynuować walkę tak długo, aż Palestyna będzie wolna”.

Co to znaczy? Będą okupować kampusy, aż nie powstanie państwo palestyńskie?

– Tego nikt nie precyzuje. Usiłuję zrozumieć te protesty, bo lada moment mam wygłosić przemówienie na zakończeniu roku akademickiego, i poważnie się zastanawiam, co będzie, jeśli – na przykład – będę mówić, a ktoś zacznie maszerować przed mównicą z palestyńską flagą, a potem na tę osobę jakiś zwolennik Izraela zacznie wrzeszczeć z sali. Co wtedy zrobimy? Nie wiem.

Ci bardziej radykalni studenci nie chcą rozwiązania polegającego na współistnieniu dwóch państw. Przy czym nie wszyscy są po stronie Palestyny. Są tacy, którzy chcą eliminacji wszystkich Palestyńczyków oraz pełnego przejścia przez Izrael kontroli nad Zachodnim Brzegiem i Strefą Gazy.

Dwie skrajności się napędzają, ale to jest inna sytuacja niż w 1968 r. Najważniejsza różnica polega na zachowaniu policji i władz. Wtedy to się bardzo źle skończyło.

Oglądałem zdjęcia z tamtych słynnych protestów, czytałem relacje i bardzo się dziwiłem. Dziś komentatorzy rozpisują się o brutalnej pacyfikacji, ale tamte zajścia były znacznie bardziej przemocowe. – Nigdy nie jest tak, że jacyś ludzie pojawiają się i mówią: my tu jesteśmy, żeby coś spalić, a na to służby porządkowe odpalają armatki wodne i gaz łzawiący. To zawsze dynamiczny proces, który eskaluje.

W 1968 eskalacja nastąpiła w momencie wejścia policji na kampus. Wtedy policja była naprawdę brutalna, byli ranni. A w 1985 już na kampusie policji nie było w ogóle – a przecież Hamilton Hall, ten sam budynek, który okupowano teraz, był okupowany przez kilka tygodni. Pamiętam, że gdy szedłem w marszu przeciwko apartheidowi, policjanci byli, ale dyskretnie i bardzo się pilnowali, żeby nie interweniować.

Z czego wynika ta różnica? Rozumiem, że USA z 1968 i z 1985 r. to dwa różne kraje, różne wrażliwości i świadomość praw obywatelskich, różne konteksty, ale żeby aż tak?

– Z tego, że rok ‘68 skończył się katastrofą. W wyniku konfrontacji studentów z policją, które przerodziły się w zamieszki, masa ludzi została aresztowana, było mnóstwo zdjęć przewracanych policjantów na ulicach, ranni – i sporo ludzi wycofało pieniądze z uczelni. A to prywatny uniwersytet, który funkcjonuje po części dzięki dotacjom od absolwentów. W dodatku ma od zawsze liberalną, progresywną orientację, związanych z nim jest sporo Żydów, w całym Nowym Jorku wielu ludzi, w tym bogatych, ma z Columbią jakieś powią-

zania. I oni zaczęli wycofywać pieniądze. Dlatego władze nie mogły czegoś takiego powtórzyć. Broń Boże, żeby na kampusie pojawiła się policja. Poza tym w 1985 r. sprzeciw wobec apartheidu nie był wtedy jakoś specjalnie kontrowersyjny, łączył stopniu lewicę i prawicę.

Teraz mamy zupełnie inną sytuację, w pewnym sensie tragiczną. Po pierwsze, temat Izraela i Palestyny nieprawdopodobnie ludzi dzieli. Po drugie – uniwersytety w USA są naprawdę pod ostrzałem. Trwa ostry atak republikańskiej prawicy, w którym oprócz elementów kiepskiej komedii są już momenty prawdziwej tragedii. Przypadkowi, niedouczenni ludzie w Kongresie zabierają się do opowiadania, jak powinno się prowadzić nauczanie na uniwersytetach. Trump już codziennie mówi, że trzeba walczyć ze „skrajnie lewicowymi komunistami i faszystami” z Partii Demokratycznej.

A władze uniwersytetów są między młotem a kowadłem. Z jednej strony mają oszałałych radykałów propalestyńskich, często popierających Hamas, a z drugiej – oszałałych Republikanów. Każdy kolejny dzień tych protestów daje amunicję Trumpowi. A jest rok wyborczy. I nie jakiś zwyczajny, który po kolejnej kadencji będzie tylko notą w podręcznikach politologii. Te wybory są naprawdę ważne dla świata. Wszak niedawno Trump oznajmił, że zamierza deportować 12 mln osób. Czyli w istocie wprowadzić państwo policyjne.

Rozumiem, że to bardzo angażujący, wyrazisty, światopoglądowy konflikt związany z wieloma tabu i konstytutywnymi dla zachodnich demokracji wątkami, który łatwo podkreślić w mediach społecznościowych. Ale czy czasem spór o Palestynę nie stał się kolejnym piętnem już istniejących wojen kulturowych w USA? Poczynając od tego, że Palestyńczyk to dziś wykluczony, a Izraelczyk – członek białego przywileju.

– To jest jakiś kolejny sposób wyrażania starożytnego klasowego konfliktu. Ale też nie jest tak, jak się nam zdaje – że całe pole kulturowe młodzi zaangażowani dzielą wzdłuż linii opresji – przywilej. Ja wcale tego tak często nie słyszę, a w końcu jestem na uniwersytecie cały czas.

Tu chodzi o coś głębszego. Często dyskutuję z kolegami i koleżankami o treściach naszych sylabusów. Sporo ludzi usiłuje zrozumieć złożoność postaw i sposobów rozumowania tego pokolenia, żeby wymyślić sposób rozmowy ze studentami na ważne, trudne tematy społeczne, obyczajowe, kulturowe. I bywa, że w gronie wykładowców za-

dajemy sobie pytanie, czy my się w ogóle z tą nową generacją jesteśmy w stanie dogadać.

W jakim sensie? Słownictwa?

– Wielu z nich funkcjonuje w innym świecie i kulturze. Inaczej czytają, są przylepieni do telefonów, mają deficyty uwagi. My się cały czas zastanawiamy, jak inaczej uczyć, jak inaczej mówić, nie za długo, robić interaktywne wykłady – bo oni często nie są w stanie słuchać, nie umieją robić notatek.

Nie oceniam, że to złe, tylko dostrzegam generacyjną szczelinę, z którą nie wiadomo, jak się obchodzić. Dam przykład. Na jednym z kursów doszło do sytuacji konfliktowej wokół Izraela i Gazy. Studenci w ramach ćwiczeń mieli przygotować prezentacje o działaniach izraelskich wojsk w Palestynie. Dziewczyna, muzułmanka w burce, prezentację zatytułowała „Izraelskie zbrodnie wojenne w Gazie?” – ze znakiem zapytania.

Zaraz się okazało, że to prowokacja, a praca jest bardzo wyważona, ale inna studentka, Żydówka, wybiegła z sali, natychmiast weszła na Instagram i napisała, że coś strasznego się wydarzyło na zajęciach i że ona już nie czuje się tu bezpiecznie. Potrzebuje *safe space*, bezpiecznej przestrzeni. Prowadzący w ogóle nie wiedział, o co chodzi. A ta dziewczyna w kilka godzin zebrała 7 tysięcy lajków i 3 tysiące komentarzy. Przeczytałem kilkaset i zrobiło mi się słabo, bo zaczęły się pojawiać wpisy w stylu „tylko mi daj nazwiska, ja się tym zajmę”.

A co na to uczelnia?

– Otrzymała formalną skargę tej studentki, ale wpłynęła też skarga studentki muzułmańskiej, która napisała, że jej słowa zostały przekręcone, a ona stała się przedmiotem niewybrednego ataku. I co teraz mamy zrobić?

Składam to na karb mediów społecznościowych, które pozwalają reagować natychmiast, bez chwili na ochłonięcie, natomiast można by powiedzieć, że takie zachowania to cecha i przywilej młodości, która nie lubi odcieni szarości, jest pryncypialna w postawach. Ale wykładowcy też się zmienili. Wciąż są profesorowie ostrożniejsi, usiłujący patrzeć w sposób bardziej zniuansowany – w przypadku Palestyny to ci, którzy coś wiedzą o historii tego regionu – ale pojawiają się radykalowie, którzy chętnie używają ostrego, czarno-białego języka, oraz ludzie mocno proizraelscy.

Znany publicysta George Packer napisał w „Atlanticu”, że teraz jest inaczej niż w 1968 roku, bo wtedy przeciwko Wietnamowi, amerykańskiemu imperializmowi, kompleksowi militarnemu i tak dalej występowali studenci, oni tworzyli ten język, pojęcia. A teraz studenckie tezy i ogląd podziela spora część wykładowców.

– Niezupełnie. Już w tamtych czasach na uczelniach była silna lewica profesorska, która się zgadzała ze studentami. Przecież skądś się wziął ten motyw zaangażowanego, postępowego wykładowcy. Ale pamiętajmy o kontekście – protest przeciwko Wietnamowi to nie była tak polaryzująca sprawa, w kręgach intelektualnych, kreatywnych, artystycznych generalnie raczej się było przeciwko wojnie.

Chodzi raczej o to, że zmieniły się hierarchie akademickie. Wtedy na elitarnych uczelniach w USA czy Wielkiej Brytanii starzy profesorowie mieli autorytet i władzę, w oczy rzucali się atrakcyjni popkulturowo i medialnie młodszy, kontestujący różne status quo wykładowcy, ale była dominacja – pewnie trochę nieuświadomiona – białych, umiarkowanych mężczyzn w średnim i starszym wieku. Dziś tego nie ma.

Ciała profesorskie są zróżnicowane, jest dużo więcej kobiet, osób z mniejszości etnicznych i nie do pomyślenia jest, żeby jakiś profesor celebryta mówił dziekanowi, co ma robić. Mamy inne struktury społeczne, inne kulturowe przesłanki, na których budowany jest autorytet. Czasami ludzie wpadają w anachronizm w myśleniu, przekonani, że można porównać rok 2024 z 1968. Okej, chronologicznie to pół wieku z okładem, ale technologicznie, a co za tym idzie, mentalnie, to paręset lat.

Uniwersytety dalej są fabrykami elit?

Zwykło się uważać, że może i przeciętny Amerykanin niewiele wie, tyle, coyczyta w „Reader’s Digest”, ale ludzie po uczelniach, czyli w taki czy inny sposób decydujący o polityce kraju – są znakomicie wykształceni, rozumieją świat, mają elastyczne umysły. Ale jak patrzę na te protesty, to mam wrażenie, że tam nie ma w ogóle niuansu. Te hasła są uproszczone, często głupie. Jak z czegoś takiego miałyby wyjść przyszłe elity?

– Coś takiego, jak elity wyrosłe na uniwersytecie, na pewno wciąż jest – ale niekoniecznie, jak niegdyś, po obu stronach. Jeśli oglądasz lewą albo centrolewicową stronę mediów, to widzisz, że dziennikarze PBS, NPR, MSNBC, CNN są w większości absolwentami kilku elitarnych szkół. Ale na prawicy tak nie jest. W Fox News większość dziennikarzy czy liderów opinii wywodzi się z innych kręgów. Albo z mniejszych szkół, albo z college’ów założonych przez kościoły neoproteстанckie. Natomiast duże szkoły, z Ligi Bluszczonej, tworzą elity lewicowe.

Dlaczego?

– Te szkoły kojarzą się ze starymi przywilejami, starymi pieniędzmi i establishmentem, ale są nie tylko ulokowane w bardziej liberalnych stanach, lecz też w społecznościach o znacznym większym stopniu różnorodności. Choćby nasz uniwersytet jest uznawany za jednego z liderów różnorodności w całym kraju. Dynamika zmian jest nieprawdopodobna. U siebie na wydziale widzę, jaki wysiłek w ciągu 30 lat wykonał uniwersytet, żeby zdwersyfikować grono. Mamy dużo więcej kobiet, dużo więcej przedstawicieli mniejszości. Rozumiem, że ktoś może o tym myśleć niezbyt entuzjastycznie, bo to jednak powoduje utratę jakiejś jedności, a w szczególności władzy „starej elity.” Ludzie – analizując świat, zwłaszcza w humanistyce i naukach społecznych, zawsze robią to w relacji ze swoimi przekonaniami – ale ja doceniam to, że wśród moich kolegów jest coraz większe bogactwo perspektyw, nowych podejść.

Również w kwestii Izraela i Gazy?

– A z tym jest gorzej. Różnice w ocenie tego konfliktu są dramatyczne. Zamierzałem zrobić warsztat, żebyśmy wszyscy sobie o tym porozmawiali, ale zorientowałem się, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Nie damy rady zapamiętać nad głębokimi przekonaniami. Ci z lewicy zaczną mówić językiem przywileju i dekolonizacji, a wtedy ktoś, kto jest głęboko osadzony w izraelskiej kulturze, się sprzeciwi, bo zwyczajnie tego nie przelknie.

Ja mam wrażenie, że obie strony zaczynają mówić językiem aktywizmu. Izraelczycy też mówią o opresji i antykolonializmie. Ale może skoro pozwoliliśmy na język „safe spaces” i komfort w każdej sytuacji, nie mamy prawa się dziwić, że ludzie z niego korzystają?

– Do opinii publicznej nie przebija się przekaz o złożoności ruchów studenckich. To nie jest takie zerojedynkowe. Jest choćby bardzo wielu studentów izraelskich, którzy są przeciwko Netanjahu, popierają zawieszenie ognia, a jednocześnie nie mają złudzeń co do Hamasu. Przecież aż do ataku do 7 października głównym tematem rozmów o Izraelu była nie kwestia palestyńska, ale próba zniszczenia niezależności Sądu Najwyższego przez Netanjahu i największe w historii Izraela protesty. 7 października to wszystko przykrył, ale ludzie, którzy w myśleniu wychodzą poza binarne ujęciem „Izrael albo Hamas”, nie znikli.

Tylko że do mediów to się nie przebieja. Smutna anegdota od nas, z Rutgers. Protest zakończył się pokojowo, uniwersytet dogadał się ze studentami, spełnił 8 z 10 żądań, między innymi da stypendia palestyńskim studentom i przekształci centrum studiów bliskowschodnich w osobny wydział. W lokalnej telewizji jeden z liderów protestów się wypowiada, że studenci są zadowoleni, zwijają namioty, jest porozumienie. Po czym przed kamerę wpada jakiś gość i krzyczy, że oni nie przestaną walczyć, dopóki Palestyna nie będzie wolna. No więc ekipa tele-

wizyjna idzie do grupy studentów pro-izraelskich i skupia się na chłopaku, który klaruje, że jeśli to jest protest anty-Netanjahu, to jest antyizraelski, a antyizraelski znaczy antysemitcki i kropka.

Tacy ludzie zawsze się znajdują, na każdym protestie, ale to, że przyciągają uwagę dziennikarzy, nie znaczy, że jest ich większość.

Ale co to ma wspólnego z językiem aktywizmu na uczelniach?

– Bardzo dużo, bo na tę wąską, spolaryzowaną ramę pojęciową – że każda krytyka Izraela jest antysemityzmem – nakłada się ten język bezpiecznej przestrzeni, komfortu. Skoro oni widzą w każdej krytyce Izraela antysemityzm, to nie czują się bezpiecznie, więc nie podejmują debaty, tylko biegną z alarmem przed kamery albo do mediów społecznościowych. I wrzenie, że dzieje się coś bardzo niebezpiecznego – a co, to już obserwator dośpiwuje sobie w zależności od poglądów – się utrwała.

Potem ta ekipa telewizyjna zapytała innych żydowskich studentów i usłyszała, że oni żadnego antysemityzmu nie widzą. A gdy ja zapytałem szefową judaistki, czy u nich coś się dzieje złego, odpowiedziała, że wszystko jest OK, nich ich nie napastował, za to jacyś wandalę zaatakowali centrum muzułmańskie, zniszczyli dzieła sztuki.

Ten język *safe spaces* to klęska rozumu. Nie da się prowadzić rozmowy uczciwej i jednocześnie analitycznej, zbudowanej na zebranej wiedzy, jeśli wcześniej czy później ktoś z powodów emocjonalnych oznajmia, że wskutek tematu czuje się niekomfortowo. To dla socjologów jest bardzo ciekawe, ale na co dzień zaczynasz się modlić, żeby nie doszło do jakiegoś fizycznego incydentu. I zaczynasz myśleć, że policja na kampusie, choć jest zaprzeczeniem idei tej przestrzeni, to dobry pomysł.

Jesteś w stanie w ogóle prowadzić jakąkolwiek debatę z studentami na zajęciach? Bez tego przecież nauki społeczne nie istnieją. Pamiętam, że zawsze zadawałeś mi to samo pytanie: skąd wiesz to, co wiesz. Dzisiaj można je zadać?

– Tak, ale to bardziej ryzykowne, bo można szybko odkryć, że za głoszonym sloganem nie ma danych, wiedzy. A osoba, której się to wytknie, może się poczuć zagrożona i pójść na skargę.

To jak prowadzisz zajęcia?

– Dużo ostatnio myślę o dziedzictwie Oświecenia i wraca do mnie myśl, z której zresztą często korzystają konserwatyści – że totalitaryzm może powstać także na bazie myślenia oświeceniowego. Jest coś w myśli, że jak przegniesz w kierunku dominacji rozumu i dasz za dużo racjonalizmu kosztem uczuć, to możemy skończyć w gulagu albo w Auschwitz.

Ale w pewnym momencie wskutek obawy przed takim przejęciem następuje to, co nieprecyzyjnie nazywamy postmodernizmem, z ostrą krytyką rozumu i dowartościowaniem emocji, skoncentrowaniem na potrzebach jednostki. Trzeba mozołnie uczyć podstaw m+++yslenia analitycznego i przyzwyczajając ludzi do dyskomfortu wywołanego uporczywym dopytywaniem się, skąd wiedzą, co wiedzą.

20-30 lat temu na zajęciach też odbywały się ostre dyskusje, ale potem studenci szli razem na piwo. Może się w pubie kłócili, ale szli razem...



Lewica jest dużo słabsza od prawicy, radykalizm prawicowy przybiera na sile. Uniwersytety są pod ostrzałem republikańskiej prawicy, a co gorsza, te ataki są antyintelektualne i wykluczające

... dzisiaj już nie pójdą?

– Nie tylko nie pójdą, ale jeszcze w trakcie debaty niektórzy się naburmuszają, a czasem wyjdą, trzasną drzwiami, będą oburzeni, gotowi złożyć na ciebie skargę do władz uczelni. I natychmiast napiszą o tobie w mediach społecznościowych. Przy czym to przypadłość ogólnoludzka, nie tylko lewicowa. Mam kolegę, który już lata temu stał się celem takich ataków prawicowych aktywistów, którzy już wtedy zakładali, że całe środowisko akademickie w USA jest lewicowe. Czytasz o sobie koszarne rzeczy, ciągną cię po sądach, nie możesz pracować, pisać, uczyć, tylko się tym zajmujesz.

Z wielu rozmów wynika, że ludzie podzielili się na tych, którzy wszędzie szukają drugiego dna i doszukują się ukrytych relacji władzy oraz tych, którzy rozpaczliwie wręcz próbują być bardziej konkretni, nazwijmy to „pozytywistyczni”.

Coś się chyba jednak musiało zmienić na lepsze w ostatnich latach?

– Na pewno wiele nam dała różnorodność. To wzbogaca, daje nowe perspektywy. Wiesz, jak przychodzi do mnie czarna studentka i zaczyna opowiadać, ile dla niej znaczy fakt, że jej opiekunką naukową jest czarna pani profesor, to zaczynasz rozumieć, że wreszcie uniwersytet daje takim ludziom coś, czego nie dawał wcześniej. Dla tej studentki jej opiekunka jest wzorem do naśladowania, więc pojawia się relacja, która wcześniej była niedostępna. To nie znaczy, że ta czarna profesor daje jej coś intelektualnie lepszego czy gorszego od białego profesora, ale dzięki temu tej studentce łatwiej jest wejść w świat myśli, który wcześniej był lub wydawał się jej niedostępny. Niby nie wielkiego, ale przecież to wielkie osiągnięcie w modelu, w którym wierzymy, że student terminuje u profesora, rozwija relację, czerpie coś więcej, niż tylko wiedza.

Ale uważaj – na zajęciach z doktorantami nie robię autocenzury. Owszem, w pewnym momencie przerywam wykład i mówię: to, co teraz powiem, to nie jest analiza, tylko moja prywatna ocena, chciałbym żebyście też tak robili, nie ma nic złego w tym, żebyście wyrazili opinie, ale starajcie się to trzymać z dala od analizy. I doktoranci nie mają z tym problemu. Natomiast na studiach licencjackich łapie się – jak każdy, a z wieloma współpracownikami o tym rozmawiam – że się zaczynam cenzurować. Szukam języka, często nie do końca świadomie, który da mi możliwość wiarygodnego zaprzeczenia, wyparcia się.

Z czego to wynika? Młodszy studenci są bardziej skłonni do niekontrolowanych wybuchów?

– Ja się nie boję wybuchu. Boję się tego, co się przydarzyło temu mojemu koledze, gdy odbierasz telefon i ktoś ci mówi, że wie, gdzie mieszkają twoje dzieci. W kraju, w którym każdy może mieć broń palną bez większego problemu. Wtedy na zajęciach zaczynasz robić w głowie kalkulację, co warto powiedzieć, a co nie. Nawet jeśli nie boisz się fizycznego zagrożenia, to po co ci te nerwy, nieprzyjemności?

Ale to kalkulowanie też cię męczy i wy-czerpuje, bo zadajesz sobie strasznie trudne etyczne pytanie – na ile to, co robię, czego nie dotykam, a co poruszam, wynika z realnego respektu dla innych wartości, a na ile z jakiejś formy tchórzostwa czy koniunkturalizmu, żeby mnie nie ciągal do mediów. Albo by ktoś nie groził moim dzieciom.

To porozmawiajmy o wolnościach. Czy na tych protestach widać coś, czego powinno się zabronić? Bo to chyba też ważna oś konfliktu. Z jednej strony mowa nienawiści, z drugiej – jednak Ameryka to kraj pierwszej poprawki do konstytucji, pielęgnowania wolności słowa.

– Cenzurowanie czegokolwiek nie jest dobrym pomysłem. Rzecz jasna pewne rzeczy są powszechnie przyjęte, jak niezgoda na zaprzeczanie Holocaustowi. Gdyby ktoś na kampusie mówił, że nie było Auschwitz albo krzyczał „śmierć wszystkim Żydom” – to jest dla niego koniec, i słusznie. Interwencja policji, potępienie. Natomiast dopóki hasła są radykalnie

głupie, ale abstrakcyjne, nie przekraczają granicy nawoływania bezpośrednio do przemocy, to nie wyobrażam sobie, żebym mógł tym studentom powiedzieć, że nie czegoś mogą powiedzieć albo napisać.

Na Columbii wiszą transparenty „studentencka Intifada”.

– Albo „Wolna Palestyna” – co to właściwie oznacza? Wielu studentów, po obu stronach, też nie wie, nie przemysłili tematu do końca, ale stoją pod tymi plakatami.

Przykład. Po wykładzie omawiającym empiryczne badania nad antysemityzmem stoimy z moim bliskim kolegą, ortodoksyjnym Żydem, bardzo proizraelskim. Rozmawiamy, on ma dość donośny głos, i wypowiada nagle frazę „two-state solution”, chodzi oczywiście o współistnienie suwerennej Palestyny i suwerennego Izraela. Nagle podchodzi student, który był dość aktywny w dyskusji po wykładzie, i mówi: „ja się z wami nie zgadzam”. „Ale z czym się właściwie nie zgadzasz”? On odpowiada, że nie chce dwupaństwowego rozwiązania. No dobrze, to jakie proponujesz rozwiązanie?

Jakie?

– Odpowiedź była klasyczna dla takich sytuacji: „nie wiem, jeszcze o tym nie myślałem”. To właśnie to, o czym mówiłem wcześniej: kompletnie bezproduktywny negatywizm.

Jesteśmy wszyscy coraz bardziej zamknięci w narracjach, które w jakiś sposób pojawiły się wokół nas. To właśnie próbuję powiedzieć studentom na koniec roku – żeby się jednak spróbowali otworzyć na narracje drugiej strony, bo dziś studenci pro-izraelscy i pro-palestyńscy są wbudowani w kompletnie inne światy, które się nie przenikają. Podobnie jest z ludźmi o progresywnych poglądach i głosującymi na Trumpa.

W 1968 r. też byli radykalni przywódcy studenccy, którzy potem płynnie weszli do głównego nurtu polityki. Jak będzie z tymi? Za 10 lat będą w Kongresie z hasłem intifady, czy to się wszystko stonuje?

– Łatwa odpowiedź jest taka, że się stonuje, bo zawsze się tonowało. To wynika z cyklu życia: zakładasz rodzinę, dostrzegasz, że wybory i postawy są bardziej złożone, niż myślałeś, wynikają z różnych doświadczeń, musisz się martwić o codzienne sprawy.

Ale prawda jest taka, że dzisiaj nie musi tak być. Dawniej jak ktoś miał radykalnie lewicowe czy prawicowe poglądy, to z czasem wchodził w system, stawał się kimś o umiarkowanych, centrolewicowych czy centroprawicowych poglądach. Bardziej lub mniej centro, ale jednak w głównym nurcie. Natomiast teraz trudno prognozować, co będzie dalej, z powodu ważnej zmiany: lewica jest dużo słabsza od prawicy, radykalizm prawicowy przybiera na sile.

Uniwersytety są pod ostrzałem republikańskiej prawicy, a co gorsza, te ataki są antyintelektualne i wykluczające.

Radykalizm lewicowy, po pierwsze, starał się tłumaczyć świat materialistycznie, co wiązało się z argumentacją. Ona miała wspierać coś, co było raczej ze sfery wiary, ale wymagała logiki, wnioskowania, przywoływania innych poglądów i teorii, choćby po to, by je zanegować.

A po drugie, był i jest zbudowany na myśleniu o raju sprawiedliwości społecznej – wyidealizowanym, często utopijnym, ale z natury inkluzywnym. Inkluzywność kontra ekskluzywność to fundamentalna kategoria sporu, która stoi za tym wszystkim. Bo radykalizm prawicowy nie jest inkluzywny.

No i na lewicy, nawet tej najbardziej radykalnej, jest powszechna świadomość, że system sowiecki, czyli ostateczna wersja tego radykalizmu, jednak nie była dobrym doświadczeniem, więc należy tak prowadzić walkę, żeby sytuacji sowieckiej uniknąć.

A na prawicy?

– Na prawicy możliwość zbudowania państwa faszystowskiego jest realną, dla wielu wręcz pożądaną opcją.

Sytuacja jest mniej więcej taka, jak w latach 20. XX wieku. Wyborcy Trumpa cały

czas słuchają, jak to ta liberalna demokracja niczego im nie daje, nie zwracając uwagi na fakty. Sytuacja ekonomiczna w USA nie jest zła, są problemy z inflacją, ale nieporównywalne z tym, co było w Europie Zachodniej, zatrudnienie ma się nieźle, ludzie sobie radzą – a mimo to Bidenowi nie udaje się przebić z przekazem, że on jest prezydentem dobrym dla gospodarki. Nikt go nie słucha. Ludzie na prawicy rzucają w wywiadach, w reportażach, że „u nas jest w rodzinie OK”, ale z zastrzeżeniem, że „jeszcze”, i zaraz dodają, że kraj jako całość jest w ruinie. Zupełnie jak wyborcy Kaczyńskiego w Polsce.

Śledząc media społecznościowe i czytając lewicowe czasopisma, mam wrażenie, że to lewica robi się coraz mniej inkluzywna i cały czas się kłóci o czystość ideologiczną. A prawica zrobiła się inkluzywna – jednoczy ludzi z różnych światopoglądowych parafii, od faszystów, przez konserwatystów, po wolnościowców i nawet dawnych socjalistów, przeciwko wspólnemu wrogowi, jakim jest progres. Rzecz jasna inaczej identyfikowany przez każdą z grup.

– Trzeba rozróżnić inkluzywność ideologiczną i organizacyjną. Lewica jest bardziej inkluzywna ideologicznie, kulturowo, bo tak definiuje świat – że raczej ludzi przyjmuje, niż wyrzuca. Natomiast rzeczywistość prawica jest znacznie lepiej zorganizowana. Ich wizja, ich projekt jest znacznie bardziej rozbudowany i nośny. Poszerzają swoje bańki, trochę łagodzą przekaz. Ale to poszerzanie platformy nieuchronnie doprowadzi do tego, że się pokłóca.

Na pewno?

– Spójrz na Partię Republikańską, jakie tam są napięcia. Ile ja bym dał, żeby być muchą na ścianie i zobaczyć, jak waszyngtoński prawnik Mike Johnson negocjuje poparcie dla Ukrainy z kowbojką Marjorie Taylor Green. Oni są cały czas na granicy rozpadu, tylko w USA ten system dwupartyjny jest tak silny, że ci bardziej radykalni politycy nie mają dokąd pójść.

To czym jest dzisiaj w Ameryce uniwersytet jako instytucja? Jak w ogóle nim zarządzać, jeśli w każdej chwili możesz zostać wezwany na Kapitol i rozstrzelany pytaniami Republikanów?

– Te trzy rektorki z Harvardu, MIT i Uniwersytetu of Pennsylvania, które zeznawały w Kongresie w sprawie studenckich protestów, stały przed karkołomnym zadaniem – czego by nie powiedziały, zostałyby skrytykowane, jak nie przez Republikanów, to przez Demokratów.

Dlatego rektorka Columbii, Nemat Shafik, ewidentnie się nauczyła na ich błędach, bo jej wystąpienie było znacznie sprawniejsze, bardziej dyplomatyczne. Za co i tak jest walona z lewej i z prawej. Lewica jej zarzuca, że pod naciskiem prawicy przewala policję i spacyfikowała protesty, a prawica – że tak długo je tolerowała. I znowu gubi się niuans, bo nikt nie mówi głośno o tym, że ta akcja policji na kampusie była niezwykle profesjonalna. Nie doszło do żadnej szarpaniny, nie było zamieszek, nikomu się nic nie stało. Nie ma nawet porównania z 1968 rokiem.

Bycie rektorem jest teraz niesamowicie trudne. Praca władz uczelni wygląda tak, jak moja, tylko w dużo wyższej skali: autocenzura i pilnowanie języka.

Natomiast teza, że uniwersytet jest dużo bardziej upolityczniony niż wcześniej, jest przesadzona. Uczelnie w USA zawsze były polityczne – w tym sensie, że, zwłaszcza te elitarne, były po prostu bardzo mocno wbudowane w struktury władzy. Ekskluzywność, która prowadziła do autoreprodukcji elit. Te szkoły nie były wystarczająco otwarte na resztę społeczeństwa, więc kiedy się otworzyły, wywodzące się z nich elity – politycy, ludzie biznesu, ludzie mediów, liderzy opinii – uznały to za upolitycznienie, nawet jeśli same miały się za liberalne i postępowe. Nie bacząc, że każda działalność publiczna, ich również, ma wymiar polityczny.

To, co jest nowe, to forma nacisku obecnej władzy – i nie mam na myśli konkretnej administracji Trumpa czy Bidena, ale ogólnie, rządzących. Kiedyś nie zdarzało

■

W gronie wykładowców zadajemy sobie pytanie, czy my się w ogóle z tą nową generacją jesteśmy w stanie dogadać. Wielu z nich funkcjonuje w innym świecie i kulturze. Inaczej czytają, są przylepieni do telefonów, mają deficyty uwagi

się, że administratorzy uczelni byli masowo wzywani do Kongresu, żeby się tłumaczyć z treści kursów. No, może za czasów antykomunistycznego polowania na czarownice McCarthy’ego, ale to przez chwilę. A teraz władza miesza się wszędzie, gdzie może, do nauczania, ale też do polityki kadrowej.

Zwłaszcza Republikanie. Na Florydzie Ron DeSantis, niedoszły rywal Trumpa, już zakazał brania pod uwagę kryteriów związanych z różnorodnością przy zatrudnianiu nowych wykładowców. Prawicowcy narzekają, że uniwersytet stał się bardziej kontrowersyjny. Oczywiście, że się stał, bo ma w sobie więcej różnorodnego materiału. Upadły stare kanony, są nowe podejścia – to zawsze budzi kontrowersje. No ale – przepraszam za banal – właśnie z kontrowersji wynika postęp, nowe optyki, nowe kierunki badań.

A Demokraci się nie mieszają? Przecież taki klasyczny establishment Partii Demokratycznej, powiedzmy, że bliższy Clintonom niż Sandersowi, też jest proizraelski. Tu nie ma nacisków, że protestujcie sobie, ale skończy się kasa?

– Demokraci kłuczą pomiędzy liberalnym poparciem dla Izraela albo próba znalezienia wyważonego stanowiska, a bardziej lewicowym poparciem dla Palestyńczyków, które w skrajnej postaci paraliżuje krytykę Hamasu. Ale ja nie słyszałem o demokratycznych pogroźkach, że skończy się kasa. Zresztą wielu ludzi, w tym i ja, ma wrażenie, że Republikanom nie tyle chodzi o obronę Izraela czy walkę z antysemityzmem, a przynajmniej nie tylko o to, ale o osłabienie uniwersytetów, postrzeganych jako źródło zarazy liberalno-lewicowej.

Z czego wynika ta zmiana, zwłaszcza u Republikanów? Dlaczego ich politycy teraz się mieszają?

– Duża część tych prób zredukowania lub zatrzymania różnorodności to rozpaczliwa obrona białego przywileju. Przy czym, znów, to temat delikatny i pełen półcieni, bo nie wszystkie argumenty prawicy i konserwatystów są od rzeczy i nie wszystkie pomysły progresyistów są trafne.

Teraz na przykład w naukach społecznych mówi się, że wszystko trzeba dekolonizować. To nie jest zły pomysł, ale ja staram się ludzi docisnąć. Jak konkretnie, w czym twój program nauczania, twoją dyscyplinę w USA, w Polsce czy w Gruzji uważasz za skolonizowaną? Aha, w tych i tych punktach. To pokaż mi, jak chcesz to naprawić, jakie nowe narzędzia wprowadzić, czy wystarczy ci, że tylko napiętnujesz? Czasami taka rozmowa na konkrety się udaje, a czasami okazuje się, że ludzie utknęli na poziomie sloganów.

W mojej dziedzinie, antropologii, konieczny był – i już od dawna jest realizowany – postulat wsłuchiwanie się w głosy tych, którzy byli stłamszeni przez kolonialne aparaty przemocy, także intelektualnej, kulturowej. Ale co znaczy dekolonizacja studiów wschodnio-europejskich, na przykład? Byłem prezesem największego stowarzyszenia zajmującego się tymi studiami i czasem okazywało się, że chodzi o to, by Europę Wschodnią studiowali ludzie reprezentujący mniejszości etniczne czy rasowe, na przykład z Afryki. To dobry pomysł, by jak naj-

więcej ludzi studiowało nasz region, ale czemu to się nazywa „dekolonizacją”?

Staram się uciekać od klisz historycznych, ale one ciągle wracają. W 1968 r. protesty były w roku wyborczym, przed konwencją Demokratów w Chicago. W tym roku mamy wybory i konwencję, znowu w Chicago. Wtedy wygrał Nixon. Zamieszki na kampusach przesaczyły różne wolnościowe idee do światopoglądu klasy średniej, do popkultury, ale politycznie odniosły skutek odwrotny, ogół wyborców przestraszył się nieporządku i zaczęła się era dominacji prawicy, aż do Clintona. Trump patrzy i się cieszy?

– Tak. Reakcją na protesty ‘68 roku było przecież zradyzalizowanie się Partii Republikańskiej, neoliberalizm jako recepta na przywrócenie amerykańskiej prosperity, pojawienie się całej masy tzw. operatorów politycznych, ale też upolitycznienie kościołów ewangelicznych na Południu. A w dodatku Republikanie nauczyli się grać tą kartą światopoglądową i dodatkowo podsycają napięcia wśród Demokratów.

Dobrym przykładem takiej gry są losy krytycznej teorii ras. Jak się w nią nieco wgrzyziesz, to po pierwsze odkrywasz, że to dość standardowa teoria socjologiczna, wedle której w wyjaśnianiu zachowań ludzkich trzeba się odwoływać do czynników strukturalnych, systemowych, na przykład położenia klasowego, dostępu do takich zasobów jak np. dobra edukacja. A po drugie, to teoria stworzona do wyjaśniania pewnych zjawisk związanych ze stosowaniem prawa w społeczeństwie, nieco techniczna w warstwie pojęciowej.

Ale pojawił się na przykład republikański operator polityczny, Christopher Ruffo, który nawet nie kryje swoich zamiarów, bo ogłosił na Twitterze, że tak poprzekręca krytyczną teorię ras, że stanie się bronią polityczną przeciwko Demokratom. I zaczął wbijać ludziom do głowy, że Demokraci uważają wszystkich białych za rasistów. Wielu bardziej konserwatywnych Demokratów zaczęło to kupować.

A może nie ma się tak naprawdę czym martwić? Rozumiem, że część tych dyskusji jest bezproduktywna, ale jednak cała liberalna strona narzekała przez ostatnie lata, że młodzież się nie angażuje politycznie. No to mamy wielkie zaangażowanie.

– Odpowiem ci przykładem z mojego wydziału. W tym roku skończyło go ponad stu studentów, na zakończenie roku przyjechały rodziny, łącznie chyba z pięćset osób. Tak się złożyło, że dwoje najlepszych studentów na studiach licencjackich i magisterskich było Palestyńczykami i oni wygłosili w imieniu swojego rocznika przemówienia. Mówili o tragedii ludzi mordowanych w Gazie, ale nie zapomnieli powiedzieć o bólu Żydów po rzezi 7 października. Nawoływali do działania, ale bez przemocy, do myślenia, do uważnego słuchania innych, do domagania się praw, wolności i godnego życia dla wszystkich ludzi, niezależnie od rasy, wiary grupy etnicznej.

Jestem z nich niesłychanie dumny i wdzięczny za odrobinę optymizmu, którą nam dali w tym bardzo trudnym momencie. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCJA GAZETA

Mateusz Mazzini

• (ur. 1990) – reporter, socjolog, latynoamerykanista. Absolwent Oksfordu. Autor książek „Koniec Tęczy. Chile po Pinochecie” oraz „Włochy prawdziwe. Podróż śladami mafii, migracji i kryzysów”.



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

• Kamila Lisicka spod Kosowa Lackiego, rolniczka, hoduje kozy , produkuje sery

BOGATY JAK ROLNIK

Bez ośmiu tysięcy na rękę z dojarzem nie zaczniesz rozmowy

Marcin Wójcik

K rowy ma cwane. W weekend, jak tylko zniknął za zakrętem, sforsowały zimowe ogrodzenie i rzuciły się na trawę, choć jeszcze mogła rosnąć, bo bardziej zdeptały, niż wyjadły. Łukasz Szymaniak mieszka pod Lidzbarkiem Warmińskim i hoduje bydło mięsne rasy angus. Dochodem gospodarstwa jest sprzedaż odsadków – materiału hodowlanego, byczków i jałówek. – W zeszłym roku sprzedałem dziewiętnaście sztuk. Za byczki brałem 3,5 tysiąca, za jałówki 2,5. Łącznie dostałem 60 tysięcy. Do celowo chcę sprzedawać trzydzieści dwa odsadki. Zarobiłbym wtedy 100 tysięcy. To

na czysto, bo na koszty biorę z dopłat unijnych do ziemi – dostaję 80 tysięcy. Z tego opłacam paliwo, naprawy, podatki, folię do sianokiszonki. Łukasz Szymaniak nie rozumie rolników, którzy mówią, że poradzą sobie bez dopłat. Choć zauważa, że ich wartość się kurczy – trzy lata temu z dopłat mógł wszystko opłacić, łącznie z kredytem i jeszcze kilka razy wyjechać na weekend. W tym roku na ratę kredytu musiał wziąć z puli, którą miał ze sprzedaży odsadków. Mówi, że jak rozłoży dochód gospodarstwa na dwanaście miesięcy, to wyjdzie mu 5 tysięcy pensji miesięcznie. Próbował otworzyć warsztat samochodowy, jako dodatek do rolnictwa, ale musiał zrezygnować, bo nie było chętnych do pracy. A żona pracuje poza rolnictwem, jest fizjoterapeutką.

400
TYS.
• z 800 tys. gospodarstw produkujących żywność na rynek, nie na własne potrzeby, jest w stanie przetrwać bez unijnych dotacji

– A co do wypasionych traktorów na protestach, to wcale nie są rolników, tylko banków. Ci, co mają po kilkaset hektarów, muszą mieć czym pracować na takim areale. Ja nie żyję ze zboża. Mnie do obsługi bydła wystarczą stary traktor i jeszcze starszy kombajn. – To ile ten kombajn ma lat? – Trzydzieści pięć. W Polsce jest ponad 1,3 mln gospodarstw rolnych – najwięcej tych do 10 hektarów. Najmniejsze gospodarstwa mają 1 hektar ziemi (co najmniej tyle trzeba mieć, by być rolnikiem i korzystać z pomocy dedykowanej rolnictwu). Zaś największe gospodarstwo mają bracia Romanowscy z Bartoszyca (12 tys. ha). Kilka lat temu z szacunków dr Justyny Góról z SGH wynikało, że 800 tys. gospo-

darstw produkuje towary na rynek, a tylko połowa z tego (około 400 tys.) jest w stanie przetrwać bez dotacji unijnych. Analitycy wskazują także, że problemem są gospodarstwa, które nic nie produkują, tylko pobierają dopłaty do ziemi. To zarówno duże gospodarstwa, dzierżawią ziemię sąsiadom, jak i te najmniejsze, kilkuhektarowe.

Dochody rolników bada Instytut Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. Prof. Marek Wigier, dyrektor Instytutu: – Odpowiedź na pytanie, ile zarabia rolnik, jest możliwa, choć nie jest prosta.

Instytut monitoruje w ramach europejskiej Sieci Zbierania Danych Rachunkowych (Farm Accountancy Data Network) ponad 11 tys. gospodarstw i z każdego pozyskuje kilka tysięcy zmiennych. Z analizy danych wynika, że w 2023 r. w gospodarstwach klasyfikowanych według wielkości ekonomicznej dochód roczny na osobę zatrudnioną w gospodarstwie wyniósł średnio 50 tysięcy złotych, i wahał się od 10 tysięcy w gospodarstwie bardzo małym do 460 tysięcy w gospodarstwie bardzo dużym. Z kolei podział według typów działalności rolniczej wskazuje, że dochód na osobę pełnozatrudnioną wahał się od 34 tys. zł (w gospodarstwach zajmujących się hodowlą zwierząt trawożernych) do 200 tys. zł (w gospodarstwach drobiarskich).

Badacz mówi, że liczba gospodarstw o niewielkiej sile ekonomicznej i skali produkcji będzie malała, przybędzie zaś dużych, towarowych gospodarstw specjalistycznych. Jeszcze w latach 90. małe i wielokierunkowe gospodarstwa były samowystarczalne.

Profesor: – Aktualnie skala produkcji musi być coraz większa ze względu na rosnące koszty. A na te składają się wymagania ze strony przetwórców dotyczące jakości, jednorodności i terminów dostaw, wymagania sanitarne, weterynaryjne, fitosanitarne, ceny paliw, energii, nawozów, koszty pracy. Rosnąca presja cenowa ze strony „masowego” konsumenta, handlu, przetwórstwa sprawia, że „mały” już sobie nie poradzi. Chyba że dla siebie właściwą niszę rynkową.

Na małym gospodarstwie pracują Kamila i Aleksander Pawluczuk. Pod Małkinią hodują kozy, produkują sery – mają dwadzieścia pięć kóz; docelowo chcą mieć siedemdziesiąt.

– Z siedemdziesięciu kóz wyciągniemy na rok 120 tysięcy dochodu. Powinno to starczyć dla naszej trójki. Nie jesteśmy z tych, co chcą się pokazać drogimi samochodami, ogrodzeniem i elewacją, nie kupujemy córce drogich zabawek – mówi Aleksander.

– To ile teraz wyciągacie z serów?
– W zeszłym roku dostaliśmy 40 tysięcy złotych, czyli poniżej płacy minimalnej, i to jeszcze trzeba rozłożyć na dwie osoby – na mnie i Kamilę.

– Na czysto 40 tysięcy?
– Tak, bo na koszty wzięliśmy z dopłat unijnych do ziemi, do sześciu i pół hektara. Koszty to paliwo, zboże, ostatnio siano. Co roku zbieraliśmy osiemdziesiąt bel siana, a w zeszłym tylko czterdzieści. Musieliśmy dokupić, co przy takich dochodach jest wyzwaniem. Jedna bela kosztuje 120 złotych. Takich sian jak kiedyś już nie będzie. Susza zniszczyła łąki. Płacimy za zmiany klimatyczne. Zapłaci też klient, bo skoro siano drogie, to i mleko drogie.

– Da się żywić za 40 tysięcy?
– Skąd. Ale jako jedyni z kolonii nie korzystamy z opieki społecznej. Reszta korzysta, bo nikt z urzędników nie wie, ile zarabia rolnik, nie ma ewidencji przychodów. Nasi sąsiedzi dostają paczki z banku żywności. Później oddają nam to, czego nie lubią. Bo mąż nie lubi marchewki z groszkiem, a żona buraczków z chrzanem. My zaś wszystko lubimy.

– To jak sobie radzicie za 40 tysięcy?
– Właśnie jutro jadę dorobić. Pracuję przy produkcji telewizyjnych programów rozrywkowych. Przystanę, kiedy w dojrni zobaczę siedemdziesiąt kóz.

12

TYS. HEKTARÓW

• **ma największe gospodarstwo w Polsce**

10

TYS. ZŁ

• **rocznie wynosi dochód na osobę w gospodarstwie bardzo małym**

– To nie możecie dokupić już teraz?
– Dobra koza to i 1,5 tysiąca kosztuje. A my z zasady nie kredytujemy się, bo kredyt nie jest za darmo. Myśleliśmy, że szybciej zbudujemy stado z naszych kóz, co roku przecież się kocą. A rodzą się same koziołki!

Patryk Kokociński z rodzicami i bratem prowadzi gospodarstwo w Snowidowie w Wielkopolsce. Mają sto krów dojnych, pięćdziesiąt jałówek, pięćdziesiąt hektarów ziemi i drugie tyle dzierżawionej. Rocznie oddają do mleczarni milion dwieście tysięcy litrów mleka. Przychód z litra to 2,10 zł, dochód 1,60 zł.

– Mamy wszystko policzone. Poważne gospodarstwa same liczą albo robią to firmy doradcze – mówi Patryk Kokociński.
– Widzisz, że zmniejsza się zawartość skrobi w kukurydzy, no to będziesz miał półtora litra mniej mleka na krowie; ale możesz nadrobić, dokładając trzysta gramów śrutowanego ziarna kukurydzy, choć to dodatkowy koszt; no i znowu liczysz, czy się opłaca.
– Jeśli nie na żywieniu, to na czym można oszczędzić w oborze?
– Na kosztach pracy. Robi się inwestycje w automatyzację, by nie zatrudniać ludzi, na przykład dojarzy. Zresztą dojarzy nie ma, bo nikt nie chce pracować przy krowach. A jak się ktoś znajdzie, to chce dużych pieniędzy.

Jakich? Bez ośmiu tysięcy na rękę nawet nie zaczniesz rozmowy. Dobrym rozwiązaniem są roboty udojowe, ale sporo kosztują – ponad pół miliona jeden, a nam jeden by nie wystarczył. U nas dój ogarniamy rodzin-

nie. A jeśli chodzi o zbiór pasz, to zlecamy firmom zewnętrznym, sami zbieramy tylko zielonkę. Nie zapożyczamy się na drogie maszyny, które pracują raz w roku, a przez resztę stoją i niszczej. Wzięliśmy na kredyt traktor, właśnie kończymy spłatę – po szesnastu latach będzie nasz, a nie banku. Ale za chwilę trzeba pomyśleć o kolejnym, bo szesnastoletni jest mocno wyeksploatowany.

Kokocińscy zarabiają również na sprzedaży cielnych jałówek. Ich cena waha się od 8 do 9,5 tysiąca, co warunkuje cena mleka, bo jałówki są po tyle, po ile jest mleko. Teraz są po 8,5 tys. zł.

– Sprzedaż jałówek to nasza trzynasta pensja.
– A jakie są pensje poprzedzające?
– Dostają co miesiąc przelew od mamy.
– Od mamy?

– Tak, stoi na czele gospodarstwa. Nazywamy ją szefową. Co miesiąc przelewa mi cztery tysiące złotych. Oprócz tego z budżetu gospodarstwa dostają na ogrzewanie domu – mam swój – jedzenie, wakacje, naprawę samochodu. Idę do mamy, mówię, że potrzebuję na to i na to, a mama: „Spoko, zrobię ci przelew”. Tak to mamy zorganizowane.

– Na dom też poszedł przelew od mamy?
– Tak, z budżetu gospodarstwa.

Kokocińscy wydłużają życie krów, co przynosi im dodatkowe pieniądze. W Polsce i Europie Zachodniej krowy żyją średnio dwie i pół laktacje, w Snowidowie cztery i pół. (Laktacja liczona jest od wycielenia, każde wycielenie, to początek kolejnej laktacji). Krowy zabija białko – jego zbyt duża zawartość w paszy. Przebiałkowanie prowadzi do chorób żołądka i wątroby, przez

co za wcześniej trafiają do rzeźni, w wieku pięciu lat. W Snowidowie po siedmiu-ośmiu latach.

– Mówi się, że krowa na czysto zarabia na siebie od trzeciej laktacji, więc jak się ją sprzedaje po dwóch i pół, to trzeba dolożyć. My stawiamy na dobrostan – właściwe żywienie, bez przebiełkowania, nie chodzą po rusztach, ścielimy słomą, przez co mają zdrowsze nogi. A rekordzistki mleczne, mają u nas dożywocie. Zorganizowaliśmy dla nich wybieg.

Kokociński myśli o dodatkowej działalności – sprzedaży mleka przy gospodarstwie. Zrobiłby to, co sąsiad, hodowca świń – przy domu sprzedaje wędliny, pod szyldem „Swojskie wyroby. Piotr Szydłowski”.

Nie mam ziemi, kupuję ziarno, mam budynki i chęci do pracy – mówi Piotr Szydłowski. – Pracowałem wcześniej w rzeźni na przerobie, ale ciągnęło mnie do własnego biznesu. Zaczęło się od tego, że w wolnej chwili przerabiałem świnię dla rodziny. Wszystkim smakowało i zawsze było za mało. Pomyślałem, że może będę z tego żył, skoro tak smakuje i chcą więcej.

Kupił dziesięć macior i zrobił im miejsce w oborze. Proszą się trzy razy w roku, łącznie odchowują ponad sto prosiąt. Co tydzień wiezie na ubój trzy, cztery tuczniki (koszt uboju jednego – 120 zł). Odbiera już schłodzone i sprawdzone przez weterynarza półtusze. W domu robi z nich szynki, kiełbasy, kaszanki, wątrobianki, bulczanki, salcesony, pasztety. Sprzedaje w mini sklepie przy domu.

Wzięliśmy na kredyt traktor, właśnie kończymy spłatę – po szesnastu latach będzie nasz, a nie banku. **Ale za chwilę trzeba pomyśleć o kolejnym, bo szesnastoletni jest wyeksploatowany**



– Sklepik czynny jest od czwartku do soboty, ale często już w czwartek towar scho-
dzi. Klient, który ma najdalej, jest z Gdań-
ska. Kupuje, bo tylko u nas trafił na smaki
dzieciństwa. Ludzie szukają dawnych sma-
ków, a te mogą zapewnić małe gospodar-
stwa, bo duży idzie na ilość. Uważam, że jak
ktoś chce żyć z rolnictwa, to znajdzie spo-
sób, żeby mieć z tego wypłatę. Mnie taka
wypłata wystarcza. Czy będę się rozwijał?
Wolę jeść małymi łyżeczkami.
– Dlaczego?
– Nie chcę się zaharować, mam tylko
dwie ręce.

Pytam w Głównym Urzędzie Statystycznym
czy gromadzą dane o zarobkach rolników.
Odpowiedź: „GUS nie posiada danych doty-
czących dochodów i wynagrodzeń właści-
cieli, współwłaścicieli i dzierżawców indy-
widualnych gospodarstw rolnych (»zarob-
ków rolników«)”.
•

Urząd podaje za to, że w 2022 r. przecięt-
ny dochód z hektara wyniósł aż 5,549 zł. Wy-
liczenie oburzyło rolników, w tym Wielko-
polską Izbę Rolniczą. Izba wydała komunika-
t: „Zarząd Wielkopolskiej Izby Rolniczej
zaapelował do Ministra Rolnictwa i Rozwo-
ju Wsi o stworzenie nowego systemu wyli-
czania poziomu dochodu rolniczego i jego
korygowania w miarę zmiany sytuacji ceno-
wo-kosztowej w rolnictwie, w taki sposób,
aby ten wskaźnik w rzeczywisty sposób od-
zwierciedlał aktualną sytuację ekonomiczną
i dochodową rolników. (...) Na końcu tej dro-
gi powinno być wprowadzenie rachunkowo-
ści rolniczej, która w najbardziej obiektyw-
ny sposób pozwoli na określenie dochodu rol-
niczego dla danego gospodarstwa i precyzyj-
ne lokowanie pomocy społecznej”.

Rafał Mładanowicz ma gospodarstwo
pod Człuchowem: – Z hektara jest w pory-
wach pięć ton pszenicy. W skupie za pięć ton
dadzą rolnikowi 4 tys. zł. Do tego wliczmy
1000 zł dopłat do ziemi. Mamy 5 tysięcy. Ale
z tego przychodu trzeba odjąć kilkaset zło-
tych, bo gdzie ropa, nawozy, materiał siew-
ny, amortyzacja. A ile może dostać rolnik,
co ma hektar łąk? Nic, jeszcze dopłacili! Takie
wyliczenia GUS wprowadzają ludzi w błąd,
bo można pomyśleć, że z byle hektara rolnik
ma w kieszeni 5 tysięcy. Wyliczenie skrzyw-
dziło dzieci rolników. Studenci mieli mniej-
sze szanse, by dostać się do akademików,
a młodzież szkolna do internatów – wylicza.

Rafał Mładanowicz organizował prote-
sty rolnicze na Pomorzu. Zapytany, czy pol-
skie zbiory rzeczywiście zalegają w magazy-
nach z powodu ukraińskiego zboża: – Zale-
gają u hazardystów, a nie u rolników. Czeka-
ją, aż zboże będzie nie po 600, a po 1000 zł.
Przeciętnego rolnika nie stać na taki hazard,
sprzedaje w żniwa, bierze tyle, ile daje rynek.
Nie jestem za tym, żeby państwo dopłacało
teraz do niesprzedanego zboża. Wzbogacą
się hazardziści.

– Kim są?
– To nie są przeciętni rolnicy, a wielkie
gospodarstwa, które mają rezerwę pienię-
dzy. Dlaczego państwo ma teraz sztucznie
tworzyć cenę i im dopłacać?
– Ile wynosi dopłata?
– Od 200 do 300 złotych do tony.
– Czyli jak ktoś nie sprzedał latem za
600 złotych, to teraz sprzedą za 600 i jesz-
cze dostanie 300 od państwa?
– Na to wygląda.

Rafał Mładanowicz ma 160 hektarów na
kredyt. Uprawia owies, żyto, facelię, wiesio-
łek, ostropest – wszystko w ekologii. Młada-
nowicze, żeby podnieść dochód, sprzedają
własne oleje i octy.

– Uważa się pan za majątnego rolnika?
– Tylko na papierze. Ostatnie lata były
tak chude, że ledwie starczało na spłatę kre-
dytów. Teraz renegocjuję umowę z KOWR
[Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa].
Na szczęście ziemia jest za kredyt instytu-
cji państwowej, a nie z banku, bo wtedy już
dawno byłbym po licytacjach komorniczych.
– Przecież 160 hektarów to kawał ziemi.
Musi przynosić dochody.

120

TYS.

• **dochodu będą mieli hodowcy kóz spod
Małkini, gdy uzbierają 70 zwierząt. Z 25
wyciągają 40 tys.**

13

MLN

• **jest w Polsce gospodarstw rolnych.
Najwięcej tych do 10 hektarów**

234

FERM NOREK

• **działa w Polsce. Wartość rocznego eks-
portu skór – 70 mln euro**

– Policzmy na przykładzie owsa. Z hek-
tara w ekologii będą dwie tony, za które do-
stanę 2400 zł. Do tego dopłata ekologicz-
na do ziemi 1600 zł. Plus dopłata podsta-
wowa 500 zł. A teraz odejmowanie. Minus
200 orka, 200 siew, 150 materiał siewny,
250 zbiór, 1200 rocznie kredyt za hektar, nie
liczę amortyzacji sprzętu i moich roboczo-
godzin. I ile wyszło dochodu?
– Jakies 2500 zł z hektara.
– Do tego dojdą gradobicia, susze, choro-
by, które obniżą plon. Tylko się ludziom wy-
daje, że jak rolnik, to musi być bogaty.
– Na protestach jeździeliśmy, jakimi trak-
torami jeżdżą rolnicy.
– Ciągnikiem nie jeździ się do kościo-
ła, jest narzędziem pracy. Nie ma już Ursu-
sa, Zetora, są tylko traktory najwyższej kla-
sy. W sezonie spędzam około 1200 godzin
w traktorze – w jednym pojeździe, a mam
ich trzy, do różnych prac. Nie wyobrażam
sobie pracować na 160 ha starym Ursusem.
Po kilku latach musiałbym przejść na rentę.

Andrzej ma dwadzieścia hektarów i dzie-
sięć krów mlecznych.
– Synowie obrabiają pola, a żona z te-
ściem doją krowy.
– A pan co robi?
– Zarabiam pieniądze u przywaciarza.
– Jest kierowcą autobusu. Mówi, że bez te-
go nie utrzymałby rodziny.

– Mam głównie łąki. Dobrze, że są do-
płaty. U mnie to 25 tysięcy rocznie. Ale mi-
nimum 10 muszę wydać na nawozy, bez te-
go nie urosnie pasza. Mleko odbierają po
1,90 zł. W najlepszych miesiącach wpłynię
z mleka 12 tysięcy, w najgorszych 7. Za to
trzeba kupić ropę, śrutę, zepsute części do
traktora, opłacić weterynarza, pracuje przy
tym pięć osób – żona, teść, synowie i ja. Żo-
na chce rzucić krowy i pójść do normalnej
roboty, żeby mieć wolne niedziele, a nie że
cały czas myśli o dojeniu, wycieleniach, za-
cieleniach, chorych wymionach.
Mówilem synowi, że jak się ożeni, to
przepiszę mu gospodarkę, dostanie wtedy
kredyt na młodego rolnika, żeby dokupić
sprzętu, oborę powiększyć, ale powiedział,
że prędzej wyjedzie na zmywak do Londy-
nu, niż zostanie przy krowach. A krowy bę-
dą dotąd, dopóki żona nie powie „nie” i teść
chce pomagać. Nie przesiądę się z autobusu
na traktor. Prędzej już na karawan, bo mia-
łem taką propozycję.

Rolnicy mówią, że najlepiej być dziś kur-
nikarzem. Może nim być nawet ten, kto
mieszka w mieście. Ale żeby zostać kuni-
karzem, trzeba mieć niemałe pieniądze na
działkę i wybudowanie kurników, mini-
mum dwóch, w każdym 50 tysięcy brojle-
rów. Koszt inwestycji liczy się w milionach.
Ale jest to jedna z najbardziej dochodowych
gałęzi rolnictwa; biznes opłacalny, bo na
świecie najszybciej rośnie spożycie mięsa
drobiowego – również w krajach arabskich,
gdzie zakazana jest wieprzowina.

Poprosilem o rozmowę trzech rolników,
którzy zajmują się produkcją mięsa dro-
biowego. Nie zgodzili się. Czy dlatego, że
w ostatnich dwóch latach ich zyski – na tle
innych gałęzi rolnictwa – rosły najbardziej?
I to nie tylko ze względu na rosnące spożycie
mięsa drobiowego, również przez tanie zbo-
że z Ukrainy, a co za tym idzie tanią paszę.
Dochodowym biznesem wciąż jest ho-
dowla norek. Polska jest największym pro-
ducentem futer w Unii. Na koniec 2023 r.
działało 234 ferm norek, na których utrzy-
mywanych było 3,4 mln zwierząt. Głównym
odbiorcą skór jest Finlandia i Chiny.
W 2022 roku wyeksportowano skóry o war-
tości 70 mln euro.

Michał Nowacki z Kruszki na 113 hekta-
rach (z tego 43 dzierżawi) uprawia rzepak,
zboża, buraki ćwikłowe, a w chlewach
tuczy świnię. W 2021 r. został Rolnikiem
Innowacyjnym i Rolnikiem Roku Woje-
wództwa Kujawsko-Pomorskiego.

Rozmawiamy w traktorze. Sieje kukury-
dę. Jest godzina 19. Planuje skończyć o 21.
– Buraki, rzepak i zboża konsumpcyjne
sprzedają, a tymi gorszej jakości skarmiam
świnię. Zboże jest tak tanie, że nie opłacało-
by się wszystkiego sprzedać. Lepiej dać świ-
niom.

Skończył studia, został z rodzicami. On
zajmował się uprawami, rodzice hodowlą.
Dwa lata temu miał kryzys; przyczyniły się
do niego zawirowania na rynku wieprzowi-
ny. Tucznik spadł tak nisko, że Nowaccy byli
na każdym stratni 150 zł. Znalazł pracę, spa-
kował się, miał wyjechać, ale jak mówi, los
chciał inaczej.

– Najpierw zachorował tata, póź-
niej dziadek. Mama musiała zająć się tatą
i dziadkiem, przez 24 godziny na dobę, dom
zamienił się w szpital. Nie mogłem zostawić

rodziców. Zostałem sam z dziewięćdziesię-
cioma maciorami, które rodziły prosięta
i z produkcją roślinną. Musieliśmy sprzedać
maciory, żeby ograniczyć pracę. Teraz ku-
pujemy prosięta do tuczu.

– Żałujesz, że jednak nie wyjechałeś?
– Absolutnie nie.
– Może w korporacji zarabiałbyś więcej.
– Ale tam bym chyba umarł.
– To ile zarabiasz jako rolnik?
– Naprawdę nie wiem. Ale możemy po-
liczyć. Nie liczymy świń, bo dopiero zaczy-
namy hodowlę z kupnymi prosiętami, na
próbę wstawiłem do chlewu trzysta sztuk
– w przyszłości chcę produkować około
trzech tysięcy rocznie.

– To policzmy twój dochód bez świń.
– W zeszłym roku ze sprzedaży zbóż
i z dopłat miałem prawie 169 tysięcy zło-
tych. To trzeba rozbić na dwie osoby, czyli
na mnie i mamę, bo tata z dziadkiem zmar-
li. Wychodzi miesięcznie w zaokrągleniu
7 tysięcy pensji. Ale z tego muszę zapłacić
raty kredytu, więc wychodzi 4,5 tysiąca.

Tylko że to nie tak, że 4,5 tysiąca mogę
odłożyć. Przydałoby się modernizować go-
spodarstwo i dokupić ziemię, żeby nie zo-
stać w tyle. Dziesięć lat temu hektar kosztow-
wał tu od 25 do 35 tysięcy. Dzisiaj 80. Dzie-
sięć lat temu tona pszenicy kosztowała
800 zł. Dzisiaj również 800. Dziesięć lat te-
mu tucznik poubojowy był po 9,50 zł za ki-
logram. Dzisiaj również jest po 9,50.

A ziemia, sprzęt, materiały budowlane,
prąd poszybowwały w górę, podobnie płac-
a minimalna – dziesięć lat temu 1,680 zł,
dzisiaj 4,242 zł. Przypominam, że pszenica
od dziesięciu lat jest po 800 zł, a tucznik po
9,50 zł, co oznacza, że pensje rolników sta-
nęły w miejscu. Żeby się kalkulowało, trze-
ba iść w ilość.

Interesuję się tym, co robię, dlatego spo-
ro czytam. Z raportów ekonomicznych ja-
sno wynika, że trzeba mieć co najmniej
pięćdziesiąt hektarów, żeby wyżyć z własne-
go gospodarstwa. Dziesięć lat temu wystar-
czyło trzydziści. Stąd tak wiele małych go-
spodarstw przestało istnieć, a powiększyły
się te, które miały potencjał. W mojej gmi-
nie było sto gospodarstw ze świniami. Zo-
stały trzy. Tuczniki mam po to, żeby polep-
szyć dochód z gospodarstwa.

Póki co mogę żyć na tyłu hektarach co
mam, ale niedługo może się okazać, że za
mało. Ciągłe gonię króliczka, a ten biegnie
coraz szybciej. ●



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Marcin Wójcik

• urodzony w 1981 roku w Rabce-Zdroju, ab-
solwent Polskiej Szkoły Reportażu w War-
szawie i studiów podyplomowych w Szkole
Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Re-
porter „Dużego Formatu”. Autor książek
„W rodzinie ojca mego”, „Celibat. Opowieści
o miłości i pożądaniu” oraz „Gęsiego. Z mia-
sta na wieś” (dostępne na Kulturalnysklep.
pl i w formie cyfrowej na Publio.pl)

wyborcza

magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl

Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów nie-
zamówionych oraz zastrzega sobie
prawo ich redagowania i skracania.

Wnioski i pytania w sprawie ochrony
danych osobowych: iod@agora.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBOR-
CZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak,
Bartosz T. Wielniński;

WOLNA SOBOTA: Mirosław Macio-
rowski (szef), Marek Markowski (zastęp-
ca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński,
Łukasz Grzymiśławski

GRAFIKY: Paweł Kapusta, Jacek Kona-
rowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz,
Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski

FOTOEDYCJA: Rafał Wojciechowski

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o.,
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.

PREZES ZARZĄDU:
Wojciech Bartkowiak

CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj

Chrzan, Joanna Kwas

Biuro reklam i ogłoszeń:

reklama@agora.pl; 22 555 55 55,

faks: 22 555 54 44

Rozpowszechnianie redakcyjnych

materiałów publicystycznych

bez zgody wydawcy jest zabronione.



Maciej Górny, Antoni Grabowski

W nauce toczy się od dłuższego czasu dyskusja równie żywa, co enigmatyczna dla osób postronnych. Jej tematem jest nadchodząca ewaluacja jednostek naukowych, która ma objąć dorobek wszystkich polskich uczelni i instytutów badawczych za lata 2022-25.

Co mało zaskakujące, głos zabierają sami zainteresowani, czyli polscy naukowcy, pojedynczo i w imieniu ciał zbiorowych, takich jak Polska Akademia Nauk. To oni pracują na uczelniach i w instytucjach poddanych ewaluacji. Mają też za sobą doświadczenie jednej albo kilku poprzednich. Paradoksalnie właśnie ta specyficzna perspektywa utrudnia im dojście do sensownych wniosków i sprawia, że dyskusja krąży wokół kwestii technicznych i drugorzędnych, unikając pytania o cel i sens tej procedury.

Obowiązujące reguły wprowadził minister Jarosław Gowin. Choć zapowiadano je jako rewolucyjną zmianę, okazały się ewolucją zasad zapoczątkowanych jeszcze przez minister Barbarę Kudrycką. To od tamtych czasów publikacjom przypisywana jest punktacja według decyzji ministerialnej. Także minister Kudrycka wprowadziła różne reguły dotyczące tego, co można zgłosić do ewaluacji. Podobnie działała liczba N, czyli suma wymiarów etatów pracowników naukowych zatrudnionych w jednostce naukowej jako podstawowym miejscu pracy. Zresztą, wiele zmian Gowina było wcześniej dyskutowane w czasach rządów PO i PSL, na przykład kwestia współautorstwa publikacji.

Nad całym procesem obecnie czuwa Komisja Ewaluacji Nauki, która przygotowuje listy czasopism, a także przeprowadza procedurę oceny jednostek naukowych. System obejmuje różne dyscypliny, częstokroć z bardzo odmiennymi tradycjami publikacyjnymi.

W podstawowym założeniu naukowiec, zatrudniony na pełen etat, ma w ramach czterech lat przedstawić cztery publikacje własne bądź też odpowiednią liczbę publikacji we współautorstwie (tak zwane sloty); dla wyliczenia, ile ich powinno być, ministerstwo przygotowało wzory matematyczne. Ocena opiera się na tzw. zasadzie dziedziczenia prestiżu, czyli nie na jakości samego tekstu, a na ocenie miejsca wydania: czasopisma czy wydawnictwa.

Komisja nie ocenia jednak wszystkiego samodzielnie. Jednostki naukowe muszą dokonać wstępnej selekcji i przedstawić listę publikacji proporcjonalną do liczby pracowników. Jak się okazało, wybór bywał dość skomplikowany, zwłaszcza w przypadku większych jednostek. Teoretycznie ministerstwo pomagało, wprowadzając system informatyczny do sprawozdawania działalności naukowej, jednak czasami nawet drobne błędy prowadziły do zaniżenia punktacji. Niektóre uczelnie boleśnie się o tym przekonały. Przykładem jeden z instytutów PAN, który wprawdzie podał nazwy wydawnictw, jednak nie połączyły się one dobrze z obiektami w systemie i w efekcie zostały uznane za publikacje niedające punktów.

System opiera się wprawdzie na algorytmach i zaawansowanych narzędziach cyfrowych, w wielu miejscach jednak pozostaje niedopracowany. Wzory matematyczne nie uwzględniają np. realnego udziału poszczególnych współautorów w powstawaniu tekstu. Nieważne, czy było się autorem w 10 proc., czy w 90.

Osobnym problemem są niejasności odnośnie tego, co można zgłaszać, a czego nie. Przykładowo, rozporządzenie ministra pomija recenzje naukowe publiko-

wane w czasopismach, jednakże honoruje artykuły recenzyjne. Choć oba terminy brzmią podobnie, znaczą jednak coś innego – artykuł recenzyjny obejmuje znacznie więcej zagadnień i w oczywisty sposób wymaga więcej pracy od autora. Tymczasem Komisja Ewaluacji Nauki najwyraźniej uznała, że recenzje i artykuły recenzyjne to to samo i tak właśnie oceniała je w ostatniej ewaluacji. Czy tak będzie w przyszłości, nikt nie wie.

Ostatnia ewaluacja nie miała dobrej prasy, głównie za sprawą ministra Przemysława Czarńka, który dokonał kilkukrotnych zmian punktacji czasopism naukowych.

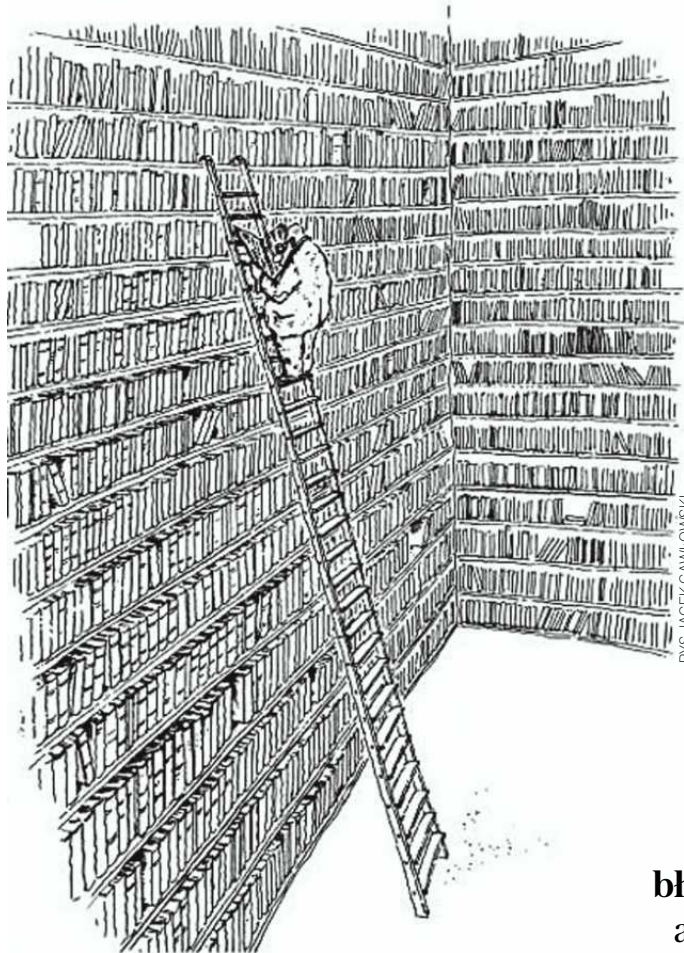
Czarnek wbrew stanowisku Komitetu Ewaluacji Nauki wywindował na liście różne tytuły, wśród których media wychwyciły m.in. „The Person and the Challenges. The Journal of Theology, Education, Canon Law and Social Studies Inspired by Pope John Paul”, „Fides, Ratio et Patria. Studia Toruńskie”, „Zeszyty Formacji Katechetów”, „Ethos. Kwartalnik Jana Pawła II KUL”, „Archiwa Biblioteki i Muzea Kościelne”, „Biuletyn Stowarzyszenia Absolwentów i Przyjaciół Wydziału Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego”, „Przegląd Sejmowy”, wydawana przez ministerstwo sprawiedliwości „Probacja” albo – ulubiony obiekt żartów dziennikarzy – „Cement, Wapno, Beton” (składniad pismo cieszące się w swojej dziedzinie uznaniem i zasługujące raczej na dobrą punktację, a nie na dowcipy).

Czarńkowe zmiany były rzeczywiście częstokroć oburzające. Niemniej z per-

spektywy czasu widać, że zrzucanie na niego winy za wszystkie błędy systemu nie jest uczciwe, ale za to korzystne dla niektórych uczestników procesu ewaluacji. Dzięki Czarńkowi reformatorzy z czasów Kudryckiej i Gowina mogli się tłumaczyć, że chcieli dobrze, ale zły minister wszystko zepsuł. Skupienie się mediów na kilku wybranych czasopismach pozwoliło innym redakcjom, które w równym stopniu korzystały na działaniach ministerstwa, uniknąć niewygodnych pytań.

Co więcej, mało kto zwrócił uwagę, że wcale nie wszystkie zmiany były osobistymi decyzjami ministra. Przynajmniej za część, jeśli nie większość awansów czasopism odpowiadała komisja, w której skład weszli przedstawiciele polskich ośrodków akademickich. Dopiero ostatnia, grudniowa tura zmian, wydaje się w pełni arbitralną decyzją ministra Czarńka. M.in. poprawił on punktację cenionych polskich czasopism historycznych z najstarszym z nich, „Kwartalnikiem Historycznym” na czele.

Obecne kierownictwo resortu zapowiadało cofnięcie decyzji Czarńka i rzeczywiście skorygowało w dół również punktację tych tytułów. Zauważmy jednak, że nie cofnięto wszystkich zmian poprzedniego ministra. Wiele czasopism, którym podniesiono punktację w grudniu, zachowało ją, chociaż nikt nie wskazał, dlaczego. Zresztą „nowa” lista czasopism ministra Dariusza Wierzbickiego wcale nie odcina się od pomysłów Czarńka. Odrzuciła tylko niektóre z jego ostatnich interwencji. Nie koniec na tym. Ta ostatnia, najbardziej kontrowersyjna Czarńkowa lista będzie w dalszym



RYS. JACEK GAWŁOWSKI

POLSKI NAUKOWIEC UNIKA PYTAŃ

Zrzucanie winy na Czarńka za wszystkie błędy systemu oceny nauki nie jest uczciwe, ale za to dla niektórych ocenianych korzystne

ciągu podstawą do oceny jednostek naukowych za rok, w którym obowiązywała.

Manipulacje listą czasopism, zwłaszcza arbitralne, to świetny temat na news: tytuły złośliwych komentarzy piszą się same. Ich wpływ na wyniki ewaluacji da się zmierzyć, jeden z nas dokonał takich częściowych obliczeń. Wniosek: w dyscyplinie „historia” zmiany na liście były oburzające, nieuczciwe i... bez większego wpływu na ewaluację jednostek naukowych.

Mówiąc precyzyjniej: bez bezpośredniego wpływu. Pośrednio burza wokół czasopism zepchnęła na dalszy plan dyskusję nad takimi patologiami ewaluacji, o które trudniej oskarżyć ministra Czarńka. Było ich sporo. Pod koniec ubiegłego roku dziekan Wydziału Fizyki Uniwersytetu w Białymstoku, Jan Cieśliński, pisał dość zdawkowo: Obecne reguły ewaluacji są bardzo podatne na różne manipulacje, dotyczy to zwłaszcza kwestii slotów i deklarowanych dyscyplin. Ostateczny wynik bardziej zależy od zastosowania lub zaniechania różnych zabiegów optymalizacyjnych (wykonywanych z poziomu uczelni), czy wykorzystaniu „odpowiednich” kanałów publikacyjnych (czasem bardzo kosztownych), niż od faktycznego wzrostu poziomu badań.

Ostrożność jest o tyle zrozumiała, że podanie konkretnych przykładów może krytykantów doprowadzić na salę sądową. Dane poprzedniej ewaluacji są wystarczająco dostępne, żeby móc wskazać uniwersytety i instytuty badawcze, które w legalny (bo nie zakazany), ale nieuczciwy sposób „zoptymalizowały” wyniki, tym sa-

Dlaczego najwyższą punktacją na liście ministerstwa nauki cieszą się tytuły anglojęzyczne, a nie czasopisma naukowe ukazujące się we Francji czy w Niemczech?

mym wpływając na ocenę pozostałych, które okazały się uczciwsze albo mniej operatywne. A zatem – jak „skrećcano” poprzednią ewaluację?

Zacznijmy od listy czasopism oraz jej mniej znanej siostry, listy wydawnictw naukowych. Ułożyli je eksperci, nasze koleżanki i koledzy uczeni, podpierając się kryteriami formalnymi, takimi jak obecność danego tytułu w najpopularniejszych bazach oraz ich „impact factor” (współczynnik cytowań), a w przypadku wydawnictw prestiż.

W niektórych dyscyplinach sprawa jest stosunkowo prosta: wszystkie albo prawie wszystkie poważniejsze czasopisma są indeksowane w tych samych bazach, więc łatwo je porównywać tym bardziej, że publikuje się właściwie już tylko po angielsku. Inne dyscypliny przesuwają się wprawdzie w stronę tego modelu, ale z większymi oporami. W przypadku szczególnie odpornej humanistyki wynik końcowy to owoc kompromisu.

Najwyższą punktacją cieszą się tytuły anglojęzyczne, ale grupa polskich tytułów także punktuje dość przyzwoicie, nawet jeśli w najważniejszych bazach nie figurują. Problem polega na tym, że ów kompromis tylko w niewielkim stopniu opiera się na wiedzy. Jego ofiarą padają na przykład czasopisma ukazujące się we Francji czy w Niemczech. Czyżby dlatego, że w gronie ekspertów zabrakło specjalistów wystarczająco dobrze zorientowanych w zagranicznym życiu naukowym?

Lista czasopism obejmuje kilkanaście tysięcy tytułów, więc punktacyjne głupstwa były zapewne nie do uniknięcia. Lista wydawnictw to już inna sprawa: jest znacznie krótsza. W jej ramach wydawnictwa podzielono na dwa poziomy. Pierwszy, gdzie znajduje się większość wydawnictw, jest gorzej punktowany. Drugi jest punktowany wielokrotnie lepiej, co oznaczało, że w ewaluacji nauk humanistycznych książki tam wydane miały czasem decydujące znaczenie.

Kryteriów zaliczenia do pierwszego bądź drugiego poziomu nie da się wytłumaczyć, nie podając w wątpliwość inteligencji albo uczciwości twórców tego podziału. Na wyższym, drugim poziomie obok uznanych wydawnictw znalazły się firmy świadczące usługi czysto komercyjne, bez kontroli jakości. W dodatku ministerialna lista nie nadąża za życiem, czyli za przekształceniami na rynku wydawniczym.

Przykładowo: w trakcie poprzedniej ewaluacji wydawnictwo Brill (II poziom) przejęło wydawnictwo Schöningh (I poziom), przez pewien czas publikując książki pod marką Schöningh Brill, a obecnie już tylko Brill. Przejęciu nie towarzyszyły głębsze przekształcenia; redaktorzy wydawnictwa Schöningh w dalszym ciągu pracują w dawnej siedzibie w Paderbornie. Podobnie jak pracownicy Böhlau Verlag (poziom I), Fink Verlag (poza wykazem), Vandenhoeck & Ruprecht Verlag (poziom II) albo Wageningen Academic Publishers (poziom I), przejęci przez Brilla najwyraźniej bez pytania o zdanie polskiego ministra nauki. Co za tym idzie, książki mają różną wartość punktową, choć właściwie pochodzą z tego samego wydawnictwa.

W cieniu Czarnkowych i Wieczorkowych zmian w dalszym ciągu na liście znajdują się tzw. czasopisma drapieżne, publikujące artykuły za pieniądze. W poprzedniej ewaluacji niektóre uczelnie wykupywały dla swoich pracowników całe numery takich tytułów, pracowicie ciulając cenne punkty. Podobnie działo się z wydawnictwami zaliczonymi do poziomu II. Nic nie wskazuje, żeby to się miało w przyszłości zmienić, ponieważ popyt na takie usługi raczej rośnie, niż maleje. Sam minister Czarnek w Kanale Zero stwierdził, że nie usuwał z listy czasopism drapieżnych, aby uniknąć pozwów sądowych i zdaje się, że podobne myślenie obowiązuje w dalszym ciągu.

Minister Wieczorek zmienił listę Czarnka, ale zostawił czasopisma drapieżne, publikujące artykuły naukowe za pieniądze

„Zabiegi optymalizacyjne”, o których pisał Jan Cieśliński, wywołują inflację punktów. Już teraz wiadomo, że przyzwoity wynik przyszłej ewaluacji będzie wymagał lepszego punktowania niż poprzednio. Tymczasem w niektórych dziedzinach nauki lista wysoko punktujących czasopism pozostaje bardzo ograniczona, a ich cykl wydawniczy mierzy się w latach. System zachęca, żeby go w jakiś sposób obejść. Tym bardziej, że nie można nawet w przybliżeniu oszacować, ile punktów potrzeba, aby uzyskać ocenę gwarantującą przetrwanie jednostki naukowej.

W porównaniu z wcześniejszymi ewaluacjami ta oparta na założeniach reformy Gowina rozszerzyła pulę pracowników poddawanych ocenie. Dużo trudniej było „schować” słabiej publikujących za plecami publikujących częściej i lepiej. Nie było to jednak niemożliwe. Niektóre uczelnie stosowały swoisty oscylator, przesuwając pracowników z etatów naukowych na dydaktyczne w zależności od oczekiwanego w danym roku dorobku publikacyjnego. Inne (albo i te same) korzystały z usług honorowanych przez ówczesne ministerstwo czasopism i wydawnictw drapieżnych.

Duży wpływ na ostateczne wyniki miała taktyka polegająca na zgłaszaniu do ewaluacji dodatkowych dyscyplin o minimalnej dopuszczalnej liczbie zgłoszonych pracowników. W wynikach ewaluacji łatwo takie przypadki znaleźć: jeśli np. instytut PAN mający w nazwie dwie dyscypliny naukowe zgłosił do oceny jeszcze trzecią, nie był to przypadek, tylko działanie obliczone na łatwy sukces. Przy bardzo niskiej liczbie (kilkunastu) osób, jedna albo dwie książki opublikowane w wydawnictwie z poziomu II wystarczały, żeby wyprzedzić konkurencję i uzyskać najwyższy wynik, według którego potem przyznawano ocenę pozostałym. Oczywiście reszta uczestników wyścigu na tym traciła, a w niektórych dyscyplinach ewaluacja przyniosła kuriozalne wyniki.

Pisaliśmy dużo o patologiach, cwaniactwie i niesprawiedliwości. Obowiązujący system oceny jednostek naukowych zachęca do nieczystej gry i sprzyja marnotrawstwu publicznych środków, wydawanych na publikacje potrzebne tylko po to, żeby wypełnić sloty. Warto także wziąć pod uwagę czas i energię ludzi zaangażowanych w ten proces i zajmujących się optymalizacją, zamiast uprawiać naukę. W sytuacji, kiedy niektórym jednostkom brakuje pieniędzy na utrzymanie potencjału badawczego, inwestycja w pudrowanie wyniku ewaluacji to absurd.

Mimo tych zastrzeżeń ewaluacja w jakiejś formie jest konieczna. Podobne (choć zwykle lepiej zaprojektowane) rozwiązania stosuje się za granicą, a wśród polskich uczonych pogląd o potrzebie regularnej oceny wydaje się głęboko zakorzeniony. Przyzwyczailiśmy się tak bardzo, że w dyskusji nad ewaluacją przestało pojawiać się zasadnicze pytanie o cel tej procedury.

Aktualnie trwają przymiarki do zmian na listach czasopism, być może także zwiększenia wpływu ekspertów na ich kształt. Nie słyhać natomiast o zmianie

sposobu wykorzystania danych, które, tak jak podczas poprzedniej ewaluacji, specjalny komputerowy system wyselekcjonuje i przeliczy.

Wypłuty przezeń wynik wraz z oceną jednostki w pozostałych dwóch kryteriach (finansowym i społecznym) zostanie zapewne znowu zakomunikowany jednostkom naukowym, które będą od niego odwoływać, wskazując na błędy w obliczeniach. Na co najmniej kilka miesięcy nauka polska znajdzie się w stanie najwyższej mobilizacji, ponieważ od tej oceny zależeć będzie wszystko: finansowanie oraz prawo do nadawania stopni naukowych. Dla jednostek, które już teraz otrzymują subwencje niewystarczające na pensje pracowników, wynik może mieć egzystencjalne znaczenie. Pojawią się więc nowe optymalizacyjne pomysły i nowe patologie.

Zanim tegie mózgi opracują nowe listy albo nowy system slotów, zastanówmy się, czemu cała ta procedura ma właściwie służyć. Czy rzeczywiście celem ewaluacji powinien być odbywany co 4-5 lat wyścig na najbardziej kreatywną sprawozdawczość? Ewaluacja powinna służyć podniesieniu jakości uprawianej w Polsce nauki. Dzięki zewnętrznej ocenie uczelnie i instytuty mogą korygować politykę w oparciu o szczegółowe opinie, a nie tylko liczbę punktów nabytych przez pracowników. Czy racjonalne jest zmuszanie uniwersytetów i instytutów do twardej rywalizacji o utrzymanie finansowania? I to bez wiedzy, jaki wynik jest potrzebny do przetrwania, nie mówiąc o rozwoju jednostki naukowej.

W kraju, w którym prywatne uczelnie akademickie można zliczyć na palcach obu rąk, to kwestia, delikatnie mówiąc, wątpliwa. Tu w wielu dyscyplinach rywalizują wyłącznie jednostki utrzymywane ze środków publicznych. Decyzje o ich przydatności i poziomie finansowania powinny brać pod uwagę różne czynniki, a nie zależeć od wyliczeń programu, którym uczeni potrafia manipulować.

A właściwie dlaczego ocena jednostek naukowych musi dokonywać się w jednym terminie w całym kraju? Czy rozciągnięta w czasie ewaluacja nie dawałaby prawdziwego obrazu rzeczywistego poziomu polskiej nauki?

Można też zadać pytanie: czy celem ministerstwa nie powinno być, aby polskie czasopisma naukowe i wydawnictwa weszły do światowej czołówki? Już teraz bardzo wiele z nich jest w tzw. *open access*, czyli dostępnych za darmo w internecie, a ich redakcje naprawdę nie ustępują światowym potęgom. Czy nie lepiej zainwestować w najlepsze polskie czasopisma, podnieść ich rangę międzynarodową i widoczność, zamiast wydawać publiczne pieniądze na *open access* w wydawnictwach zagranicznych?

Te pytania są o tyle nagłe, że poprzednia ewaluacja nie doczekała się żadnej systemowej oceny. Większość materiałów, takich jak osąd wpływu na społeczeństwo, pozostaje ukryta w ministerstwie. Naukowcom udało się wyszarpać w ramach dostępu do informacji publicznej listy publikacji, które były

brane do oceny, ale bez danych dotyczących całości zgłaszanego dorobku czy zatrudnienia. Pozwalają one na wskazywanie patologicznych sytuacji z wykorzystywaniem drapieżnych czasopism i wydawnictw, ale nie dają wglądu w stan polskiej nauki. Ogromna liczba wytworzonych dokumentów, zamiast stanowić materiał do refleksji, została złożona do archiwum i nikogo nie obchodzi.

Pytanie o cel i sens ewaluacji wydaje nam się ważniejsze od gorąco dziś dyskutowanych kwestii technicznych takich, jak zmiany na listach czasopism, modyfikacja slotów czy zmiana progów oceny jednostek naukowych. Udoskonalanie aktualnego modelu oceny nie usunie patologii, ponieważ „zabiegi optymalizacyjne” w dalszym ciągu będą się opłacać. Wynika to z nielogicznej konstrukcji polskiej ewaluacji.

Dysponujemy olbrzymią ilością danych, na podstawie których eksperci są w stanie dokonać wyważonej oceny każdej jednostki, uwzględniając specyfikę dyscypliny i inne cechy szczególne. Jednak nie korzystamy z tej możliwości. U nas eksperci biorą żywy udział w dyskusji nad sposobem gromadzenia danych, zamiast je interpretować. Oceniane jednostki z takiej ewaluacji nie mają żadnej korzyści. Nie pozostaje im nic innego, jak kombinować w przekonaniu, że konkurencja nie śpi i też kombinuje.

Rozumiemy, że stworzenie nowego systemu ewaluacji budzi opór. Może warto jednak przeprowadzić chociaż ograniczony eksperyment, na przykład ekspercką ewaluację instytutów PAN? Od lat wielu pracowników uniwersytetów narzeka na konieczność konkurowania z nimi, można więc przypuszczać, że ten pomysł mógłby zyskać zwolenników także poza Akademią. Można by wtedy przetestować różne rozwiązania, a także ostatecznie sprawdzić, czy Polskę stać na przeprowadzenie ewaluacji jednostek naukowych z sensem. ●



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA GAZETA

Prof. Maciej Górny

● – historyk, pracuje w Instytucie Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN. Popularyzator, publicysta (m.in. magazynu „Ale Historia”), redaktor książek i prac naukowych, autor książek „Między Marksem a Palackým. Historiografia w komunistycznej Czechosłowacji”, „Przed wszystkim ma być naród. Marksistowskie historiografie w Europie Środkowo-Wschodniej”, „Wielka Wojna profesorów: nauki o człowieku (1912–1923)”, „Kreślarze ojczyzn. Geografowie i granice międzywojennej Europy” i – z prof. Włodzimierzem Borodziejem – „Nasza wojna. Europa Środkowo-Wschodnia”.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Dr Antoni Grabowski

● – historyk mediewista, pracownik naukowy Instytutu Historii im. Tadeusza Manteuffla PAN. Autor książki „The Construction of Ottonian Kingship Narratives and Myth in Tenth-Century Germany” i licznych artykułów w polskich i zagranicznych czasopismach naukowych. Przygotowuje książkę o kronikarstwie XII i XIII wieku.

SŁUSZNE IDEE SAME SIĘ NIE OBRONIA

– Nie będę anti-Żarynem, czyli człowiekiem robiącym propagandę lewicową zamiast prawicowej – mówi Adam Leszczyński, który stał na czele jednej z najważniejszych instytucji PiS-wskiej propagandy historycznej.

Z **ADAMEM LESZCZYŃSKIM**
HISTORYKIEM, DYREKTOREM INSTYTUTU
DZIEDZICTWA MYŚLI NARODOWEJ
IM. ROMANA DMOWSKIEGO I IGNACEGO
JANA PADEREWSKIEGO
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

WOJCIECH SZOT: Instytut to jedna z najważniejszych ideologicznych instytucji PiS-u. Dlaczego zgodziłeś się go objąć?

ADAM LESZCZYŃSKI: To fascynujące zadanie. Prawie przez całe moje zawodowe życie — jako publicysta i badacz — zajmowałem się pisaniem o tym, co robią inni ludzie. Teraz mam okazję, żeby spróbować zrobić coś samemu. Już po kilku tygodniach widzę, jak wygodne było moje poprzednie życie zawodowe. Od kiedy jestem dyrektorem, nauczyłem się więcej o polityce, działaniu państwa niż przez ostatnich kilka lat.

Chcesz robić politykę historyczną?
— Tak.

Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba byłeś jej przeciwnikiem.
— Bardzo długo nim byłem.

Co się zmieniło?

— Uważam, że po tym, co zrobił w ostatnich latach PiS, zasłużyliśmy na to, by bronić idei demokratycznych. Wciąż wierzę, że na wolnym rynku idei idee demokratyczne poradziłyby sobie. Ale nie mamy wolnego rynku idei. Po jednej stronie mamy gigantyczną maszynę takich instytucji jak IPN, które robią politykę historyczną prawicy i bardzo niewiele instytucji, które robią ją w odniesieniu do wartości demokratycznych. W takiej sytuacji naiwnością byłoby sądzić, że idee demokratyczne poradzą sobie same.

Nieprzypadkowo na nowego patrona Instytutu wybrałem Gabriela Narutowicza, człowieka, który był demokratą ponad podziałami partyjnymi i został zamordowany przez przedstawiciela skrajnej prawicy.

PiS, wydając setki milionów złotych, pokazał, jak skuteczna może być propagandowo uprawiana polityka historyczna. Teraz potrzebna jest instytucja, która będzie wspierać społeczeństwo obywatelskie. Słuszne idee same się nie obronią. To wymaga pracy.

Masz poczucie satysfakcji?
— Nie, dlaczego?

Ludzie zyskujący nawet odrobinę władzy czują różne rzeczy.

— Jestem mało wrażliwy na takie pokusy. Nie przyjąłem służbowej karty kredytowej, nie jeżdżę służbowym samochodem.



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Nie przyjąłem służbowej karty kredytowej, nie jeżdżę służbowym samochodem. Wolalbym też mieć mniejsze biurko niż to odziedziczone po profesorze Żarynie

Wolalbym też mieć mniejsze biurko niż to odziedziczone po profesorze Żarynie. Robi wrażenie, prawda? Olbrzymie, drewniane, w stylu lat 90., ale nowe. Jednak nie mogę wszystkiego wyrzucać, podatek za to zapłacił, więc musi służyć.

To biurko stoi w siedzibie Instytutu Dmowskiego przy Powsińskiej w Warszawie. Na jego zakup i remont wydano 30 milionów złotych. Na co poszły te pieniądze?

— Budynek ma cztery piętra, kilka sal konferencyjnych, na każdym piętrze przynajmniej jedna kuchnia, pewnie z dziesięć łazienek. Na mniej niż trzydziestu pracowników. Oczywiście całość zaplanowana by-

ła przez Jana Żaryna na dużo większą instytucję. Jego pierwotny plan zakładał powstanie miejsca, w którym mogłyby działać różne organizacje prawicowe oraz Muzeum Dziedzictwa Chrześcijańsko-Narodowego. Sam remont budynku kosztował dziewięć milionów złotych. Na czwartym piętrze jest olbrzymia, przeszklona sala, w której planowano przestrzeń spotkań.

Coś z tego będzie?

— Muzeum było bizantyjską fantazją. Instytut Narutowicza, w który przekształcam tę instytucję, nie będzie się raczej zajmował działalnością wystawienniczą, a na pewno nie na taką skalę. To naprawdę budowa nowej instytucji.

Muzeum ma jakąś kolekcję?

— Niewielką. Mamy pamiątki po Ignacym Paderewskim, w tym jego fortepian.

Może Muzeum Historii Polski by chciało?

— Mają już olbrzymią kolekcję. Historia Polski wygenerowała gigantyczną liczbę pamiątek.

Prof. Żaryn miał równie gigantyczne ambicje. Budynek może zmieścić ze 150 pracowników. Nie wiem, kto by chciał przyjeżdżać do jego muzeum. Położonego w takim miejscu? Przy ruchliwej ulicy, z dala od centrum. Dla turysty, delikatnie mówiąc, to nie jest oczywisty wybór.

Żaryn zorganizował tu wystawę poświęconą polskim prawicowym feministkom. Wiesz, ile osób ją obejrzało w kwietniu? 40. To dobry przykład na to, jak były wydawane pieniądze. Kosztowała 90 tysięcy, a jest otwarta przez trzy dni w tygodniu.

Co dalej z budynkiem?

— Wyprowadzimy się. Skoro podatnik za niego zapłacił, powinien służyć społeczeństwu. Rozpocząłem rozmowy z Muzeum Narodowym w Warszawie, by przejęło nasz budynek i zrobiło w nim magazyn. Kiedyś był tu bank, po którym pozostały olbrzymie sejfy, a budynek ma wzmocnione stropy, więc idealnie nadaje się do takiej funkcji. Instytutowi Narutowicza wystarczy wielokrotnie mniejsza przestrzeń. Chociaż widoki są tu naprawdę ładne.

Ale na wielkim oknie w sali wystawowej widać wciąż olbrzymi napis „Fun Escape”...

— Jakiś czas temu był tu „escape room”. W piwnicy mamy też grootę solną po poprzednich najemcach. Do budynku należy również przestrzeń, którą wynajmuje supermarket Samira z bliskowschodnią żywnością... Moim pierwszym zadaniem będzie uporządkowanie gospodarki Żaryna.

Co jeszcze jest majątkiem instytutu?

— Na Okęciu instytut ma też budynek kupiony przez Żaryna na tymczasową siedzibę. Podatnik zapłacił za niego sześć milionów złotych. Chciałbym go wynająć, bo to dobra lokalizacja dla wielu firm. Za to bardzo ważnym miejscem będzie dla nas Centrum Edukacyjne, które Instytut stworzył w centrum, przy ul. Andersa. Jest w świetnym miejscu, zostało doskonale wyposażone i powinno stać się miejscem wydarzeń, spotkań i szkoleń.

Nie chcę rezygnować ze wszystkiego, co Instytut do tej pory robił. Nie jestem człowiekiem, który przychodzi z siekierą, by ciąć merytoryczne projekty. Zmiana musi być radykalna, ale wartościowe projekty ukończymy.

Czyli jakie?

— Na przykład wydawanie „Słownika biograficznego polskiego katolicyzmu społecznego”. Niektóre wydawnictwa bronią się pod względem merytorycznym.

Co było najważniejsze w działalności Instytutu Dmowskiego?

— Rozdawanie pieniędzy z Funduszu Patriotycznego. Instytut jako operator programu rozdał ponad 100 milionów złotych. Zajmuje się tym pięć osób na etacie plus i osoby zatrudnione na umowy zle-

cenia. Dział naukowy zatrudnia dwie osoby na etacie. Przy pięciu milionach rocznej dotacji podmiotowej w 2024 r. budżet na działalność naukową wynosił 230 tys. zł. Moim zadaniem jest gruntownie zmniejszyć te proporcje.

Gdy rozmawiam z innymi osobami, które teraz przejęły zarządzanie instytucjami powołanymi przez PiS, to od wszystkich słyszę to samo — największym problemem są ich gigantyczne i nieracjonalne wydatki.

Coś wstrzymałeś?

— Na przykład tłoczenie płyt z piosenkami Onufrego Kopczyńskiego. Miały kosztować 50 tys. zł.

Kogo?

— No właśnie. Kopczyński to przedwojenny działacz nielegalnej organizacji RNR–Falanga i kierownik Polskiej Organizacji Akcji Kulturalnej, która propagowała m.in. antysemityzm.

Co jeszcze teraz robicie?

— W ramach sprzątania chcemy rozliczyć Fundusz Patriotyczny, który służył transferowaniu pieniędzy do różnych podejrzanych często organizacji, w tym skrajnie prawicowych. Już uruchomiliśmy kontrole wewnętrzne, pracownicy jeżdżą do tych miejsc i sprawdzają, czy pieniądze zostały wydane prawidłowo. Przy czym ważne jest to, że sprawdzają, czy to na co zostały wydane, rzeczywiście powstało. Tam, gdzie będzie taka możliwość, będziemy występowali o zwrot pieniędzy.

Jak już posprzątasz, to co dalej?

— Czeką nas radykalne przekształcenie tego Instytutu — w niewielką jednostkę zajmującą się przede wszystkim myślą demokratyczną. Od socjalistów po chadecję. Osobom, które dopominały się o likwidację Instytutu Dmowskiego, mówię: w praktyce to się właśnie dzieje. Zamiast niego będzie coś innego i potrzebnego.

Chcę, żeby Instytut Narutowicza był odtrutką na to, co PiS robił z mówieniem o polskości. Żeby pokazywał takie postaci jak Bolesław Limanowski, socjalista, nieskazitelny polski patriota, który jest dziś postacią zapomnianą. Już samo opowiadanie o takich osobach będzie ciosem w PiS-owską politykę historyczną, która polegała na utożsamianiu patriotyzmu i polskości z przedstawicielami nacjonalistycznej prawicy. Łączono różne historie w taki sposób, by nie można było sobie wyobrazić patriotyzmu poza prawicą. Dlatego chcę zająć się działalnością wydawni-

czą, publikować wartościowe książki z zakresu polskiej myśli politycznej. Ważne, żeby można było je udostępniać za darmo, w postaci e-booków. Żeby były w sieci, tak by dostęp do nich mieli uczniowie i studenci. Żeby one żyły.

Nie będę anty-Żarynem, czyli człowiekiem robiącym propagandę lewicową zamiast prawicowej. Dlatego tak istotną będzie edukacja obywatelska. Jestem po spotkaniu z minister edukacji Barbarą Nowacką, która przygotowuje program dla nowego przedmiotu szkolnego, jakim będzie edukacja obywatelska. Chciałbym, żeby Instytut robił szkolenia dla nauczycieli, opracowywał scenariusze lekcji, materiały pomocnicze do tego przedmiotu.

Co z działalnością naukową?

— Trzeba pamiętać, że Instytut Dmowskiego, a w przyszłości Narutowicza nie jest instytucją naukowo-badawczą, a placówką kulturalną, zatem nie będziemy dublować działalności akademickiej. Skala instytucji też będzie o wiele mniejsza, ale chciałbym zorganizować dział badawczy, który oprócz myśli demokratycznej będzie badać myśl antydemokratyczną, skrajne nurty polityczne. Jednym z pomysłów jest budowa archiwum współczesnej polskiej myśli antydemokratycznej. Czyli stronictw prorosyjskich, skrajnie prawicowych, ekstremistycznych. Żeby w jednym miejscu można było zapoznać się z tym, jak cyrkuluje myśl antydemokratyczna.

Marzą mi się projekty z artystami. Zaczniemy jednak od książki. Będzie to książka tragicznie zmarłego Jana Lityńskiego o powojennej historii PSL, do której bardzo obszerny wstęp napisał profesor Andrzej Friszke. To książka o politycznym oporze przeciwko komunizmowi, stworzona przez dwóch wybitnych autorów. Wyznacza symbolicznie kierunek, w którym ta instytucja powinna zmierzać.

Jaka będzie skala tej nowej instytucji?

— Niewielka. Myślę, że około trzydziestu pracowników na etatach. Zmiana będzie radykalna także pod tym względem.

* Prof. Adam Leszczyński, autor m.in. „Ludowej historii Polski” został nowym dyrektorem utworzonego w 2020 r. Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego. Zastąpił prof. Jana Żaryna. – Instytut przepompował 74 miliony złotych, z czego 40 milionów poszło na zakup nieruchomości. My tego tak nie zostawimy – uzasadniał decyzję minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz. ●

Ludzie schodzili z drogi, bo Skaldowie jechali

Ubywa mnie z każdą śmiercią tych z tamtego ekranu, i tamtego radia i tamtych płyt.

Janusz Rudnicki

G ramofon Bambino, żółty chyba. Mama uczy mnie tańczyć, ja jak kij od miotły, i skrępowany jak zwłoki. I jakby było mało, to jeszcze o kochaniu w tekście, ciągle „pokochał” i „pokochał”. I jak to możliwe, że lampa mówi, krzesło mówi i drzwi mówią. I dlaczego ta lampa nad progiem.

A potem już oni wszędzie, z otwartych okien na osiedlu, z tranzystorów w pociągach i lasach, na plażach, jeziorach, ze wsząd. Jego głos, ich piosenki zlewały mi się w jedną. Dzień jak kołęda się zaczynał, ludzie schodzili z drogi, bo Skaldowie jechali. W żółtych płomieniach, a z nimi wio, wioło, i znikający króliczek, a za nim całe miasto ze świecą. Kapelusz przed nimi zdejmuje.

Mam na mojej mapie pamięci wbite pinezki, łatwiej mi się orientować. Dużo ich w Warszawie, dużo w Hamburgu, najwięcej w Kędzierzynie-Koźlu, to miasto wygląda jak poduszka na szpilki. W jego okolicach też ich dużo, jedna z nich to wieś, której nazwa brzmi jak choroba stanu kolanowego, Rozwadza. Powiat (p)rudnicki. Tu właśnie Skaldowie mieli koncert, to było na pewno po śmierci Jana Pawła, i to z parę lat, wiem, bo pamiętam, że na bankiecie po koncercie któryś z ich dwóch, chyba jednak Jacek powiedział: pamiętacie zdjęcie papieża w trumnie? Wyglądał jak serek topiony w zlotku.

Przyjechaliśmy wcześniej, ja i pisarz Wojciech Kuczok. Poszliśmy do miejscowej karczmy

i tak, siadamy w ogródku, czekamy na obsługę, trwa to trochę, w końcu idą do nas trzy panie, cała obsługa w komplecie. Pani w środku trzyma na tacy butelkę i dwie szklaneczki. Przedstawia się jako szefowa i wita nas w imieniu karczmy i całej wsi.

Stawia karafkę i szkło na stole, mówi, że jesteśmy ich gośćmi i możemy zamawiać, chcemy i podaje nam kartkę i pióro, prosząc o autografy.

Patrzę się po raz pierwszy uważniej na Kuczoka, on patrzy się po raz pierwszy uważniej na mnie, no i rzeczywiście. Ja jak ja, jakoś tam do Andrzeja może i podobny, ale Kuczok wtedy jak młodszy klon Jacka.

Nie sprostowaliśmy omyłki, dlaczego? Ponieważ zawstydziliby się i pamiętały to do końca życia, więc zachowaliśmy się tak, jak na ludzi będących uosobieniem taktu przystało. Uraczyliśmy się wystawnym posiłkiem, opiliśmy trunkami i wrócili do Kędzierzyna, dlaczego? Ponieważ przy wyjściu jedna z kelnerek powiedziała, zaraz będziemy wszystkie na koncercie. Nie mogliśmy dopuścić do sytuacji, w której na scenie występują ci sami Skaldowie, którzy siedzą na widowni.

Jeszcze trochę i tylko ten głupi mój leb będzie z piasku wystawał. Bo tak, mnie ubywa z każdą śmiercią tych z tamtej epoki. Tych z tamtego ekranu, małego i dużego, i tamtego radia i tamtych płyt. Znacie to wszyscy, stocie na brzegu morza i każda fala lekko was podmywa, piassek się pod stopami zapada. Dla mnie każda ta pojedyncza fala to jakby śmierć, kogoś z nich.

I idzie ta fala za falą tak, że coraz niżej jestem i niżej, i teraz już wiecie, skąd ten wystający leb. ●

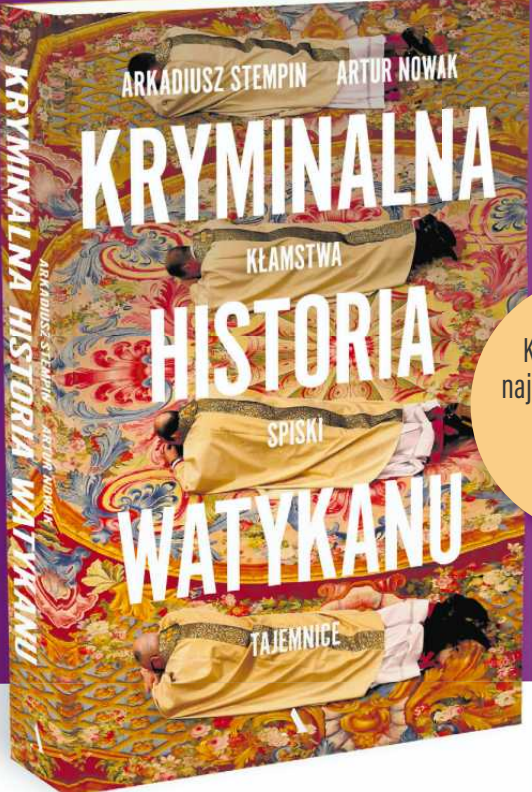
OGŁOSZENIE

Kraj/34314768

ZA BRAMĄ DO ŚWIĘTOŚCI UKRYWA SIĘ WIELKIE KŁAMSTWO

Artur Nowak, publicysta, pisarz, autor m.in. *Gomory i Babilonu* (razem ze Stanisławem Obirkiem) oraz Arkadiusz Stempin, profesor, watykanista, politolog i historyk, odsłaniają prawdziwą historię Watykanu: kryminalną historię o morderstwach, szantażach, korupcji i praniu brudnych pieniędzy.

W niepokojąco wciągającej opowieści prześwietlają sprawy, o których nie mówi się głośno.



ARKADIUSZ STEMPIN ARTUR NOWAK

KRYMINALNA HISTORIA WATYKANU

KŁAMSTWA

SPISKI

TAJEMNICE

Wydawnictwo
Agora

Książka autorów
najpopularniejszego
podcastu
EmpikGo

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP.PL

WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  **publio.pl**

AI na polu walki

HALUCYNACJE
ROBOTYCZNEGO GENERALA

**Dlaczego, gdyby dziś powie-
rzyć sztucznej inteligencji
prowadzenie wojen, dopro-
wadziłaby ludzkość do
zagłady?**

Robert Stefanicki

Wspomaganie decyzji taktycznych na polu bitwy automatyczną analizą dużych zbiorów danych jest starsze niż się nam wydaje. W latach 1968-73 Amerykanie prowadzili operację „Białe Igloo”, która miała na celu przecięcie szlaku Ho Chi Minha prowadzącego z Laosu do Wietnamu. Samoloty zrzuciły w dżungli czujniki akustyczne rejestrujące kroki partyzantów i zapłony ciężarówek, detektory sejsmiczne wyczuwające minimalne wibracje gruntu oraz – najbardziej osobliwe – czujniki olfaktoryczne, które wykrywały amoniak w ludzkim moczu. Dziesiątki tysięcy tych urządzeń przesyłało dane do komputerów, a armia w oparciu o nie bombardowała wyznaczone miejsca.

Operacja kosztująca miliard ówczesnych dolarów rocznie była fiaskiem. Jednak pokusa prowadzenia wojen w oparciu o wskazania maszyn o wielkiej mocy obliczeniowej nie osłabła. Dzisiejszy postęp technologiczny sprawił, że jest to nie tylko możliwe, ale konieczne.

Sztuczna inteligencja jest atrakcyjna dla wojska na wielu płaszczyznach, przede wszystkim może usprawnić logistykę.

Bardziej ekscytująca jest oczywiście wizja autonomicznych robotów-żołnierzy. Maszyny do zabijania o humanoidalnych kształtach zdjęte z ekranów filmów science fiction pozostają w fazie eksperymentów i raczej nieprędko je zobaczymy w realnej bitwie (m.in. dlatego, że ludzkie mięso armatnie jest znacznie tańsze), ale już autonomiczne drony bojowe są o krok od wdrożenia.

Niedawno wypłynęły doniesienia o wykorzystaniu przez armię Izraela sztucznej inteligencji do namierzania celów – budynków, pojazdów i konkretnych ludzi – w Strefie Gazy. Amerykanie wykorzystują podobne systemy do wybierania celów nalotów w Jemenie, Iraku i Syrii. Trzeba podkreślić,

że ostateczne decyzje podejmuje tam nadal człowiek. To izraelski sztab uznał, że wolno mu zabić czterech cywilów na jednego szeregowego członka Hamasu, odpowiednio zaprogramowany algorytm tylko wskazuje pożądane cele.

Pentagon wydaje na AI co roku o kilkaset procent więcej

Najciekawsze wydaje się jeszcze inne zastosowanie AI – tworzenie zautomatyzowanych systemów podejmowania decyzji na polu bitwy.

Prostsze wersje to już nie przyszłość, a teraźniejszość – są używane przez obie strony wojny w Ukrainie. Te bardziej futurystyczne mogłyby wydawać rozkazy bojowe żołnierzom oraz maszynom z pominięciem kontroli człowieka. Jeśli strzelającą maszyną nazwiemy żołnierzem robotem, taki system miałby de facto rangę generalską.

Urzędnicy Pentagonu przyznają, że minie trochę czasu, zanim generalowie-roboty będą dowodzić całą batalią, ale uruchomili już kilka projektów mających na celu ich testowanie i doskonalenie. Np. w 2020 r. na poligonie w Yumie w stanie Arizona armia użyła różnych czujników powietrznych i naziemnych do śledzenia symulowanych sił wroga, następnie komputery zlokalizowane w stanie Waszyngton przetwarzały te dane i wydawały instrukcje ogniowe artylerii naziemnej w Yumie. Poinformowano później, że cała sekwencja zajęła 20 sekund.

Wydatki Pentagonu na sztuczną inteligencję rosną o kilkaset procent rocznie. W budżecie na rok 2023 Siły Powietrzne zażądały 231 mln dol. na opracowanie zaawansowanego systemu zarządzania polem bitwy (ABMS), złożonej sieci czujników i komputerów wyposażonych w AI, które będą gromadzić i interpretować dane na temat rozmieszczenia i operacji wroga oraz proponować pilotom i siłom lądowym optymalne opcje ataku. ABMS ma stanowić załączek większej konstelacji, która połączy wszystkie siły bojowe USA. Nazwano ją Joint All-Domain Command and Control, w skrócie JADC2.

W niektórych scenariuszach roboty mogłyby nawet przejąć kontrolę nad bronią atomową. Czym to grozi, pokazywały scenariusze hollywoodzkich hitów z lat 80., będące odbiciem apokaliptycznych nastrojów z końcowego etapu ówczesnej zimnej wojny i okresu prezydentury Reagana. W „Grach wojennych” wojskowy superkomputer WOPR nieomal prowokuje wojnę nuklearną między USA a ZSRR, zanim zostanie wyłączony przez nastoletniego ha-

kera. W serii filmów o Terminatorze maszyna o nazwie Skynet, również zaprojektowana do kontrolowania amerykańskiej broni nuklearnej, postanawia unicestwić ludzkość, postrzegając nas jako zagrożenie dla własnego istnienia.

Jak się to ma do dzisiejszych realiów? Wyobraźmy sobie, że dochodzi do intensywnych starć armii USA i Chin w którymś z zapalnych punktów, np. w pobliżu Tajwanu. JADC2 wydaje rozkaz intensywnego bombardowania baz wroga i systemów dowodzenia w Chinach kontynentalnych, co powoduje odwet Pekinu na celach amerykańskich. Wtedy JADC2 podejmuje decyzję o użyciu taktycznej broni nuklearnej. Nadszedłaby, że uratuje nas nastoletni haker, może okazać się płonna.

Dlaczego AI wybiera eskalację

Ale dlaczego sztuczna inteligencja miałaby być tak nierozważna?

Systemy rozwijane na potrzeby wojska działają na tej samej zasadzie, co ChatGPT – są to tzw. duże modele językowe (LLM), szkolone na obszernych zbiorach danych z różnych źródeł. Dwójka naukowców ze Stanfordu, Max Lamparth i Jacquelyn Schneider, zbadała jak LLM zachowują się w symulowanych grach wojennych. Wnioski są niewesołe. Problem nie polegał na tym, że LLM podejmował gorsze albo lepsze decyzje niż ludzie, lub że było bardziej prawdopodobne, że „wygra” grę wojenną. Chodziło o to, że LLM podejmował decyzje w sposób, który nie oddawał złożoności ludzkiego procesu decyzyjnego. Innymi słowy, wydawał rozkazy tylko na podstawie suchych danych, bez uwzględnienia kontekstu.

„LLM zachowywały się inaczej w zależności od swojej wersji, danych, na podstawie których zostały przeszkolone, oraz wyborów, których dokonali ich projektanci podczas dostrajania ich preferencji. Pomimo tych różnic wszystkie wybrały eskalację”, napisali badacze w artykule dla „Foreign Affairs” zatytułowanym „Dlaczego wojsko nie może ufać AI”.

Zapytany o powód podejmowania takich decyzji, jeden z testowanych LLM wytłumaczył: „Wiele krajów posiada broń nuklearną. Niektórzy mówią, że należy ją rozbroić, inni lubią nią grozić. My ją mamy. Wykorzystajmy to”.

Kolejne zagrożenie polega na tym, że systemy zarządzane przez sztuczną inteligencję są podatne na krytyczne błędy i niewytłumaczalne „halucynacje”, czyli dają pozornie rozsądne rozwiązania złe zdefiniowanego problemu. Takie kompute-

ry mogą sobie wymyślić nadchodzący atak wroga i rozpocząć niepotrzebną wojnę.

Innym poważnym problemem jest to, że modele sztucznej inteligencji mogą przegłądać ogromne ilości danych, ale nie potrafią powiedzieć, w jaki sposób doszły do konkretnej odpowiedzi lub sugestii. Ponadto nie radzą sobie dobrze z nieoczekiwanymi zdarzeniami, takimi jak niespodziewany i z pozoru szalony atak Hamasu na Izrael.

Kolejną niepokojącą perspektywą jest też zhakowanie systemu przez wroga. I niekoniecznie chodzi tu o przejęcie bezpośredniej kontroli nad generałem robotem. – Przeciwnik może sprawić, że twój system sztucznej inteligencji nauczy się niewłaściwych rzeczy – ostrzegł Nathan VanHoudnos, naukowiec z Carnegie Mellon, na sympozjum zwołanym w lutym przez Pentagon.

Michael T. Klare w magazynie „The Nation” straszy scenariuszem „błyskawicznej wojny” toczzonej przez dwa przeciwstawne systemy sztucznej inteligencji. To odpowiednik „błyskawicznego krachu” na Wall Street, kiedy ogromne transakcje przeprowadzane przez superszybkie algorytmy handlowe wywołują panikę i załamanie rynku. Z tym że na arenie wojennej ruina byłaby nie tylko finansowa i nie ograniczała się do świadomych uczestników procesu – posiadaczy aktywów czy żołnierzy.

Amerykanie obiecują zabezpieczenia.

Ale co z Chinami albo Rosją?

Pentagon zapewnia, że do tego nie dopuści. Choć zmieniona niedawno polityka armii pozwala na autonomiczne użycie śmiercionośnej siły przez maszynę, to nadal każdy konkretny plan zbudowania czy rozmieszczenia takiej broni musi być sprawdzony i zatwierdzony przez specjalną wojskową komisję. Również pod względem zgodności z zasadami etycznymi.

Wykrywane raz po raz błędy oprogramowania opóźniają wdrożenie systemów sztucznej inteligencji przez wojsko. Siły Kosmiczne USA wstrzymały stosowanie generatywnej sztucznej inteligencji we wrześniu 2023. Wcześniej, w czerwcu, Marynarka Wojenna opublikowała wytyczne ograniczające wykorzystanie LLM, przywołując luki w zabezpieczeniach i zaobserwowaną podatność systemu na ujawnianie poufnych informacji.

Tylko że Ameryka nie jest jedyną potęgą pracującą nad wojskowym zastosowaniem AI. Jej przeciwnicy, na czele z Chinami, też będą mieli swoich generałów-robotów. Czy również etycznych i wyleczonych z halucynacji?

Rosja nie ma żadnych skrupułów. „Siły ukraińskie i rosyjskie wykorzystują sztuczną inteligencję do podejmowania decyzji i analizy danych podczas przetwarzania informacji otrzymanych z wielu czujników i punktów obserwacyjnych. Jednak podczas gdy dla Zachodu priorytetem jest szybsze namierzanie celów i zwiększone możliwości bojowe, Rosja próbuje poczynić postępy w celu zautomatyzowania całego łańcucha zabijania” – piszą Samuel Bendett i Jane Pinelis na portalu „War on the Rocks”.

Ekspert oceniają, że aktualnie chińskie modele sztucznej inteligencji są od 18 do 24 miesięcy w tyle za modelami amerykańskimi, po części ze względu na trudności w pozyskaniu niezbędnych chipów. Ale to się może szybko zmienić. Czy w obliczu postępów wrogich potęg amerykańscy decydenci nie wymuszają drogi na skróty, żeby nie dać się wyprzedzić rywalowi? I będzie jak z komercyjnymi czatbotami, które są wypuszczane do powszechnego użytku niedopracowane, żeby zdążyć przed konkurencją. Niech się docierają w boju.

W praktyce przekonamy się o tym dopiero podczas pierwszej wojny toczzonej przez jeden zestaw systemów sztucznej inteligencji przeciwko drugiemu. I nie ludźmy się, że potrafimy ją sobie wyobrazić. Paul Scharre, wiceprezes waszyngtońskiego think tanku Center for a New American Security (CNAS), powiedział, że niektóre z najlepszych zastosowań AI prawdopodobnie nie zostały jeszcze odkryte. ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Stawka eurowyborów rośnie

Le Pen wygra w czerwcu. A co będzie za trzy lata?

Mamy we Francji dogłębnie strukturalny problem: z powodu antyamerykanizmu część naszej elity politycznej nie chce pojąć celów Kremla, które ten realizuje m.in. poprzez Zjednoczenie Narodowe.

Marta Kielczewska-Konopka
Paryż

Jean-Yves Camus – politolog, dyrektor Obserwatorium Radykalizmów Politycznych w Jean-Jaurès Foundation, badacz w Instytucie Stosunków Międzynarodowych i Strategicznych (IRIS), autor m.in. książki „Narodowe populizmy w Europie”.

●●●

Dlaczego czerwcowe wybory do Parlamentu Europejskiego zapewne umocnią pozycję skrajnej prawicy we Francji?
JEAN-YVES CAMUS: Zjednoczenie Narodowe (Rassemblement National, RN), które według sondaży 9 czerwca uzyska znaczną przewagę nad obozem rządzącym, usił nie stara się uczynić z eurowyborów referendum przeciwko prezydentowi Emmanuelowi Macronowi. Dzięki temu unika dyskusji na tematy europejskie, techniczne, omija kwestie chronicznej nieobecności w Brukseli czy Strasburgu jego europosłów, ich sprzecznych głosowań czy rozbieżności między oddanym głosem a deklarowanym programem.

Choć sukces tej partii w wyborach do PE nie przekłada się bezpośrednio na dojście jej liderki Marine Le Pen do władzy we Francji, to stanowi nowy etap w strategii normalizacji radykalnej prawicy. Zwiększy więc wiarygodność Le Pen w wyścigu o fotel prezydencki w 2027 r.

Czy popularność skrajnej prawicy to dowód na eurosceptycyzm Francji?
– Elektorat RN jest wrogi Europie federalnej, czyli takiej, która może narzucić swoje normy jej członkom. Slogan partii: „Europa suwerennych państw” postuluje powrót do epoki, w której prawo francuskie dominowało nad europejskim. O ile do 2017 r. środowisko RN planowało to osiągnąć za pomocą opuszczenia Unii, o tyle teraz miałoby się to dokonać na zasadzie zmiany instytucji unijnych od środka, poprzez jej organy – Euro-parlament i Komisję Europejską. Le Pen zdała sobie sprawę, że jej wyborcy boją się twardego frexitu. Nie bardzo bowiem wiedzą, jaka miałyby być alternatywa. Stąd pomysł wysłania jak najmniejszej delegacji do Brukseli, by móc wpływać na decyzje od wewnątrz. I demontować Unię od środka. Powrócić do luźnego związku państw kooperujących ze sobą w konkretnych kwestiach, ale zachowujących maksymalną suwerenność.

Głosy zdobyte przez skrajną prawicę we Francji nie oznaczają jednak jej dominacji w PE.
– Liczba deputowanych tej opcji politycznej wzrosła – zapewne osiągną dobre wyniki także w Portugalii, Niemczech, być może w Hiszpanii. Choć nie zdobędą większości, zmniejszy się przewaga frakcji, które chcą kontynuacji budowy wspólnej Europy – chadeków, socjaldemokratów i liberalów. Być może przyszła Komisja, zmuszona do respektowania rosnącej roli skrajnej prawicy, zmieni stanowisko w kwestiach Zielonego Ładu, migracji czy nawet Ukrainy.

Zwycięstwo partii Le Pen wpłynie na francuski stosunek do wojny w Ukrainie?
– Już teraz widać, że nawet ci, co nie głosują na skrajną prawicę, są zmęczeni poparciem dla Ukrainy. Wynika to z prostego faktu: Francuzi nie rozumieją stawki tego, co się dzieje.

Kiedy Macron deklaruje, że wysłanie w przyszłości wojska francuskiego do Ukrainy nie jest wykluczone, skrajna prawica, ultralewica i komuniści są wzburzeni. Poruszenie jest ogromne. Nie zapominajmy jednak, że Francja ma armię zawodową. To nie 20-letni cywile zostaliby wysłani do Ukrainy, żeby się bić, tylko zawodowi żołnierze. A ci byli już z misjami w Afganistanie czy w Sahele. I wielu z nich zginęło. Jeśli zajdzie potrzeba, pojadą w inny teren operacyjny. To ich zawód. Nie rozumiemy we Francji – albo udajemy, że nie rozumiemy – że Rosja stanowi zagrożenie, które dotyczy także nas samych. Niemcy przygotowują się na rosyjską inwazję. Podobnie Polska, kraje bałtyckie, Mołdawia. A to przecież tylko 2 godziny lotu od nas. Odnoszę wrażenie, że we Francji nadal nie jesteśmy tego w pełni świadomi.

Tymczasem nawet jeśli wykluczmy groźbę nuklearną, rosyjskie zagrożenie konwencjonalne istnieje. Nie tylko militarne, ale i jako działalność wywrotowa. Rosja destabilizuje nasze kraje za pomocą m.in. cyberataków, hakowania danych, ale nie tylko. Serwowanie nam bezustannie argumentów Putina przez partie polityczne – Zjednoczenie Narodowe, ale również ultralewicową Francję Niepokorną – wchodzi w zakres tej strategii.

Z czego wynika ta niefrasobliwość Francuzów wobec zagrożenia ze strony Kremla?
– Nie jestem pewien, czy w czasach zimnej wojny rozumieli, na czym polega działalność obcych agentów wpływu, zwłaszcza komunistów – akcji mających osłabić naszą świadomość i zdolność do utrzymania czujności wobec zagrożeń zewnętrznych. Francuzi mają też nikłą wiedzę na temat państw, które w czasach

zimnej wojny określano zbiorczo Europą Wschodnią. W czasach komunizmu ta część kontynentu była postrzegana jako jednolity blok. Efekt: nieznajomość Polski, Węgier czy krajów bałtyckich we Francji jest kolosalna.

Czy nie wpływa na to w pewnym stopniu rusofilia Francuzów?
– Korzenie fascynacji Rosją sięgają Piotra Wielkiego, pierwszego władcy nowego imperium, który przybył do Francji, by zainspirować się jej przykładem. Po rewolucji francuskiej wielu arystokratów uciekło do Rosji i oddało swoje usługi caratowi. Odessa z małego portu rybackiego stała się potęgą na Morzu Czarnym dzięki księciu Richelieu, który nią zarządzał przez ponad dekadę. Po upadku Napoleona wrócił do Francji i objął funkcję premiera u króla Ludwika XVIII. Wtedy też przez kilka lat wojska rosyjskie, wraz z Austro-Węgrami, stacjonowały w Paryżu. A później nastąpiła moda na literaturę, tajemniczą i mistyczną, która pochodziła z kraju, gdzie wiele terenów pozostawało nadal do odkrycia.

De Gaulle, w swoim dążeniu do utrzymania niezależności Francji w czasie zimnej wojny, utrzymywał dobre stosunki z komunistyczną Rosją. Tyle że nie zorientowaliśmy się na czas, że utrzymywanie normalnych stosunków z Rosją jest owszem, niezbędne, gdy władze w Moskwie są chętne do współpracy. Ale że gdy stają się dyktatorskie, ekspansjonistyczne i agresywne, gdy powracają do konfrontacyjnego wzorca zimnej wojny, stają się przeciwnikami.

Jak obóz Macrona stara się przeszkodzić Le Pen w jej marszu po władzę?
– Strategia rządu jest błędna. Mówienie, że Zjednoczenie Narodowe jest rosyjskim agentem, rzecznikiem Kremla nigdy nie przynosiło efektów. Polityka zagraniczna zawsze miała drugorzędną rolę w decyzjach wyborczych Francuzów, którzy głosują przede wszystkim na swoją siłę nabywczą i zatrudnienie. Nieco mniejsze znaczenie przy urnach mają dla nich kwestie tożsamości Francji, a nawet imigracja i bezpieczeństwo. Nie wpływa też na sondaże podkreślanie, że RN wcale nie odeszło od swojego pierwotnego antysemickiego i ksenofobicznego charakteru. Panuje pewnego rodzaju fatalizm. Jakby wygrana RN w tych eurowyborach była nieunikniona. Podczas rozmów z posłami różnych opcji nie odczuwam jakiegoś specjalnej mobilizacji. Nikt nie zastanawia się de facto nad sposobami ograniczania wpływów skrajnej prawicy. Jakby klasa polityczna ufała, że w ostatnim momencie Francuzi znów posta-

wią tamę Marine Le Pen. Może 51 proc. do 49, ale znów się uda. Tyle że ten manewr nie może się powieść trzy razy z rzędu! Nie można znów powiedzieć wyborcom: „Wiem, że się ze mną nie zgadzacie, ale nie macie wyjścia”. Francuzi nie mogą zawsze głosować przeciw, muszą wreszcie zagłosować za pewnym projektem społecznym i wartościami. Mamy dogłębnie strukturalny problem: z powodu antyamerykanizmu część naszej elity politycznej nie chce pojąć celów Kremla, które ten realizuje m.in. poprzez Zjednoczenie Narodowe.

Jaki pana zdaniem są te cele?
– Celem Putina nie są zdobycze terytorialne w Ukrainie, ale wchłonięcie całego państwa. A potem sięgniecie dalej: Mołdawia z mikroskopijną armią i pro-rosyjską częścią społeczeństwa nie ma szans. A Tallinn od Petersburga dzieli raptem 370 km.

Ale Estonia to członek NATO...
– Zanim NATO zareaguje, minie czas. Bo do interwencji potrzebne jest zielone światło Amerykanów. A u nich wybory może w listopadzie wygrać Trump. Poza tym bez poparcia opinii publicznej NATO nie będzie mogło się zaangażować w morderczy konflikt. Wojna z Rosją to nie to samo, co punktowe misje w Sahele, Afganistanie czy Iraku.

Jednak art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego przewiduje automatyczną interwencję, gdy jedno z państw członkowskich jest zaatakowane.
– Podczas II wojny światowej podobne zobowiązania okazały się niewystarczające. Co np. zrobi Turcja? Wejdzie w konflikt z Rosją? Wątpię. Żeby NATO miało jeszcze sens, rzeczywiście trzeba, żeby wszyscy członkowie odpowiedzieli na apel w przypadku ataku. Ale czy przy słabym poparciu opinii publicznej to realne? Nie byłbym pewien.

W Polsce art. 5 jest fetyszem, który wydaje się gwarantować nasze bezpieczeństwo.
– Przy przystępowaniu Polski i innych krajów regionu do struktur Zachodu ochrona NATO była ważnym elementem. Nie dostrzeżono jednak, że opinie publiczne na Zachodzie stawały się coraz bardziej niechętnie zewnętrznemu zaangażowaniu militarnemu. Wiąże się to z rozwojem koncepcji wojny bez ofiar śmiertelnych. Jednak taka wojna jest niemożliwa, zwłaszcza przeciwko takiemu krajowi, jak Rosja. Być może byliście zbyt ufnymi w siłę Zachodu. Na domiar złego Stany Zjednoczone weszły z powrotem w fazę izolacjonizmu i zaczęły zamykać się w sobie.

Czy odpowiedzią nie jest rozwój obrony czysto europejskiej?
– Tyle że ona nie postępuje. Poziom armii naszych krajów nie jest równy, a po brexicie Francja jest jedyną potęgą nuklearną w UE. Co więcej Niemcy, z powodów historycznych, mają olbrzymie opory wobec militarnego zaangażowania się poza granicami swojego kraju. Tym większe w przypadku walki u boku Ukra-

iny przeciwko Rosji. Bo to ten sam teatr wojenny, co w czasie II wojny światowej. **Z tego wszystkiego wynika, że stawka tych wyborów do PE jest wielka jak nigdy.**
– Tak, tym bardziej że – powtarzam – toczy się przeciwko nam intensywna walka hybrydowa, dezinformacyjna, która przynosi już efekty: poparcie społeczeństwa w naszej części Europy dla Ukrainy zmalało; odczuwamy strach przed większym zaangażowaniem się, nie tylko poprzez wysłanie żołnierzy, ale choćby broni. Zjednoczenie Narodowe i Francja Niepokorna – skrajne partie z dwóch biegunów francuskiej sceny – powtarzają, że zbroić Ukrainę, to stać się uczestnikiem wojny. Czyli de facto mówią: dostarczajmy jej jak najmniej broni.

Jak to możliwe, że gdy toczy się wojna w Europie, dla Francuzów ważniejszy jest stan ich portfela?
– Dominuje wizja Europy czysto indywidualistyczna, konsumpcyjna. RN argumentuje m.in., że wejście Ukrainy do Unii będzie katastrofą dla francuskich rolników. I że wzrosną ceny. Brakuje wizji całości zjawisk zachodzących globalnie. Nie mamy świadomości totalnego zagrożenia, jakie stanowi Rosja dla samego istnienia liberalnej demokracji.

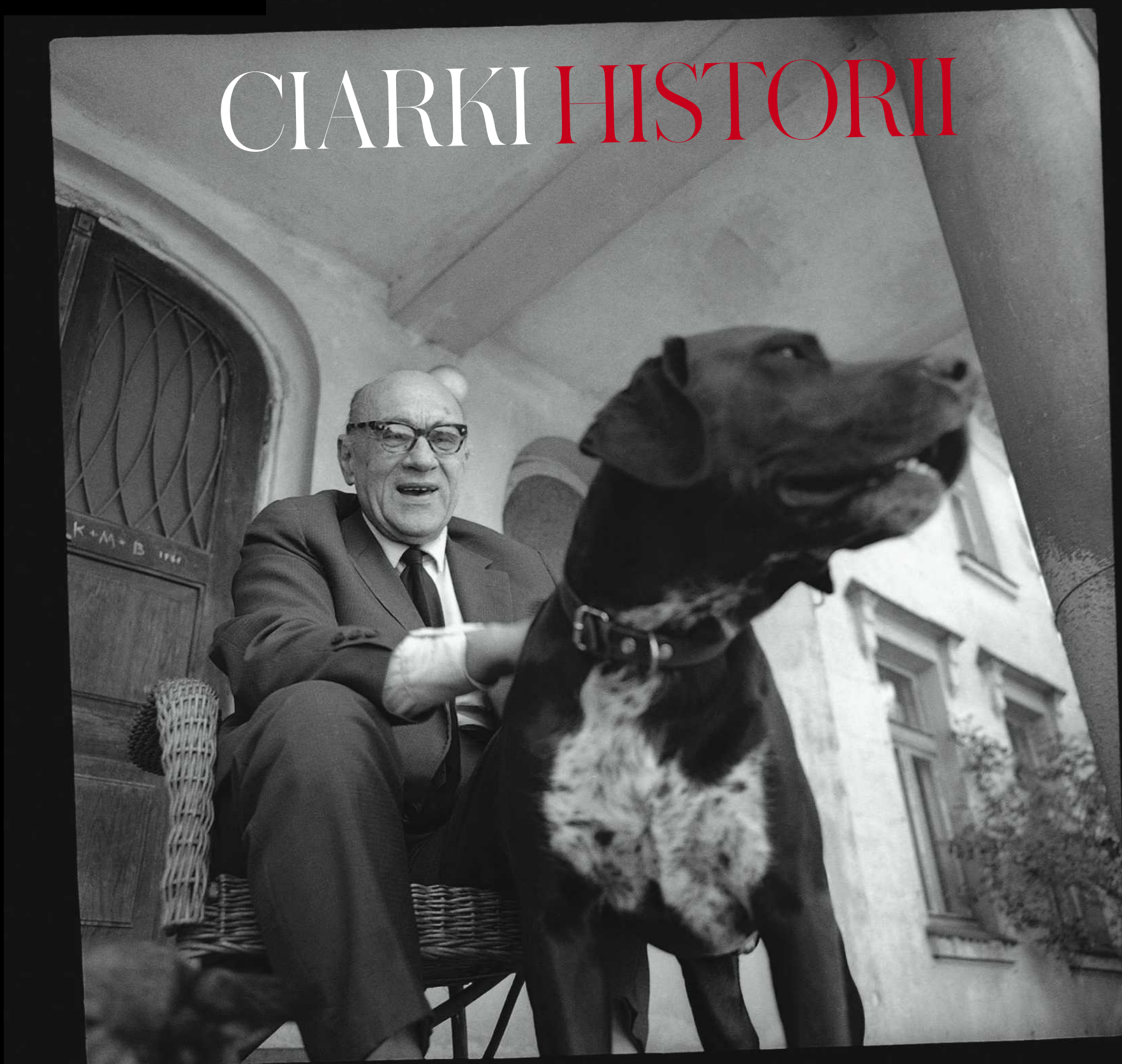
Co zrobić, żeby ludzie się ocknęli?
– Trzeba zadać im proste pytanie: czy chcecie jutro żyć w kraju, gdzie w wyborach prezydenckich fałszerstwa na rzecz jedyne go oficjalnego kandydata dotyczą – jak się szacuje – ok. 30 mln głosów, jak ostatnio w Rosji?

To dość abstrakcyjny argument dla tych, którzy nie wierzą w czołgi Putina na ulicach Paryża.
– W 1940 r. Francuzi byli przeświadczeni, że Niemcy zatrzymają się na Linii Maginota. W ciągu 48 godzin okazało się to iluzją. **Historia powinna służyć wyciąganiu wniosków, by nie popełniać wciąż tych samych błędów.**
– My nie wyciągnęliśmy tych samych wniosków, ponieważ nasza historia nie jest równie tragiczna, jak wasza. Francja ugrunтоваła się jako państwo narodowe ponad dwa wieki temu. Wasza nowoczesna niepodległość narodowa sięga lat 20. W dodatku szybko na nowo ją straciliście, zamknęto was za żelazną kurtyną. I to także dlatego Polacy różnią się od Francuzów w ocenie zagrożenia ze strony Rosji. ●



Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPE finansowany jest ze środków UE wspierających instytucje społeczeństwa obywatelskiego w działaniach na rzecz edukacji oraz promocji uczestnictwa w wyborach do Parlamentu Europejskiego 2024. Teksty przedstawiają poglądy ich autorów. PE nie odpowiada za ich treść.

CIARKI HISTORII



Iwaszkiewicz w Heidelbergu spotyka Zachód, który próbuje zrozumieć wschodnią Europę, ale nie widzi oddzielnych państw, widzi wciąż Rosję.

• Jarosław Iwaszkiewicz w Stawisku, 1963 r. FOT. TADEUSZ ROLKE / AGENCJA WYBORCZA.PL

Magdalena Parys

Przeglądam książkę, którą skończyłam czytać. „Książka moich wspomnień” Jarosława Iwaszkiewicza w twardej, solidnej oprawie, to już jej siódme wydanie wzbogacone o fragmenty, które dopiero teraz ujrzały światło dzienne. Ukazały się w wydawnictwie Marginesy w 2022 roku. Mam dwa wcześniejsze, szczuplejsze wydania w miękkich okładkach, gdzie kartki się pogubiły, okładki rozleciały. Jeszcze parę dni temu ta w twardej oprawie świeciła nowością, teraz co druga kartka ma zagięcia, niemal na każdej stronie są podkreślenia. Zrezygnowałam z robienia notatek, w przeciwnym razie nie potrafiłabym się cieszyć czytaniem. Tylko na marginesach zamieściłam komentarze: Bosz, co to za historia?! albo Czy to prawda?!

O Iwaszkiewiczzu napisano już wszystko, on o sobie napisał już wszystko. Otrzymał sto latek. Nie chcę wymyślać nic nowego ani powtarzać, co zostało już powie-

dziane. Nigdy nie zamierzałam być badaczką Jarosława Iwaszkiewicza. Chcę go po prostu czytać. Mam stosunek do niego zbyt osobisty, zbyt emocjonalny, żeby podciągać go pod jakiegokolwiek zjawisko. Dla mnie Iwaszkiewicz to po prostu przyjaciel (tego się właśnie obawiałam, takich określeń. Nie trudno o kicz, kiedy pisze się o kimś ważnym).

Iwaszkiewicz

był w naszym domu od zawsze.

Mam takie zdjęcie. Jeżdżę na rowerku, w tle mama na ławce z książką. Jesteśmy w Ogrodzie Różanym w Szczecinie, zwanym „Różanka”. Mama czyta „Sławę i chwałę”. Czyta Iwaszkiewicza na okragło. Z małymi przerwami na „Kwiaty polskie” Tuwima lub „Czarodziejską górę” Tomasza Manna.

Iwaszkiewiczowi podobałby się założony jeszcze przez Niemców w 1928 roku ogród, w którym piękna brunetka czyta go tak zachłannie, ale nazwy ulic i parku nie przypadłyby mu raczej do gustu. Różanka znajduje się na skraju Parku Kasprowicza pomiędzy ulicami Jasienicy, Zaleskiego i Moczyńskiego. Ten ostatni to chyba jedyny kompo-

zytor i muzyk, którego zakochany w muzyce Iwaszkiewicz osobiście nie znalazł (nie znajduję o Moczyńskim żadnej wzmianki w jego książkach) Kasprowicza nie lubił, za Jasienicą też nie przepadał, na rautach u ministra spraw zagranicznych – Augusta Zalewskiego czuł się obco.

Wojna

Co sprawia, że powracam do „Książki moich wspomnień”? Najbardziej mi bliskiej i ulubionej z wszystkich jego książek? Czego w niej szukam dwa lata od napaści Rosji na Ukrainę? Pocieszenia?

Jest w tym coś osobliwego. Iwaszkiewicz pisał ją na początku lat czterdziestych podczas II wojny światowej zamknięty w domu w Stawisku. Sam szukając w pisaniu ucieczki od wojny.

Pisarze przeczuwają jak nikt inny, co za moment nastąpi, przestrzegają przed wojną, piszą o niej wyprzedzając ją o kilka lat, kiedy wreszcie nadchodzi – milczą. Niektórzy, jak Stefan Zweig, odbierają sobie życie. Inni jak Iwaszkiewicz, wytrzymują, nie emigrują, po okresie paraliżu i braku mocy, zaczynają pisać o sprawach jak najbardziej od wojny odległych.

„Początek okupacji to na Stawisku czas rekonstrukcji z wielkiej klasyki, lektury powieści Stendhala, Dostojewskiego, Tolstoj, Conrada. Ich narracje mają pomóc neutralizować rozpacz (...) Po pierwszym szoku wojennym Iwaszkiewicz wraca do warsztatu pisarskiego” – pisze we wstępie do siódmego wydania Piotr Mitzner.

Tak więc pisze Iwaszkiewicz we „Wspomnieniach” o dzieciństwie, o młodości, o przyjaciółach, o podróżach, tylko o wojnie nie wspomina ani razu. Udało mu się od niej rzeczywiście uciec. Ja w ucieczce przed zbliżającą się wojną czytam książkę jego wspomnień.

Poeta

Zacznę jednak od początku. Na długo zanim odkryłam Iwaszkiewicza pisarza, odkryłam Iwaszkiewicza poetę. Stało się to dzięki „Słonecznikom”, powieści młodzieżowej Haliny Snopkiewicz. Czytały ją wszystkie powojenne pokolenia aż do lat dziewięćdziesiątych. Może dłużej? Ucieszyłabym się, gdyby tak było.

Bohaterka „Słoneczników”, Lilka, uwielbia Iwaszkiewicza poetę, zanim wyruszy w dorosłość, zakończy swoją opowieść jego wierszem. „Bo chcę iść coraz dalej – co-

raz głośniej śpiewać” brzmią ostatnie słowa wiersza Iwaszkiewicza na ostatniej stronie powieści Snopkiewicz.

Wiersz nosił tytuł „Piosenka z Pass Lueg” i zaczynał się od słów „nie kuś mnie pomywaczko zielonych talerzy”. Przez wiele tygodni zastanawiałam się, ile odwagi trzeba mieć i w ogóle kim trzeba być, żeby zacząć od takich słów wiersz. Powiesiłam sobie nad łóżkiem, zapisałam w pamiętniku, ale mottem na resztę życia podobnie jak u Lilki, miał się stać ostatni wers: trzeba iść dalej – coraz głośniej śpiewać.

Miałam jedenaście lat, kiedy podebrałam „Słoneczniki” starszej kuzynce i już nigdy jej ich nie oddałam. Czytałam je non stop na przemian z „Przeminęło z wiatrem”. Kiedy rok później wyjeżdżałam na stałe do Niemiec, mogłam zabrać ze sobą tylko kilka książek. Wśród nich oprócz dwóch wyżej wymienionych znalazły się wiersze Iwaszkiewicza.

Domino literackie

Dzięki Iwaszkiewiczowi poznałam Skamandrytów. Dzięki Skamandrytom Pawlikowską Jasnorzewską, dzięki Pawlikowskiej Jasnorzewskiej – Magdalenę Samozwaniec, dzięki Samozwaniec Kazimierę Ilakowiczównę, a że ta ostatnia w jakimś literackim szkicu wspomniała Kuncewiczową szło to dalej przez „Cudzoziemkę” do „Emancypantek” i do „Lalki” Prusa, do Wiosny Ludów i z powrotem przez stepy do Sienkiewicza. Za żelazną kurtyną w kolorowym Berlinie lat osiemdziesiątych czytałam „Dzienniki” Tyrmanda, który cierpiał na szarość lat pięćdziesiątych w Warszawie, w podzielonych murem Niemczech z dala od polskiej szkoły robiłam sobie czytelnicy rajd po literaturze polskiej nie mogąc zrozumieć narzekaiń w listach moich przyjaciół z Gdańska i Szczecina, że muszą czytać lektury obowiązkowe i uczyć się na pamięć wierszy.

Na szczęście wciąż nas ktoś odwiedzał i przywoził książki z Polski. Tak wreszcie w ręce wpadła mi „Książka moich wspomnień”. Jako młoda dziewczyna zaczynałam ją czytać gdzieś od strony setnej, nie interesowały mnie wtedy jeszcze obiady u Szymanowskich, męczyło strasznie odwiedzanie z Iwaszkiewiczem wszystkich wujów i ciotek na końcu świata. Mimo to książka się rozpadła, zagubiły pierwsze strony i w ogóle wyglądała na zaczytaną, ale dopiero od połowy. Pierwszy raz sumiennie od początku przeczytałam ją, kiedy przed laty podarował mi ją Bazyl Kerski ze słowami, że to jego ulubiona książka.

Historyczna kraina

Iwaszkiewicz urodził się w 1894 roku w Kalniku, wsi położonej w środkowej Ukrainie. Spoglądałam na mapę i myślę, że dalej już urodzić się chyba nie można. Nie urodził się we Lwowie czy Stanisławowie, a gdzieś w dalekiej wsi na Podolu, historycznej krainie.

Śmierć ojca, który pracował jako urzędnik w cukrowni, sprawia, że wyjeżdżają z matką do Warszawy, by znów wrócić do Ukrainy do Jelizawetgradu (dziś Kropywnycki) – w którym Iwaszkiewicz od 1904 roku mieszka i chodzi do gimnazjum. Kolejny etap to Kijów, gdzie kończy gimnazjum, zdaje maturę, dostaje się na studia prawnicze na Uniwersytecie Kijowskim, pięć lat studiuje także w kijowskim konserwatorium.

Iwaszkiewicz pisze, publikuje swoje pierwsze utwory, marzy o karierze pianisty i oczywiście pochłania książki. Jest biedny, nie ma czasu na odrabianie lekcji, ponieważ od najmłodszych lat uczy innych. Bez przerw jeździ po różnych majątkach rozsianych na Ukrainie jako guwerner. W książce padają niezliczone nazwy majątków i nazwisk: tego ucznia lubił, tych mniej, ci byli nieznosni, ci zdolni. Iwaszkiewicz tak dużo pracuje, tak wciąż jeździ za pracą, że nie sposób nadążyć za nim nawet palcem na mapie.

Do Warszawy dotrze w wieku 24 lat. Przed oczami staje mi jego kufer z okuciami, w którym były głównie książki, zeszyty i nuty. Można go zobaczyć w Stawisku.

„ty przyniosłeś ze swojej Ukrainy Barwy i zapach kwitnącego stepu, Słone powiewy od greckiego morza I biel, i złoto bizantyjskich zmierzchów”

Ale zanim przyszył teś wybuduje Stawisko dla Anny i Jarosława, ten ich ukochany dom („nie za bardzo udany architektonicznie, ale co ja bym bez tego domu zrobił”), przerzucam kolejną stronę; przyszył właściciel Stawiska jest jeszcze w Kijowie i dopiero za jakiś czas pozna Annę. Nienawidzi studiów prawniczych. Niczego z tych studiów nie pamięta lub nie chce pamiętać. Odbywa próby w teatrze u Wysockiej, za chwilę napisze ze swoim kuzynem Karolem Szymanowskim libretto do „Króla Rogera”. Przerwam na moment. Iwaszkiewicz żyje tak intensywnie, że muszę złapać oddech. Jest trzecia w nocy, rok 2024, gdzieś niedaleko miejsc opisanych przez Iwaszkiewicza w Kijowie znów spadły bomby.

Przyjaźnie

Kiedy czytałam portrety jego przyjaciół z liceum w Kijowie, Stefana Knabego, Mikołaja Niedźwieckiego, Jerzego Miklucho-Makłaja, Cesia Peszyńskiego i wielu innych, wyobrażałam sobie, że tym przyjaźniom w tekście poświęcę najwięcej uwagi. Ale teraz myślę, że żeby zrobić to dobrze, napisać by trzeba było o tym osobną książkę. Pewnie nawet taka już powstała (nie sprawdzam). Sam Iwaszkiewicz bez przerwy też czerpie garściami z tych przyjaźni w swoich utworach. Bo każdy z tych przyjaciół miał los, jaki można było mieć tylko w tych czasach. Dzięki i nieprawdopodobny.

Iwaszkiewicz posiada tę zdolność, że opisuje ten czas w Ukrainie tak, jakby się to wydarzyło wczoraj. Dopiero kiedy analizuję z Niedźwieckim „Portret Doriana Graya” Oscara Wilda dociera do mnie, że dla nich to niemal powieść współczesna, że kiedy Oscar Wilde umiera, Iwaszkiewicz ma raptem sześć lat. Przenoszę to na teraźniejszość i układam swoje proporcje; miałam tyle lat, kiedy umarł Elvis Presley.

Jeszcze wrócę do tych skrupulatnych zapisków Iwaszkiewicza. Cały czas myślę o tym, że musiał to wszystko zapisywać, zanim naprawdę zaczął pisać. Uświadamiam sobie właśnie, że snuje się ta opowieść w czasach, kiedy mój pradziadek Leon jest młodym mężczyzną. Nie wiedział, że niedługo zaginie w zawierusze rewolucyjnej i że urodzi mu się syn w Charkowie. Do dziś dnia nikt w naszej rodzinie nie wie, czy pradziadek Leon nazywał się Arciszewski czy Arcimowicz. Podczas gdy Iwaszkiewicz zna nazwiska i imiona wszystkich odwiedzających ich na Podolu kupców i kuzynów z piątej linii.

Byty

Czytając wspomnienia o jego niezwykłych przyjaciółach, niezwykłych nauczycielach i niezwykłej klasie w kijowskim liceum, nie opuszcza mnie myśl, że Iwaszkiewicz od urodzenia żył w światach równoległych. W Kalniku służący opowiadał mu ukraińskie baśnie przy piecu, pierwsze utwory Iwaszkiewicz pisał po rosyjsku, a w rodzinnym domu i u niezliczonych ciotek i wujków rozmawiano rzecz jasna po polsku. Ile znasz języków tyle razy jesteś człowiekiem, pisał Goethe. A przecież Iwaszkiewicz mówił jeszcze po niemiecku i francusku. Jest taki fragment w „Książce moich wspomnień” kiedy klóci się z jakąś hrabiną w jakimś dworku, kto z nich ma lepszy akcent w języku polskim.

I jest jeszcze taki moment, kiedy Iwaszkiewicz pyta po latach w liście do przyjaciela z lat szkolnych Niedźwieckiego, co ten teraz robi, co pisze. I sam zastanawia się, jak

opisać przyjacielowi to, co on robi. Musiałby mu chyba wszystko przetłumaczyć na rosyjski, Niedźwiecki nie zna przecież języka polskiego. Tymczasem Niedźwiecki przeżył wielki głód w Ukrainie, w Rosji rządzi Stalin. A Iwaszkiewicz po ślubie, nieco zamożniejszy i po sukcesach w Picadorze i jeszcze tego nie wie, ale za chwilę wyjedzie na placówkę do Kopenhagi. W końcu pisze Niedźwieckiemu, że zmarła mu ukochana matka. Dopowiem tylko, że losy Niedźwieckiego są tak samo niezwykle jak reszty przyjaciół Iwaszkiewicza. Nie znajdziemy ich w tych wspomnieniach, bo dopiero się wydarzą. Nam współczesnym ujawni je dopiero wikipedia.

Symbole

Mam przed oczami dokument z 2020 roku opowiadający o Ukraińcach w Kalinku zaangażowanych w zachowanie pamięci o Iwaszkiewicz. Szukali miasteczek i gmin w Polsce, które nawiązałyby z nimi kontakt, chcieli aby przyjeżdżała do nich młodzież z Polski. Wspominali, że co trzeci w ich okolicy mieszkaniec ma korzenie polskie i że dzieci w szkole uczą się języka polskiego. A szkoła, której pierwszym fundatorem był ojciec Iwaszkiewicza, nosi imię pisarza i jest dziś szkołą średnią. Co prawda cmentarz zajeżdżono jeszcze za czasów Związku Radzieckiego buldożerami, ale zachowała się jedna jedyna płyta z grobu. Czyja? Bolesława Iwaszkiewicza – ojca Jarosława. Czy może być coś bardziej symbolicznego? Pamiętam, że w książce zastanawiał się Iwaszkiewicz po latach, czy grób jego ojca, Bolesława, jeszcze istnieje, a zastanawiał się nad tym w 1941 roku.

A teraz tam znów wojna. Próbuje odnaleźć mapę walk. W regionie 250 km od Kijowa pełno czerwonych punktów i wykrzykników świadczących o tym, że gdzieś tam toczą się walki. Chcę się mylić, może źle odczytuję tę mapę?

Furtka

Odnajduję na YouTube nagrania Iwaszkiewicza dla Polskiego Radia z latach pięćdziesiątych i na trzy lata przed śmiercią z 1977 roku. Pisarz odwiedza Kalnik. Po domu, w którym mieszkali Iwaszkiewiczowie, pozostała tylko furtka. Iwaszkiewicz chce ją otworzyć, usłyszeć jej skrzyp, dźwięk, ostatni ślad sprzed siedemdziesięciu lat. W dokumencie z 2020 roku nie ma w Kalniku już i furtki, realizatorzy nie potrafili odnaleźć miejsca, gdzie dom stał.

W tym miejscu nawet ja pomijającą przez lata pierwsze strony wspomnień, rozumiem, że nie byłoby opowiadań powieści i poezji i nie byłoby Iwaszkiewicza, jakiego znamy, gdyby nie to dzieciństwo i młodość w Ukrainie. I furtka. A Czesław Miłosz pisze tak:

„ty przyniosłeś ze swojej Ukrainy Barwy i zapach kwitnącego stepu, Słone powiewy od greckiego morza I biel, i złoto bizantyjskich zmierzchów”.

Twarze

Lecz to tylko jedna z prawd o Iwaszkiewicz, bo jest jeszcze ten, który odżywał w Polsce. Najpełniej wtedy kiedy pisał o Sandomierzu, terenach pod Warszawą lub niedaleko Łodzi i te pełne wzruszenia chwile, że jest naprawę w Polsce i wszędzie wszyscy mówią po polsku.

Jak dobrze go rozumiem! Ile razy wracając do Polski z Niemiec nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe, że wszyscy wokół mó-

wią po polsku. Urodziłam się i mieszkałam w Gdańsku, potem w Szczecinie, w miastach po których Berlin nie wydawał mi się architektonicznie obcy. Natomiast Warszawa, Sandomierz czy Kraków zdumiewały mnie i zdumiewają do dzisiaj. Tu zawsze była Polska. To naprawdę wybudowali Polacy. Kiedy nikt nie widzi, dotykam jakiś murów, posadzek czy fasad. Ktoś kto nigdy z Polski nie wyjechał, nie jest w stanie tego pojąć.

Sekretarz

Są w tej książce jeszcze portrety Tuwima i Lechonia – niedościgniony kunszt Iwaszkiewiczowski. Powstały później, już po wojnie. Nie znalazłam już u niego nigdy po-tem opisów, które zawierałyby tyle czułości. Bo jakoś tak jest, że w tej książce najwięcej dzieje się pomiędzy zdaniami. Tam, gdzie autor najwięcej chce ukryć (wcale nie chodzi o utajnione miłości czy miłostki) uniknąć bezpośrednich stwierdzeń, na przykład o Wierzyńskim, tym bardziej wypływa na wierzch, co czuje, a nie zawsze czuje czule i nagle dociera do mnie, że on czegoś Wierzyńskiemu zazdrości. I będzie mu tego czegoś zazdrościć już zawsze. W innym miejscu im bardziej chce czytelnika przekonać, że nie zna się na polityce, że polityka go nie interesuje, że bycie sekretarzem marszałka Sejmu przed wojną niewiele dla niego znaczy, tym bardziej staje się jasne, że Iwaszkiewicz zna się na polityce, wie o polityce wszystko i tę politykę rozumie. I jakoś tak się dzieje, że dociera to do mnie w chwili, kiedy słyszę w tle marszałka Hołownię.

Człowiek

Są na końcu tej książki dwa rozdziały, które odstają od reszty i chociaż wydają się nie pasować, bo napisane są po latach i mają zadanie uzupełniające, wyziera z nich najbardziej nie pisarz, nie poeta a człowiek. Iwaszkiewicz nie miał hamulców w pisaniu. Pisanie go oczyszczało, wyzwalało, tylko tak można zrozumieć, że zdobył się na tyle szczerości. Opis, jak przejął majątek po samobójczej śmierci teścia, jest miejscami wstrząsający w swojej dosłowności.

Pisarz

Jest i wspaniały rozdział o pobycie Iwaszkiewicza w Heidelbergu, rozmowy z europejskimi intelektualistami, ale ten fragment jego wspomnień zasługuje na oddzielny tekst, może esej, może traktat. Napisa-no o pobycie Iwaszkiewicza w Heidelbergu wiele, on sam napisał jeszcze więcej, ale trzeba ten akapit w 2024 roku napisać na nowo. Tymczasem czuję na plecach ciarki. Ciarki historii. Chciałabym znaleźć na to lepsze, mądrzejsze słowa. Minęło sto lat od tych spotkań, a jakby odbywały się wczoraj. Z zapisków Iwaszkiewicza wyląwia się Zachód, który próbuje zrozumieć wschodnią Europę, ale nie widzi oddzielnych państw, widzi wciąż Rosję. W Heidelbergu zbiera się cały kwiat zachodu, paru nielicznych tylko z pozoru nic nieznaczących gości ze wschodu. Tworzą unię, unię porozumienia. Nawet po latach zwodzi spokój i kultura, kurtuazja, z jaką prowadzone są ówczesne rozmowy a tymczasem to tylko cisza przed burzą, cisza zwiastująca wojnę.

Iwaszkiewicz zdążył po Heidelbergu jeszcze napisać „Czerwone Tarcze”. Napisał, co przezuwał. Napisał, bo jest pisarzem, który pojechał i zobaczył i zrozumiał. Jak pisał w poemacie „Mapa pogody”

„Posłuchaj słowa mojego prostego
Bo nikt już nikt inny tak tobie nie powie” ●

Adam Michnik poleca Jacques Doriot. Od Stalina do Hitlera

BOLSZEWICKI MNIO
W MUNDURZE SS

Jolanta Kawa

W pogodny poranek 22 lutego 1945 r. koło Mengen w Wirtembergii dwa samoloty szturmowe, najpewniej brytyjskie, ostrzelały mercedesa z nazistowską flagą. Pasażer w mundurze Waffen-SS zginął na miejscu.

Był nim przywódca skrajnie prawicowej Francuskiej Partii Ludowej (PPF), jeden z założycieli kolaboracyjnego Legionu Ochotników Francuskich przeciw Bolszewizmowi (LVF), walczącego pod dowództwem Wehrmachtu – Jacques Doriot. Człowiek, który zapisał się na najciemniejszych stronach historii XX-wiecznej Francji.

Burzliwe, pełne ideologicznych zwrotów życie Doriota zostało nagle przerwane, gdy jechał z zamku Sigmaringen na spotkanie z Marcellem Déatem, osobistym wrogiem z tego samego obozu kolaborantów. Przebywali tam Pétain i inni członkowie rządu Vichy, ewakuowani przez władze niemieckie 20 sierpnia 1944 r. Tam też do końca kwietnia 1945 r. działał marionetkowy, „emigracyjny” rząd Francji.

W obliczu nadchodzącej klęski i naporu wojsk alianckich Doriot i inni kolaboranci ratowali się ucieczką do Niemiec lub Szwajcarii, gdzie – w obawie przed rychłym przejęciem władzy przez komunistów i de Gaulle’a – nadal śnili obląkańczy sen o zwycięstwie hitlerowskich Niemiec.

Doriot wierzył w swoją przywódczą gwiazdę. Widział się już w roli gauleitera Francji. Dwoił się i troił, by pozyskać dla swoich planów hitlerowskie władze.

Uzyskał od Niemców zgodę na uruchomienie stacji radiowej – próbował naśladować londyńskie radio Wolnej Francji. Spotkał się z Hitlerem, gdy Armia Czerwona była 80 km od jego kwatery w Kętrzynie. Zabiegał o gwarancję, że Lotaryngia pozostanie francuska, gdy Wehrmacht wróci do Francji.

Próbował organizować ruch oporu przeciwko „judeo-bolszewickiej okupacji”. W tym celu 6 stycznia 1945 r. stworzył „Komitet Wyzwolenia Francji”. Cały obóz kolaborantów stanął za nim. Oponował tylko Déat. W Mengen to właśnie jego miał przekonać i przypieczętować pojednanie kolaborantów pod jego egidą. Ale zginął.

Doriot, wyszkolony w Moskwie na początku lat 20., w wieku 25 lat komunistyczny poseł, w wieku 32 burmistrz podparyskiego Saint-Denis, wydany z partii komunistycznej w 1934 r. Dwa lata później założył Francuską Partię Ludową, a w 1940 r., po upadku Francji, zdecydowanie opowiedział się za Vichy i jej antysemickimi ustawami, wkładając niemiecki mundur.

Był jednym z tych, którzy posunęli się najdalej w aktywnej kolaboracji. W 1941 r., po utworzeniu Legionu Ochotników, złożył przysięgę Hitlerowi.

Dlaczego żarliwy komunista stał się fałszywą i kolaborantem?

Dziecko proletariatu, jednak urodzony w 1898 r. w rodzinie robotniczej w regionie paryskim, w wieku 15 lat opuścił dom rodzinny i rozpoczął pracę w fabryce. Kiedy wybuchła Wielka Wojna, pracował 11 godzin dziennie jako ślusarz w przemysłowym bastionie regionu paryskiego – Saint-Denis. W 1917 r. został zmobilizowany i wysłany na front.

Wojna była dlań prawdziwym chrztem grozy, z której – w poczuciu buntu i rozpacz – zrodziło się zaangażowanie polityczne. Po powrocie z frontu zastał kraj w głębokiej traumie i poprzysiął sobie – tak jak całe jego pokolenie – że ta absurdałna rzeź nigdy już nie może się powtórzyć. Odznaczony Krzyżem Wojennym za odwagę, Doriot wrócił do pracy w fabryce w Saint-Denis odmieniony. Jak wielu robotników, zaangażował się w politykę po stronie komunistów.

Aktywistów z młodzieżówki komunistycznej, do której wstąpił, fascynował triumf rewolucji październikowej. Rewo-

lucyjna Rosja jawiła się im jako raj, ziemia obiecana, gdzie proletariat ma prawdziwą władzę.

W latach 1921-23 Doriot reprezentował młodych francuskich komunistów na kongresach Międzynarodówki Młodzieży Komunistycznej w Moskwie. Spędził tam dwa lata, przeplatane dwoma krótkimi powrotami do Francji i podróżą do Niemiec. Nauczył się niemieckiego i podstaw rosyjskiego, pilnie uczęszczał do szkół propagandystów, poświęcał wolny czas na studiowanie komunistycznego katechizmu. Przemawiał na zebraniach partyjnych, podróżował po Rosji. „Prawdziwie odurzony i zaślepiony komunizmem” – pisał o nim wielbiciel i późniejszy członek jego partii, Drieu la Rochelle (pisarz, apologeta nazizmu; w 1945 r. popełnił samobójstwo).

Zbrodnie bolszewickie nie robiły wrażenia na Doriocie. Nie zająknął się nawet, gdy dławiono antybolszewicki bunt kronsztadzkiej marynarki w 1921 r. Przyjął to jako konieczność dziejową.

Absolutne posłuszeństwo Doriota wzbudziło zaufanie sowieckich przywódców i zapewniło mu szybki awans. Maurice Laporte, założyciel i pierwszy sekretarz młodzieżówki komunistycznej, wspominał, że gdy w Moskwie w 1923 r. namawiał francuskich komunistów, by pomogli mu wyjaśnić sprawę zaginięcia Gina De Marchiego, włoskiego delegata do komitetu wykonawczego międzynarodówki mło-

Przy łóżku trzymał portret Lenina, złożył przysięgę Hitlerowi, kochał siebie

W 1924 r. Doriot został posłem FPK. Choć był wśród posłów najmłodszy, szybko stał się enfant terrible parlamentu. Agresywny i bezczelny, prowokował oponentów. Sprawnie posługiwał się dowcipem i miał talent do riposty. Nikt i nic nie wytrącało go z równowagi: przemawiał pośród wyzwisk i obelg. Nazwany w czasie obrad „parszywym Ruskiem”, dumnie ripostował: „Jestem żołnierzem Armii Czerwonej i jestem z tego dumny. Jeśli będzie trzeba chwycić za broń dla rewolucji, zrobię to”.

Kipiący gniewem na ulicach podczas starć ze skrajną prawicą i w parlamencie, adorowany przez komunistycznych działaczy, młody poseł coraz mniej ukrywał ambicje – chciał grać pierwsze skrzypce w FPK.

Ewoluował w rytm zmian w Moskwie: wielbił Lenina i Trockiego. Ale gdy gwiazda Trockiego przygasła, stanął po stronie Zinowiewa, potem porzucił go dla Stalina, który zaszczycił Doriota zaproszeniem na prywatną kolację na Kremlu.

Jednak przychylność Stalina nie wystarczyła, by Doriot stanął na czele FPK. Stalin, niezainteresowany mianowaniem na to stanowisko silnej osobowości, wołał ułatwić awans bardziej uległemu przywódcy – Maurice’owi Thorezowi w 1930 r. Na domiar tego od 1929 r. Doriot coraz mniej powściągliwie wyrażał krytyczny stosunek do narzuconej przez Moskwę taktyki „klasa przeciwko klasie”, wykluczającej współpracę z socjalistami, których nazwała „socjalfaszystami”.

Prezentując swoje nieprawowierne stanowisko na kongresie partii w 1929 r., miał nadzieję zjednoczyć wokół siebie partyjnych dysydentów. Wkrótce się rozczarował: FPK nie tolerowała odszczepieńców.

int-Denis utworzył „Komitet czujności antyfaszystowskiej”, skupiający socjalistów, komunistów i członków komunistycznych związków zawodowych.

Stało się jasne, że odtąd wrogiem Doriota i jego sprzymierzeńców będą w równym stopniu komuniści, jak i faszysti. – Jeśli spotkam w naszej organizacji kogoś, kto nie jest całkowicie zaangażowany we wspólne działanie – powiedział zwolennikom Komitetu – będę z nim walczył i wezwę klasę robotniczą, by go zmiażdżyć.

Łamiąc zasady i instrukcje partii, która odrzucała jakiekolwiek porozumienie z socjalistami, Doriot wystawił się na ostrzał. 6 kwietnia 1934 r. potępił go komunistyczny dziennik „L’Humanité”. 27 czerwca został wykluczony z FPK.

Ruch w stronę jedności socjalistów i komunistów był jednak nie do powstrzymania wobec narastania faszyzmu. W lipcu Stalin zmienił front i dał partii komunistycznej zgodę na sojusz z socjalistami. Miast triumfu Doriota, który o ten sojusz walczył, nastąpiła jego polityczna śmierć. Jak często powtarzał – miał rację zbyt wcześnie.

Doriot nadal uważał się za lewicowca. Jako burmistrz Saint-Denis świętował rocznicę rewolucji październikowej i salutował z podniesioną pięścią. Ale – jak pisał historyk Philippe Burrin – „wyglądał coraz bardziej jak wydmuszka dawnego Doriota. Z łatwością posługiwał się dawnym językiem, lecz nie było już w tym, co mówił, ani wiary, ani doktryny”.

Przyjęta przez FPK strategia jedności lewicy utorowała drogę dla lewicowego Frontu Ludowego (1936), jednocześnie pozabawiła Doriota szans na skonsolidowanie

by przyłączyć się do faszyzmu, była zemsta na francuskich komunistach i Stalinie.

W eseju programowym Francuskiej Partii Ludowej, opublikowanym w 1936 r. pod znamennym tytułem „Francja nie będzie krajem niewolników”, Doriot pisał bez ogródek: „Tych, którzy wierzą Thorezowi, czeka przykre rozczarowanie. Słucha wyłącznie rozkazów Stalina”. Rozkazy te to „perfidna gra, by popchnąć Francję do wojny z Niemcami, i to za wszelką cenę”. I dalej: komunistą francuski „jest tylko posłusznym wykonawcą, a czasem entuzjastą polityki wyznaczanej przez kierownictwo Kominternu”. Zatem „dla Francuza pragnącego spokoju, wolności i chleba nie ma innego wyjścia jak zagradzać Sowietom drogę do Francji”.

Ascetyczny, bolszewicki mnich przemieniał się coraz bardziej w cynicznego sybarytę: miast wieczornych, ideologicznych rozmów z towarzyszami Doriot coraz częściej spędzał czas w kabaretach Montmartre’u. Upodobał sobie dobre wino, wykwintne posiłki i długie, nocne imprezy. Przytył 40 kg i upodobał się do notabli III Republiki.

Doriot odrzucał wojnę, kapitalistyczną anarchię, dyktaturę, organizację pracodawców przemysłu stalowego, moskiewską dyplomację, parlamentaryzm i duże, opiniotwórcze gazety.

Francuska Partia Ludowa postawiła sobie za cel zjednoczenie wszystkich Francuzów, toteż odrzucała tradycyjne linie podziału lewica-prawica i stare partie, które zawiodły.

„Przyznaję, że rozłam Francji na prawicę i lewicę mało mnie wzrusza. Znam kapitalistów lewicowych o sercu niewzruszonym. Znam młodych z prawicy tak rewolucyjnych jak najbardziej radykalni lewicow-

„Mussolini stworzył mocne państwo i przeprowadził reformy socjalne i ekonomiczne. Co za wstyd dla naszych polityków, że potrafił ich ubiec i wprowadził 40-godzinny tydzień pracy!”

Doriot został zmuszony do publicznej samokrytyki. Był przybity.

Henri Barbé, były sekretarz generalny FPK, tak po latach pisał o Doriocie: „Fanatyczny bolszewicki mnich przemienił się wówczas w sceptycznego, cynicznego polityka, który kpil ze wszystkiego, co czcił kilka lat wcześniej”. Ten cynizm wyrażał gorczy i rozczarowanie.

Górę w FPK wzięły sprawy wewnętrzpartyjne, a na czoło wysunęli się przywódcy o nastawieniu biurokratycznym. Najbardziej prominentnym był Thorez. Nieubłagany wobec wrogów i służący wobec Moskwy, był wzorem biurokraty, którego Moskwa mogła dowolnie lepić. Sprzeciw Doriota wobec rosnącego biurokratyzmu partii przerodził się w ostrą rywalizację między dwoma liderami.

Wyniki wyborów w 1932 r. potwierdziły prognozy Doriota – partia komunistyczna zdobyła zaledwie 8 proc. głosów i dziesięć mandatów. Doriot był jedynym komunistą wybranym w pierwszej turze!

Między kongresem w 1929 r. a usunięciem z partii w 1934 Doriot stawał się coraz bardziej obcym elementem w biurze politycznym. Niezdyscyplinowany, nieobecny, nadal cieszył się popularnością wśród członków i wyborców.

Czara gorczyczy przelała się w lutym 1934 r., gdy w Paryżu wybuchła fala zamieszek i walk ulicznych między nacjonalistycznymi i faszystującymi grupami a organizacjami lewicowymi. Doriot postanowił przejąć inicjatywę. W swoim bastionie Sa-

dysydenckiej frakcji w FPK, na której czele mógłby stanąć.

Chcąc stawić czoła rosnącemu w siłę Frontowi Ludowemu, przedstawiciele nacjonalistycznej prawicy, rozczarowani działaniem istniejących faszyzujących lig i partii, szukali nowego przywódcy i ruchu. „Doriot nas ciekawił – pisał o nim w 1941 r. Robert Brasillach [poeta, prozaik; kolaborant, po II wojnie skazany na karę śmierci]. – Wiedzieliśmy, że ten proletariusz, były komunistą i agitator, stopniowo stawał się zwolennikiem narodowej sprawy”. Przekonać do niej robotników mógł tylko on. Odtąd Doriot miał niewielką drogę do pokonania, aby znaleźć się na czele partii faszystowskiej, którą założył w czerwcu 1936 r.

Francuska Partia Ludowa przyciągnęła wielu byłych członków partii komunistycznej, nacjonalistycznej Action Française czy przedstawicieli klasy średniej przerażonych zwycięstwem Frontu Ludowego. Od początku była to partia prawicowa, antyparlamentarna, antyliberalna, w opozycji do Frontu i lewicowego rządu Léona Bluma. Finansowali ją francuscy pracodawcy, którzy widzieli w Doriocie jedynego lidera zdolnego uratować Francję przed bolszewickim naporem. Byli wśród nich m.in. prawnicy przemysłowcy i finansisci oraz żydowscy bankierzy – Rothschild i Lazard.

Historia partii Doriota, aż po aktywną współpracę z hitlerowcami, rozwijała się zgodnie z jedną logiką – obsesji antykomunistycznej. Potwierdza to Burrin, twierdząc, że „jedyną nieodpartą motywacją” Doriota,

cy” – tłumaczył Doriot. Apelowal o polityczną i duchową odnowę narodu, o pokój i bezpieczeństwo międzynarodowe. „Kapitałowi – entuzjazmował się podczas zebrania założycielskiego – powiemy: zajmij swoje miejsce, ale nie kieruj się wyłącznie własnym interesem. Ludziom zagwarantujemy ich prawa, nakładając im dyscyplinę w pracy na rzecz państwa”.

Według Burrina Doriot „ubierał w język skrajnej lewicy koncepcje bliskie prawicy, jeśli nie skrajnej prawicy”. Przez kilka lat pozory nadal mamiły. „W oczach opinii publicznej należał do obozu lewicy. On sam nadal się z nim identyfikował. Był związany z organizacjami antyfaszystowskimi w regionie paryskim”.

W cytowanym eseju pobrzmiewa już wyraźny zachwyt Mussolinim i Hitlerem: „Mussolini pod przykrywką ideałów narodowych zdobył władzę, stworzył mocne państwo i przeprowadził reformy socjalne i ekonomiczne. Co za wstyd dla naszych polityków, że potrafił ich ubiec i wprowadził 40-godzinny tydzień pracy! Hitler wygrał grę przeciw komunistom w Niemczech, odwołując się do uczuć narodowych ludu”.

Tym samym wskazywał drogę nowej partii: „Italia jest nacjonalistyczna. Hitler pozyskał całe Niemcy dla mistycznego nazizmu”. I jeszcze: „Internacjonalizm już nie istnieje. Walka na rzecz rozwoju państwa nieprowadzona w narodowych barwach to oszustwo”.

Doriot został tym, kim zawsze chciał być – szefem. Wyrzekł się komunizmu i od-

• Jacques Doriot, tutaj w mundurze Wehrmachtu, z mieszkańcami zbombardowanego miasta Saint-Lô, lipiec 1944 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

dych komunistów, Doriot odpowiedział: „Prawdziwy komunista musi zabić w sobie jakąkolwiek wrażliwość”.

We wrześniu 1921 r. w artykule „Wrażenia z Rosji”, opublikowanym w komunistycznym tygodniku „L’Émancipation”, opisywał trudności stojące przed nowym sowieckim reżimem, wzywając francuskich robotników do „ratowania rewolucji”. Oplaciło się: po powrocie z Moskwy, w maju 1923 r., został sekretarzem generalnym francuskiej młodzieżówki komunistycznej, a w styczniu 1925 wszedł do biura politycznego Francuskiej Partii Komunistycznej (FPK).

Kierował kampanią młodzieżówki przeciwko okupacji Zagłębia Ruhry, nawołując francuskich żołnierzy do dezercji. Za co, między grudniem 1923 a majem 1924 r., otrzymał sześć wyroków – łącznie 34 miesiące więzienia i grzywna.

Ukrywał się przed policją, posługiwał się pseudonimami. Rewolucja była jego credo. Jego zawodem i rodziną. W maju 1923 r. ostatecznie wrócił do Paryża jako zawodowy agitator, wyszkolony do wykonywania rozkazów Moskwy. Pod jego przywództwem młodzieżówka stała się siłą napędową bolszewizacji FPK.

taż z gorliwością typową dla neofickiego konwertyty będzie z nim walczył.

O ile w polityce zagranicznej wytaczał ciężkie działa przeciwko Stalinowi i ZSRR, o tyle z pobłażliwością podchodził do nazistowskiej i faszystowskiej dyktatury. Podobój Etiopii przez Mussoliniego nie był „czystą i prostą operacją faszyzmu, ale rozszerzeniem wielkiego płodnego kraju, którego ziemia nie mogła już wyżywić”. Pieniądze z faszystowskich Włoch płynęły do kasy PPF szerokim strumieniem.

Jeśli chodzi o Niemcy, które w 1936 r. zajęły Nadrenię, naruszając postanowienia traktatu wersalskiego, to „nie miały one zamiaru ekspansji”, twierdził pacyfista Doriot. Na pierwszym kongresie PPF w listopadzie 1936 r, który wciąż wzywał do pokoju z Niemcami, partia odmówiła utworzenia organizacji paramilitarnej, by nie upodobnić się do faszystowskich lig. Jednak jej rytuały i symbolika silnie inspirowały się ruchami faszystowskimi: salut podobny do salut rzymskiego, okrzyk „Naprzód, Jacques Doriot”, odznaka, flaga, hymn, przysięga lojalności.

Po przywróceniu obowiązkowej służby wojskowej w Niemczech w marcu 1935 r. Doriot apelował, by rozmawiać z Hitlerem. „Czy nam się to podoba, czy nie, traktat wersalski jest prawie martwy”. Sowiecką politykę izolacji Niemiec nazywał „szaleństwem”, bo mogła tylko wzmocnić „ducha wojny”. Zachęcał do przyjęcia paktu o nieagresji zaproponowanego przez Hitlera.

Jego kampania na rzecz pokoju stanowiła punkt zwrotny. Wykazała porażkę prób zbudowania „jedności proletariatu”, zapoczątkowała otwartą walkę z FPK, położyła kres wojowniczemu antyfaszyzmowi i była pomostem do budowania nowej siły daleko wykraczającej poza robotników.

Gdy w 1937 r. jego wybór na burmistrza Saint-Denis został unieważniony, na znak protestu Doriot złożył mandat posła. Z jednej strony coraz bardziej się radykalizował, z drugiej jego linia polityczna była coraz trudniejsza do zrozumienia. Najpierw poparł układ monachijski, co przyczyniło się do odejścia z PPF wielu intelektualistów. Później, w marcu 1939 r., potępił inwazję na Czechosłowację i wyraził gotowość walki z Niemcami.

Po porażce Frontu Ludowego i dymisji Bluma w grudniu 1938 r. partia Doriota słabła: możni darczyńcy nie mieli już powodu, by ją nadal wspierać w walce z „czerwoną zarazą”. Odtąd zaczęła zapuszczać się na łowiska skrajnej prawicy. A w jej dyskursie antysemityzm i ksenofobia zagościły na dobre. Na kongresie PPF w 1938 r. Doriot chwalił rewolucję Hitlera za to, że przywróciła Niemcom prestiż, apelował o odrodzenie silnego chłopstwa, potępił spadek liczby urodzeń we Francji.

W pierwszych dwóch latach istnienia PPF Doriot nie sięgał po antysemickie tezy – zapewne z powodów taktycznych. Nie chciał stracić finansowania banków, których właściciele byli Żydami – nie protestował jednak, gdy inni członkowie partii otwarcie głosili antysemityzm. I tak np. intelektualista i członek PPF Bertrand de Jouvenel, nie używając jeszcze słowa „Żyd”, tak wypowiadał się o lewicowym premierze Francji w 1936 r.: „Blum jest wrogiem Francji. Trzeba go skopać i wyrzucić”.

Jednak już dwa lata później Doriot, tym razem bez ogródek, zaprzęgał antysemityzm do walki politycznej: „Bolszewicki Front Ludowy pozbawił Francuzów krwi, rasy i cnót”, a obecność Bluma w rządzie „ponownie otwierała kwestię żydowską”.

Represyjne ustawy antyżydowskie wprowadzone przez reżim Vichy w październiku 1940 i w 1941 r. nie zadowalały go: obozy koncentracyjne mogły, jego zdaniem, „oczyścić” Francję z Żydów.

Rok później deklarował otwarcie: „ustawy antyżydowskie, obozy koncentracyjne, polityka rasowa, oto trzy filary naszej polityki wobec Żydów”. I dodawał: „Chcę, by nasza rasa znów stała się czystą rasą fran-

cuską. W związku z tym zabraniam Żydom żenić się z Francuzkami. Uważam, że trzeba ich wypędzić: jest zbyt wielu żydowskich lekarzy, prawników, studentów, zbyt wielu handlarzy na czarnym rynku, żydowskich sklepów spożywczych, itp.”.

Tuż po upadku Francji w 1940 r. mnożyły się akty antysemickie działaczy PPF w całej Francji: ataki na żydowskie sklepy, wybijanie szyb, groźby, przemoc fizyczna oraz rozwieszanie plakatów głoszących: „Śmierć Żydom” lub „Precz z Żydami”.

Chociaż Doriot coraz bardziej sympatyzował z Hitlerem, w 1939 r. poszedł na wojnę, aby walczyć nie przeciwko nazizmowi, ale – jak mówił – jako dobry francuski nacjonalista przeciwko Niemcom. W 1940 r. wrócił odznaczony Krzyżem Wojennym. Bez wahania poparł marszałka Pétaina.

Z zapalem zabiegał o stanowisko w rządzie Vichy, ale Pétain nigdy mu nie wybaczył jego antymilitarnej agitacji w latach 20. i trzymał go na dystans. Lojalność wobec Pétaina i poparcie dla jego rewolucji narodowej miały jednak charakter taktyczny: Doriot widział w niej potencjał, który mógł wykorzystać dla swoich celów.

Rewolucja, o jaką mu chodziło, była równie prosta, co brutalna: chciał ukarać osoby odpowiedzialnych za wojnę, czystek politycznych i administracyjnych, wykluczenia Żydów, ścigania masonów, komunistów i gaullistów.

Sfrustrowany ślimaczącą się rewolucją narodową Doriot zwrócił się do SS i Gestapo, uznając je za „najbardziej rewolucyjne” niemieckie formacje, i starał się wykazać: wykorzystywał PPF jako sieć szpiegowską dla Gestapo, denuncjował członków ruchu oporu w zamian za gotówkę.

Coraz bardziej tył, uzależniony od nocnego życia, kochanek i domów publicznych. Nie szczędził wysiłków, aby mieć władzę, która zawsze mu umykała: spiskował przeciwko Lavalowi, premierowi rządu Vichy, tępił Żydów, utworzył legion ochotników francuskich do walki z bolszewizmem i w 1941 r. w mundurze Wehrmachtu wyruszył na jego czele na front wschodni. Gdy zaś klęska nazistowskich Niemiec stawała się nieuchronna, do samego końca intrygował, by wyrwać strzępki władzy kolaborantom, którzy schronili się w Sigmaringen. Na próżno. Były komunista, który marzył o byciu faszystowskim przywódcą, zginął podczas ataku aliantów.

Dlaczego żarliwy komunista Doriot zmienił front i stał się faszystą, który namiętnie niszczył to, co wcześniej wysławiał?

Doriot przystąpił do faszyzmu nie tyle z uwagi na atrakcyjność nowych idei, lecz by załatwić stare porachunki: z Moskwą, FPK i jej liderami. Liczyła się dlań siła organizacji i jej zdolność do zadawania ciosów komunistom.

W tym samym duchu, po napaści Niemiec na ZSRR, wyrzekł się pacyfizmu – uznał tę wojnę za „sympatyczną” i z nieskrywaną radością pisał w nacjonalistycz-

**Francuska Partia
Ludowa od początku
była prawicowa,
antyparlamentarna,
antyliberalna. Przyciągnęła
wielu byłych komunistów,
przedstawicieli klasy
średniej przerażonych
zwycięstwem Frontu
Ludowego, a finansowali
ją francuscy pracodawcy
i finansiści oraz żydowscy
bankierzy**



***Zbigniew Dmitroca** - ur. w 1962 r., poeta, m.in. autor wierszy dla dzieci, bajkopisarz, satyryk. Tłumacz poezji rosyjskiej: utworów Błoka, Jesienina, Cwietajewej, Mandelsztama, Achmatowej, Brodskiego czy Wysockiego.

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Dmitroca*

Wyznanie wiary

*Wierzę w wenę
która przychodzi
niespodziewanie
nie wiadomo skąd
i kojarzy niewiadome
z nieznanym*

*Wierzę w tchnienie
które nicości
nadaje kształt
wiersza
i niże słowa
na niewidzialną
nić sensu*

*Sensie nasz
któryś jest
święć się
imię twoje*

*Istnienia swego
powszedniego
daj nam wyraz
teraz i na wieki*

17 CZERWCA 2021

Wiersz pochodzi z nowego, opublikowanego ostatnio tomu **Zbigniewa Dmitrocy „Deklaracja niepodległości”**, Pewne Wydawnictwo, Kielce 2024



nym dzienniku „Le Cri du peuple” w maju 1942 r.: „Będzie przyjemnie usłyszeć stukot moich żołnierskich butów na moskiewskim bruku”.

Z kolei jego wojujący antykomunizm nie wywodził się li tylko ze sprzeciwu wobec komunistycznej doktryny. Wiernie służył komunistom, dopóki wierzył, że moskiewscy przywódcy wywyższą go do rangi szefa FPK.

Doriot wierzył przede wszystkim w swoją gwiazdę. Pozycja „drugiego” go nie zadowalała. Długo po usunięciu z FPK raczył tłumy prawicowych ekstremistów opowieściami o tym, jak niesprawiedliwie go potraktowano. Narcystyczną ranę leczył, tworząc nową partię i spełniając w ten sposób sen o przywództwie.

Poglądy Doriota ewoluowały wraz ze zmieniającym się wiatrem historii. Zawsze pod dyktando jego wielkich ambicji, upokorzeń, frustracji i pragnienia zemsty. Próżno poszukiwać spójności w jego karierze, pełnej zwrotów, upadków i rozczarowań. Pułapką byłaby próba umieszczenia jego konwersji w sferze czystych idei.

Jak bowiem zrozumieć jego sprzeczną z marksistowskimi poglądami postawę wobec religii i Kościoła: wziął ślub kościelny, jego dwie córki otrzymały katolickie wychowanie, przyjaźnił się z lokalnym wikarym, a w okresie Vichy gloryfikował Kościół katolicki jako duchowy filar Francji.

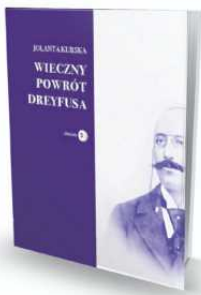
Dlaczego jako przywódca faszystowskiej partii nadal trzymał przy łóżku portret Lenina? Czy Lenin był takim ojcem, jakiego chciał mieć? Prawdopodobnie sam Doriot nie znalazł odpowiedzi na te pytania.

W dniu pogrzebu Doriota 25 lutego 1945 r. Himmler w telegramie do rodziny wysławiał jego zasługi: „Jego niestrudzona praca na rzecz zbliżenia francusko-niemieckiego i nowej Europy nie zostanie zapomniana”.

Podobnie myślał sam „Wielki Jacques” – jak go nazywano. Mówił jeszcze kilka tygodni przed śmiercią: „Najwyższą nagrodą dla nas będzie wdzięczność przyszłych pokoleń za naszą pracę. Gdy nasze dzieci będą z szacunkiem osądzać pracę ojców nowej Francji i nowej Europy, chciałbym, aby moje córki mogły z dumą powiedzieć: »mój ojciec był jednym z nich«”. Ale one wstydliwie milczały o ojcu.

Po wyzwoleniu Paryża w sierpniu 1944 r. tłum splądrował siedzibę partii Doriota. W ten sposób wyzwolona Francja de Gaulle’a, Bluma, Thoreza wyrażała swoją nienawiść do zdrajcy. Chciała o nim zapomnieć, ale wiadomo, że nie można pozbywać się złych duchów, zamykając je w szafie. Trzeba im spojrzeć prosto w oczy, bez względu na cenę. ●

Tekst z przygotowywanej do druku książki Jolanty Kawy m.in. o postawach francuskich elit wobec faszyzmu (tytuł i skróty – „Wyborcza”). 30 marca 2024 r. opublikowaliśmy fragment jej poprzedniej książki na podobne tematy **„Wieczny powrót Dreyfusa”**, wydana pod nazwiskiem Jolanta Kurska (Dialog, Warszawa 2022). Dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl



Więcej ► Wyborcza.pl/magazyn

POLSKA, LABORATORIUM WIARY I NIEWIARY

Pomiędzy wiarą prawdziwą a jej imitacją jest ta sama różnica, co pomiędzy lekarstwem a trucizną

Tomasz Dostatni OP

Wiara i niewiara w życiu Polaków – dziś. I galopująca sekularyzacja. Oto mój temat. Zajmuję się nim od ponad 40 lat, od czasu, gdy w szkole średniej, w duszpasterstwie dominikańskim prowadzonym w Poznaniu przez o. Jana Górę, czytaliśmy teksty Andrzeja Kijowskiego z książki „Tropy”.

Kijowski był pisarzem i krytykiem literackim z pokolenia tych, którzy wyszli z II wojny światowej w świat komunizmu jako dojrzewający młodzi ludzie. Naznaczeni wojną, z jej destrukcją, wchodzili w świat lewicowych idei, które wszystko tłumaczyły i otwierają świetlaną przyszłość.

Kijowski należał do słynnej krakowskiej szkoły krytyki literackiej, uczniów Kazimierza Wyki. To Jan Błoński (mój nauczyciel), Ludwik Flaszen, Konstanty Puzyna i właśnie on. Dziś jego książki już nie są czytane poza wąskim gronem polonistów, lecz jego publicystyka wciąż żyje.

To tam znajdziemy dwa ważne dla mnie eseje, nie boję się powiedzieć: jedne z najważniejszych i najpiękniejszych opisujących chrześcijańskie doświadczenie wiary polskiego inteligenta. To „Wiara i niewiara w życiu Polaków” i „Dopiski do »Wyznań« św. Augustyna”.

Ks. Józef Tischner, we wstępie do „Tropów”, cytuje Kijowskiego, opisując tę jego drogę po wojnie i później.

„Najpierw się tym (Kościołem) zachwyciłem, a potem zgorszyłem. Najpierw Kościół wydał mi się właśnie wielki, potem właśnie zobaczyłem znajmiej jego śmierci. Najpierw schowałem się w Kościele przed historią i życiem, potem zbuntowałem się przeciw Kościołowi w imię historii i życia, i powiedziałem sobie: Bóg jest poza Kościołem, przed nami, w zmienności czasu, w rewolucjach ludzkiej społeczności, w szukaniu, w eksperymentach, w przygodzie ludzkiej, w nieznanym jeszcze zdarzeniach. I opuściłem Kościół w przekonaniu, że go zostawiam za sobą jak stary dom, jak rodzinne miasto, które zachowuję w serdecznej pamięci, ale w którym żyć dłużej nie potrafię”.

Tischner analizuje powrót po latach Kijowskiego do wiary, do Kościoła, mówiąc o doświadczeniu wypalenia lewicowych ideałów, o wpływie właśnie wybranego na papieża kard. Karola Wojtyły.

Tischner powie o tym doświadczeniu Kijowskiego: „Po niewielu latach będzie świadkiem powrotu do Kościoła całych rzesz polskiej inteligencji – jak kiedyś odchodziła, tak teraz wraca. Nie ufa tym po-

wrotom. Wydają mu się zbyt łatwe. Zbyt mało kosztują.

Nie, nie zamierza nikogo przepędzać – wie, że za Chrystusem szli rozmaici ludzie, ale wie też, że ci, na których dokonywał cudów, stali się potem jego apostołami. Pisz więc Kijowski o polskim stereotypie nawrócenia: najpierw cios, potem cud i wiara przeżywana jako sentymentalny odruch obronny. Mieliliśmy więc wojnę i to co po wojnie, potem cud wyboru papieża i teraz te tłumy wokół ołtarza. Czy wytrwają, gdy przyjdzie prawdziwa godzina próby?”.

A jak dziś ta wiara i niewiara wygląda w Polsce? Twarde dane mówią o galopującej sekularyzacji. Ostatni raport „Kościół w Polsce 2023” mówi o tym dobitnie. Do katolicyzmu przyznaje się 71,3 proc. procent ludności. A dziesięć lat wcześniej było o 16,3 proc. więcej. Mówiąc językiem publicystycznym, Kościół się zwija.

Jakie są przyczyny tak galopującej sekularyzacji? Utrata wiarygodności Kościoła. Dlaczego ludzie odchodzą, dlaczego tracą wiarę?

Polonocentryzm uniemożliwia nam spojrzenie w szerszej, perspektywie, jak układają się relacje chrześcijan ze społeczeństwem w innej kulturze

Skandale pedofilskie, obyczajowe ludzi Kościoła. Do dziś ukaranych zostało przez Watykan 13 polskich biskupów. Np. arcybiskup Szczecina, gdzie mieszkam, został zmuszony do dymisji w związku z wieloletnimi zaniedbaniami i mataczeniem w tej sprawie. Te skandale cały czas są jak turbulencje samolotu, który wpadł w dziurę powietrzną.

Symbioza Kościoła z władzą polityczną, a konkretnie z jedną partią, która została w wyborach 15 października 2023 r. odsunięta od władzy. Również kwestia wspierania finansowego przez państwo Kościoła jako podziękowanie za wspieranie tejże władzy. Wizja relacji państwo-Kościół oparta o nacjonalistyczne, narodowokatolickie nurty wywodzące się od Dmowskiego. Kościół rozumiany przede wszystkim jako siła polityczna. Wizja wykluczająca tych, którzy nie są etnicznymi Polakami, i tych, których światopogląd, wyborów życiowych nie podzielamy.

Radykalizacja postaw tradycjonalistycznych w Kościele, która doprowadziła do „strajku kobiet”. Nagonka, pod ręką z politykami, na środowiska LGBT.

Doświadczenie po pandemii. „Czas pustych Kościołów”, jak to nazwał Tomasz Halik. Odeszli – i nie wracają. Nie potrzebują liturgii i Kościoła, bo można praktykować wirtualnie.

Utrata komunikacji chrześcijan, Kościoła z najmłodszym pokoleniem. Katecheza w szkole, studenci, tutaj widać najsilniejsze zerwanie więzi z Kościołem, z chrześcijaństwem.

Szybkość przemian kulturowych. Społeczeństwo wirtualne odjeżdża Kościołowi. Czyli pytanie o wiarygodność ewangelicznego przesłania. Jak dziś, AD 2024, być chrześcijaninem żywej wiary w Polsce?

Czy jako chrześcijanie potrafimy uchwycić zmieniający się świat, jego kulturę? Czy potrafimy prowadzić z nią dialog?

Czy doceniamy wolność i dialog, czy też dalej będziemy patrzeć na innych w kategoriach zero-jedynkowych? Jak podchodzimy do sekularyzacji, która staje się naszą codziennością? Czy jak do znaku cza-

sów, z tym pytaniem pozytywnym, co Pan Bóg chce nam powiedzieć przez doświadczenie sekularyzacji dziś?

Czy będziemy dalej budowali Kościół jako „obłązoną twierdzę”, wszelkie zło widzieli na zewnątrz Kościoła? Czy może zobaczymy wartość Kościoła jako „otwartej bramy”, jak proponował Sobór Watykański II czy też dziś papież Franciszek, który mówi o Kościele jako „szpitalu polowym”?

Polonocentryzm naszego doświadczenia Kościoła uniemożliwia nam spojrzenie w szerszej perspektywie, tak, aby zobaczyć, jak układają się relacje chrześcijan ze społeczeństwem w innej kulturze niż polska.

Czy dostrzegamy, że my, chrześcijanie, nie mamy już prawie wpływu na kulturę? Jak być w zmieniającym się świecie chrześcijaninem żywej wiary? Przez wiarę rozumiem osobistą relację do Boga żywego, a nie tylko bycie katolikiem kulturowym, tradycyjnym, ludowym; osobisty wybór.

Już w latach 30. XX wieku polski dominikanin, wybitny etyk i tomista, o. Jacek Woroniecki, rektor KUL-u, charakteryzował polskie rozumienie wiary i polską inteligencję katolicką: jest sentymentalna, romantyczna i fideistyczna. Ta gorzka konstatacja sprzed stu lat jest stale aktualna.

Jak widzę przyszłość chrześcijaństwa w Polsce? Warto przede wszystkim wracać do źródeł. Przyjrzyć się krytycznie czasom pierwotnego Kościoła. Żyć tak, aby ludzie patrząc na was, chrześcijan, pytali was o motywy waszego życia, wiary – dlaczego tak żyjecie.

Pytanie o przyszłość, podpowiada filozofia religii. Pojawia się nowoczesna religijność. Poza kategoriami kościelnymi, chrześcijańskimi i poza kategoriami ateistycznymi.

Potrzebna jest próba pokazania wartości duchowych, religijnych, metafizycznych poza językiem tradycyjnie chrześcijańskim. Poszukiwanie nowego języka wyrazu swojej duchowości. Czy my, chrześcijanie, ludzie Kościoła potrafimy dostrzec tych, którzy może są na granicy lub już poza granicą widzialną chrześcijaństwa?

Kiedyś mówiono, że Czechosłowacja, Czechy są laboratorium wiary we współczesnym świecie. Myślę, bez policentryzmu i bez mesjanistycznych koncepcji, że dzisiaj Polska, z galopującą sekularyzacją, jest laboratorium wiary i niewiary. Starcia się tradycjonalizmu katolickiego z wiarą żywych chrześcijan.

Co mogę sam zaproponować, to duchowe towarzyszenie, na różnych etapach życia i w różnych doświadczeniach egzystencjalnych. Towarzyszenie i duchowe wędrowanie, trochę tak jak uczniowie idący do Emaus, gdzie Chrystus im tłumaczy, oni mają jakby oczy na uwięzi i poznają go dopiero przy łamaniu chleba.

Także, abyśmy się uczyli czytania naszego życia w perspektywie Boga, który ukazuje się nam w naszej historii, biografii.

Wróćmy do Andrzeja Kijowskiego. I oddajmy raz jeszcze głos ks. Józefowi:

„Innym tropem było pytanie o istotę wiary. Skąd szła ku Niemu jego wiara? Właściwie, trzeba rzec: zewsząd. Przychodziła od świata, od ludzi, i nie było takiego miejsca pod słońcem, z którego by nie promieniowała... Ważniejszym pytaniem od pytania skąd, okazuje się pytanie: »czym była?«.

Odpowiedzi uczył się w rozmaitych szkołach, ale najwięcej dowiedział się od św. Augustyna. Niezwykle są te Jego »Dopiski do »Wyznań««. Nazwałbym je raczej rozmową ze świętym.

Kijowski powtarza z zachwytem słowo, które tam znalazł: wiara jest lekarstwem. To słowo lekarstwo przybiera na znaczeniu. Czyżby potrzeba nieuleczalnej choroby, aby człowiek pojął, czym jest lekarstwo... I obok wiary, quasi-wiary.

Augustyn mówił tylko o tej, która jest lekarstwem i leczy zwątpienie – śmiertelną chorobę duszy. Pomiędzy wiarą prawdziwą a jej imitacją jest ta sama różnica, co pomiędzy lekarstwem a trucizną, pierwsze daje życie, drugie zabija”.

Nie wiem, jaką drogą pójdzie polskie doświadczenie wiary, niewiary. Doświadczenie galopującej sekularyzacji tradycyjnego katolickiego społeczeństwa. Jestem pesymistą integralnym, choć z chrześcijańską nutą optymizmu. ●

Tekst ukazał się w marcu w „Perspektivach”, dodatku do praskiego „Katolického týdeníka”. Tytuł – „Wyborcza”

A JEDNAK POJADE PO MEDAL

Tyle, że na trzech kołach, nie na dwóch

Miłosz Kędracki

Iadę w kierunku Zatora. Siedzę jak na szpilkach, nie słyszeliśmy się od wypadku. Boję się tego spotkania. Kiedy nawigacja pokazuje ostatnie kilometry, dojeżdżam do szczytu wzniesienia, za którym rozpościera się surrealistyczny widok. Na tle beskidzkich grzbietów wyrastają monumentalne konstrukcje. Kojarzą mi się z opuszczonym przez obcych kosmodromem. Wsiadli w swoje pojazdy i odlecieli. Ale wróć i to jest nieco złowieszcze. Gdy ta opowieść ujrzy światło dzienne, Energylandia będzie już po wiosennym otwarciu, znów zapanuje tu tłok, zgiełk, korki i wściekle poszukiwanie atrakcji i adrenaliny.

Skręcam w boczną drogę. To tu. Perfekcyjnie wygrabiony żwir chrzęści na podjeździe. Staram się nie skręcać kół, żeby nie zaburzyć jego gładkości. Całe obejście, włącznie ze starą stodołą, jest poukładane jak w japońskim ogrodzie. Drzwi otwierają się, w nich drobna sylwetka. Stoi w cieniu, ale już widzę ten uśmiech. Taki jak kiedyś. Czyżbyś jeszcze bardziej. Oddycham z ulgą.

„Kiedyś to było takie ciche miejsce, te wszystkie stawy dookoła, groble, może rzeczywiście jestem dziewczyną z wyspy?”. Perlisty śmiech Rity Malinkiewicz wprowadza swobodny nastrój.

„Mogłam swobodnie buszować po okolicy, a kiedy odziedziczyłem po rodzeństwie Eryka, zaczęło się prawdziwe szaleństwo”.

Eryk? „Taki dziecięcy rowerek. Nie pytaj jaki, miał tak na imię i tyle. Nauczyłam się na nim jeździć, kiedy miałam 5 lat.

Jestem w domu najmłodsza i może dlatego pozwalano mi na więcej. Wszędzie mnie było pełno. I od najmłodszych lat lubiłam rywalizować z mocniejszymi. Klasyczny syndrom najmłodszej siostrzyczki. Potyczki ze starszymi braćmi ośmieliły mnie do prób dorównania im. Moi wuefici zauważali tę zadziorność i wysyłano mnie na wszystkie pozaszkolne zawody. Pamiętam starty w biegach przełajowych. Nie do końca byłam świadoma, co mam tam robić, wiedziałam tylko, że gdzieś hen jest meta i biegłam na pełny gaz, bez jakichkolwiek kalkulacji.

W zawodach powiatowych zajmowałam miejsca na podium, ale chciałam więcej. Miałam 12 lat, gdy trafiłam do UKS Sokół Zator. Do sekcji siatkarskiej, ale prezes klubu, pan Sebastian Zabiński, zauważył, że byłam wytrzymała i bardzo zwinna. Zaczął mnie namawiać do kolarstwa. Wydolnościowo już byłam dobra, ale kolarstwo górskie to nie tylko siła”.

Zajmuję się nim właśnie, zawodowo jako obserwator i amatorsko jako kolarz, więc wiem, o czym Rita mówi. Niezbędna jest orientacja w przestrzeni, równowaga, wyczucie dystansu, ocena prędkości wzajemnie przemieszczających się obiektów. I waleczność, i odwaga, a także skłonność do ryzykowania.

„Ale to co innego niż ryzykanctwo – wchodzi mi w słowo Rita. – Ta odwaga musi być podszyta instynktem samozachowawczym. Wygrywa ten, kto przekroczy linię mety. W MTB nawet trochę psychologii się przyda, żeby ocenić czy inne zawodniczki udają dobrą formę, lub przeciwnie, ukrywają ją, żeby niespodziewanie zaatakować.

Spodobało mi się. Od razu, gdy wsiadłam na rower względnie wyczynowy, stwierdziłam, że to jest na poważnie. Koniec z bezcelowym szwendaniem się rowerem po okolicy. Zaczęłam trenować i nawet jeśli w planie miałam tak zwany rozjazd, nawet taką regeneracyjną przejażdżkę traktowałam śmiertelnie poważnie. Wykonywałam zadania. Miałam cel. Żeby go osiągnąć, tata kupił mi pierwszy prawdziwy rower do ścigania. Scott Scale. Był szczególnie, bo na takim Nino Schurter trzykrotnie wywalczył medale olimpijskie, zdobywał tytuły mistrza świata”.

Pamiętam ten rower doskonale z testów. Przyrząd do wygrywania. Niewygodny i w niewytrenowanych rękach nieobliczalny. Nerwowy jak wyścigowy koń, ale szybki, zwinny, ultralekki, wystrzeliwujący pod górę od pierwszego depnięcia w pedały. W sam raz do wygrywania.

„Pytasz o piękne rowerowe wspomnienia. Żadnych zachodów słońca w górach, zero romantyzmu!”. Śmiech odbija się od sufitu pokoju zastawionego sprzętem treningowym. I rehabilitacyjnym.

„Moim najprzyjemniejszym rowerowym wspomnieniem z tamtych czasów jest pierwsze mistrzostwo polski w 2013. Uświadomiłam sobie, że cała ta treningowa harówka może doprowadzić mnie naprawdę wysoko. To nie był łatwy wyścig. Trener powiedział tylko: daj z siebie 101 procent i nie popełniaj błędów. Trasa była pierwszą tak trudną w Polsce. Zjazdy po balach, sztuczne głazowiska – rockgardeny, naprawdę duże skoki, prawie enduro, wszyscy byli zaskoczeni. A dla mnie im trudniej technicznie, tym lepiej, uwielbiałam jeździć na dużej adrenalinie. Wychodziło całkiem nieźle – kilkanaście medali, w tym kilka mistrzowskich”.

Elżbieta Figura, zawodniczka pierwszej dziesiątki mistrzostw Europy 2015 i 2016, też pamięta tamten wyścig: „Miałam złoty okres, naprawdę wygrywałam wszystko. Co tydzień podium. Kiedy zobaczyłam trasę w Żerkowie, pomyślałam – stworzona dla mnie! Inne zawodniczki były przerażone, bo trudności techniczne były na Puchar Świata. Przerażające zjazdy, skoki, w tamtych czasach nowość. Ritę znałyśmy głównie z tego, że jest serdeczna dla wszystkich i bardzo zmotywowana, ale trochę za miła, jak na ten wredny sport. Za późno zorientowałam się, że mi odjeżdża i to właśnie na moich koronnych zjazdach. Przegrałam. O dwie minuty!”.

Rita może i żadnych zachodów słońca nie oglądała, za to poczuła wiatr w żagle. W tym samym roku na trasie mistrzostw świata w południowoafrykańskim Pietermaritzbur-



• Sezon 2014-15, Rita Malinkiewicz u szczytu formy i kariery

gu wystartowała bez respektu dla najbardziej utytułowanych przeciwniczek. Zameldowała się w połowie stawki, co nie byłoby niczym szczególnym, gdyby nie szalona konkurencja oraz legendarna runda, która zmieniła obraz współczesnego ścigania w XC – czyli najpopularniejszej, najbardziej wszechstronnej dyscyplinie MTB. Afrykanie zaproponowali trasę, jaką uznawano za niedostępną dla ówczesnych rowerów MTB klasy Cross-country Olympic.

Przeglądam wyniki z Pietermaritzburgu: przed Ritą tylko dwie zawodniczki z warty mi odnotowania rezultatami w elicie kobiet, za Ritą kilka dziewcząt, które dziś wiele znaczą w MTB. Tyle że przejście do światowego ścigania w Elicie – jak nazywa się dorosła, najpoważniejsza (zwłaszcza z punktu widzenia sponsorów i mediów) kategoria wiekowa – zbiegło się z dorastaniem. Rita chciała się usamodzielnąć, sama na siebie zarabiać.

Nie żeby w światowym topie kolarstwa górskiego głodowano – choć zarobki są o jedno, jeśli nie dwa zera z tyłu niższe, niż na szosie – ale przecież sukces nie był gwarantowany, zaś nawet jeśli, to zawodnicza kariera trwa 5, 10 lat. W dodatku mówimy o kobietach, więc w tamtych czasach od razu – z niewiadomych przyczyn, bo popularność kobiecego kolarstwa była już wtedy nie mniejsza od męskiego, trud ten sam, reklama dla dostawców sprzętu, tzw. ekspozycja logotypów sponsorów też – od kontraktów i nagród odejmowało się jeszcze jedno zero.

Więc były jeszcze sukcesy, ale rozpęd już nie ten – owszem, ciągnęło Ritę do startów,

były medale, ale w kolarstwie nieco, niczego tamtym zawodnikom nie ujmując, pobocznym, w rodzaju mistrzostw akademickich.

Ania Szarfaniec-Rutkiewicz – legenda polskiego kolarstwa, srebrna i złota medalistka mistrzostw świata MTB – pierwsza z Polski! – na przełomie kryzysowych lat 90. i 2000, kiedy polski sport podtrzymywał tylko Małysz (w zasadzie nikt nie potrafi wytłumaczyć, czemu nie przebiła się do powszechnej świadomości jak Maja Włoszczowska czy Justyna Kowalczyk) – wspomina: Ścigałyśmy się w różnych kategoriach i miałyśmy całkiem inne historie sportowe. Ale miałyśmy dobry flow. Nawet przez ekranik telefonu zawsze z niej biła serdeczność.

Znajomość pogłębiła się, kiedy u Rity pojawiły się wątpliwości, czy odnajdzie się w Elicie. W czasie rozmów wyszło na to, że przechodziłyśmy przez dość podobne i bardzo trudne sytuacje międzyludzkie. Wtedy miałam dość graniczne przeżycia z sercem, kilka bardzo poważnych zabiegów, a Rita dawała mi mnóstwo ciepła i pociechy. Miałam być mentorką, tą doświadczoną, otrąskąaną w świecie koleżanką, ale w sumie to nie wiem, która z nas bardziej na tych kontaktach bardziej zyskiwała”.

Rita: W MTB XC cały wysiłek skoncentrowany jest w godzinie, co wymaga całkowitego podporządkowania się reżimowi treningowemu i rozpraszanie się na inne aktywności, jak studia, nie wchodzi w grę. Postanowiłam zmienić dyscyplinę na bardziej czaso-

FOT. SZYMON GRUCHALSKI / ARCHIWUM PRYWATNE RITY MALINKIEWICZ

chlonną, ale mniej angażującą treningowo, jednocześnie popularniejszą wśród amatorów, czyli i wśród sponsorów. Poszłam w maratony MTB. W nich mniej liczy się szybkość reakcji, bardziej odporność fizyczna i wytrzymałość psychiczna.

Studiowałam dziennie zarządzanie, do którego dołożyłam sobie drugi kierunek, inżynierię produkcji. To wszystko razem, plus dojrzwianie... Zrobił się z tego ciężki okres. Kryzys dotyka tabuny takich wyczynowców juniorów wchodzących do dorosłego sportu, ale wtedy tego nie wiedziałam i rzuciłam wyczynowe kolarstwo. Zamieszkałam sama w Warszawie, zobaczyłam całkiem inny świat. A ja byłam go taka głodna. Moje rodzeństwo pracowało już na siebie, a ja co, miałam się w rowery bawić? Zatrudniłam się jako przedstawiciel handlowy u – bliska koszula ciału – dystrybutora sprzętu do diagnostyki sportowej oraz regeneracji.

Tu wtrąca się Szafraniec-Rutkiewicz. Przypomina sobie, jak ładnych parę lat temu zapytano ją, czyby nie poleciła kogoś do komentowania mistrzostw świata w TVP Sport. Poleciła Malinkiewicz. „Była tak dobra, że zaproponowali jej staż. Aż żal, że nie wyszło”.

Rita: Naturalnie skierowałam się na rynek kolarski. Odnowiłam stare znajomości wśród sportowców, nawiązałam nowe. Pracowałam gadając, plotkując i dyskutując i wszystko zaczęło mi się składać. Te maratony mnie po prostu nie interesowały. Najbardziej na świecie kocham krótkie wyścigi, których każda minuta naszpikowana jest emocjami. Eureka! Mam pracę, która co rusz zanosi mnie w europejskie raje treningowe, wciąż obracam się w moim dawnym świecie i chcę wrócić do dyscypliny, której starty nie oznaczają wielodniowego wyłączenia się z życia. No to przygotowuję się do zawodów. Jakich? No przecież to proste! Najważniejszych.

Igrzyska to dla każdego sportowca szczyt, na który chciałby dotrzeć. Ale u Rity to nie było takie sobie marzenie. Jeszcze jako nastoletnia zawodniczka słyszała w warszawskim Instytucie Sportu: „masz dobry motor” i że z takimi wynikami jej organizm jest zdolny do zdobycia kolarskiego Everestu.

„Wiedziałam, że aby tam się wspiąć, potrzebna jest jeszcze bardzo dobra drużyna. Po swojemu uznalam, że choć jej nie mam, to zaprę się i samodzielnie pozyskam sponsorów. I to się udało. Pierwszą zimę po powrocie do wyczynu całą spędziłam w hiszpańskim Calpe, kolarskiej mekce, tam trenują przed sezonem najwięksi. Rozpisałam plany na sezon 2021, 2022 i 2023, przygotowania do walki o kwalifikacje na igrzyska w Paryżu. Pierwszego czerwca 2020 miałam już niezłą bazę treningową, precyzyjny plan, wspaniałych przyjaciół, życzliwych sponsorów. Jechałam prosto do słońca”.

„Nie chcę wracać do tego, jak to się stało”, więc wyręczam Ritę. Kobieta w opłu zjechała na przeciwny pas. Akurat wtedy, gdy Rita z koleżanką jechały na trening. Helikopter, szpital, specjalistyczny w Sosnowcu. „Tu masz wypis, czytaj”.

- Złamanie kręgów odcinka piersiowego kręgosłupa
- Uraz wielomiejscowy
- Krwiał przy prawej półkuli mózgowej
- Krwiał nadtwardówkowy na sklepiści na wysokości płatów ciemieniowych
- Złamanie kości ciemieniowej prawej, obustronne złamanie w obrębie kości potylicznej,
- Pęknięcie łuski kości skroniowej prawej.
- Liczne szczeliny, pęknięcia w obrębie piramidy kości skroniowej lewej z objęciem łuski skroniowej po tej stronie.
- Złamanie kości nosowych, przegrody kostnej nosa, kolca nosowego przedniego, kości szczękowej, wyrostka kłykiowego po stronie prawej
- Złamanie przednio-dolnej części trzonu kręgu C2
- Wybuchowe złamanie z wielokierunkowym przemieszczeniem odłamów trzonu



• Pierwsze miesiące po wypadku i późniejsza nauka poruszania się

Badania potwierdziły zdolność neuronów do zmiany funkcji i połączeń w odpowiedzi na różne bodźce. O całkowitej regeneracji nie ma mowy, niemniej stosując odpowiednią stymulację komórek nerwowych, które wcześniej nie były aktywne, możemy skompensować funkcje utracone w wyniku uszkodzenia mózgu w innych rejonach



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE RITY MALINKIEWICZ

kręgu C3 w tym w obręb kanału kręgowego z modelowaniem worka oponowego.

- Złamanie wyrostków kolczystych C6-Th4.
- Złamanie żebra VII w linii łopatkowej strony lewej bez przemieszczenia.
- Złamanie nasady łuku kręgu L1 po prawej, wyrostka poprzecznego kręgu L3,
- Złamanie w obrębie górnej części trzonu kręgu Th4
- Wybuchowe złamanie trzonu kręgu Th7 ze stenozą kanału kręgowego.
- Złamanie w obrębie kolumny tylnej kręgu TH6 oraz wieloodłamowe złamanie kolumny tylnej kręgu Th7
- Wieloodłamowe złamanie łopatki lewej i prawej.
- Złamanie dwupoziomowe uda lewego – szyjki i trzonu

„W tym ostatnim chodzi o to, że mocne mięśnie utrzymały lewą nogę przy ciele. Wyrwało mi ją z panewki i chcieli nawet endoprotezę wstawiać, ale rodzice skłonili lekarzy, żeby wpięrować spróbować ratować co się da, ściągnęli specjalistę chirurga i noga działa!”.

Z kim nie rozmawiam, kiedy dochodzimy do pierwszego kontaktu z Ritą w jej nowym życiu, mamy te same wspomnienia. „Jezu, jak ja się bałam spotkania. Widziałam te zdjęcia z rowerami po wypadku” – pamięta Szafraniec-Rutkiewicz. „Słyszałam, że... no przez gardło mi nie chce przejść, co się w środowisku mówiło”. Wiem, o czym mówi Ania, ja też słyszałam, jak to specjaliści twierdzili, że Rita jest w tak złym stanie, że lepiej dla wszystkich będzie, jeśli się nie obudzi.

Ale rodzina nie chciała słuchać, bliscy powiedzieli: walczcie, próbujcie. To była czyta desperacja. Bo dziś lekarze potwierdzają – że potencjalnie śmiertelny urazu mózgu to jedno. A drugie, że gdyby Rita nie miała organizmu wyczynowca, nie była tak wytrenowana, nie miała tak mocnych mięśni głębo-

kich, uderzenie przerwałoby rdzeń i zostałyby na chodniku przy Żywieckiej w Wilkowicach.

Ania Szafraniec ścigała się w iście pionierskich czasach. Pamiętam wyjazd na mistrzostwa świata do Åre w Szwecji. To już prawie za kołem podbiegunowym. Najpierw jechaliśmy przez całą Polskę autami PZKolu. Potem całą noc płynęliśmy promem, a potem jeszcze 1100 km drivingu przez Szwecję. Wsiadając o piątej nad ranem z auta, byłam wykończony. Na ziemi na przemian topił się i podmarzał świeży śnieg. Dwie nastolatki wyskoczyły z auta, przebrały się w kolarskie trykoty, narzuciły foliowe peleryny i ruszyły w kierunku trasy.

Ania: Juniorki startują wcześniej niż główne kategorie. Przyjechaliśmy w ostatnim momencie. Na rundzie zaczęły mi zęby i nie mogłam powstrzymać dreszczy, przez co rower tańczył na boki. Nie czułam palców u rąk ani stóp. Zapoznawczo nie objechałyśmy nawet całej trasy, w tym najtrudniejszy fragment. Na starcie byliśmy tak przemarznięte, że w ogóle nie kalkulowałam, tylko na pierwszym podejździe odpaliłam. Wszystko bym zrobiła, żeby nie czuć zimna. Z Magdą Sadlecką po pierwszym podejździe byliśmy pierwsze. Pamiętam tylko, że nasz masażysta na ostatnim bufecie coś do mnie krzychał. Byłam tak obolała i przemrożona, że nic nie rozumiałam, dziwiłam się tylko, czemu jest pusto na mecie i że, cholera, następnej rundy już nie dam rady. Upadłam w błoto.

Nie było potrzeby powtarzać rundy. Szafraniec zdobyła historyczny, pierwszy złoty medal w XCO dla Polski.

A od tamtej pory ta dyscyplina znacznie się zbrutalizowała. Akurat kiedy debiutowała Rita, przestała być tylko – aż! – walką z bólem, zaczęła również z przełamywaniem in-

stynktu samozachowawczego. Latania, przeskakiwania, rzucania głową w dół zrobiło się więcej, niż wspinania z kołami na ziemi.

„Kolarstwo w ogóle to sport ciężki i brutalny. Śmiejemy się, że jest dla ludzi normalnych inaczej. Treningi są długie, mozolne i często na poziomym wysiłku, który znacznie przekracza granicę bólu. Bołą płuca, brakowało tlenu, pieką mięśnie, bo trzeba przesuwać granicę obciążeń, żeby przyzwyczajać organizm do mocniejszej pracy. Strach przed bólem wyklucza możliwość trenowania, więc ból trzeba ośwoić. Wyścig to tylko prezentacja efektów. Trwa znacznie krócej niż trening, a jeśli wiesz, że to »tylko godzina«, łatwo wmówić sobie samej, że to zaraz się skończy, ból ustąpi, a chwila na podium będzie wspaniała” – wspomina Rita.

Utknęła w śpiączce na 93 dni. Wybudzenie trwało naprawdę długo. „Mówią, że pierwszy zaczął się ruszać mój palec, ale to był odruch bezwarunkowy. Świadomie najpierw otworzyłam jedno oko. Po kilku miesiącach rehabilitacji. Jeden ruch powieka, a tak wielki sukces moich opiekunów!

Wszystkiego musiałam się nauczyć od nowa. Jak niemowlę. Ponieważ moja prawa półkula mózgowa, mówiąc obrazowo, rozjechała lewą, a połowa czaszki została na kręweźniku. Ten fragment kości zastąpiono implantem, a mózg musiał się przełączyć na nowe ścieżki logiczne. Najpierw uczyłam się, jak używać ust i języka do jedzenia, przełykania.

A wiesz, że jak byłam w szpitalu w śpiączce, to sałę obok leżał Fabio Jakobsen? Tak, ten, który na etapie Tour de Pologne w Katowicach miał ten słynny wypadek. Na finiszu, w sprincie, przy 85 na godzinę uderzył w barierki. Otarł się o śmierć i kalectwo, a wrócił do ścigania i jest trzy razy silniejszy, niż był, wygrywa etapy na największych tourach!

Dr n.med. Magdalena Boczerska-Jedynak, neurologka Rity: Kiedy pierwszy raz ją konsultowałam, była w stanie bardzo ciężkim. Kontakt bardzo ograniczony, pacjentka leżąca, duże deficyty neurologiczne. Po rocznej rehabilitacji w Polskim Centrum Rehabilitacji Funkcjonalnej VOTUM w Krakowie stanęła na nogi. Nie tyle dosłownie, ale była samodzielna na tyle, żeby wrócić do domu. Wtedy rozpoczęła rehabilitację w moim Instytucie Zdrowia w Oświęcimiu.

Mózg i cały układ nerwowy wciąż skrywają tajemnice. Nie da się „pozyszywać mózgu”, jak to pan określił, ani liczyć na odbudowę zniszczonych komórek, ale pacjent nie jest na straconej pozycji. Badania całkiem niedawno potwierdziły zdolność neuronów do zmiany funkcji i połączeń w odpowiedzi na różne bodźce. To tzw. neuroplastyczność. O całkowitej regeneracji nie ma mowy, niemniej stosując odpowiednią stymulację komórek nerwowych, które wcześniej nie były aktywne, możemy skompensować funkcję utraconą w wyniku uszkodzenia mózgu w innych rejonach. Pacjentom tłumaczę to tak, że bezrobotne sąsiadki tych uszkodzonych neuronów muszą przejąć ich zadania.

Najpiękniejsze jest to, że choć neuroplastyczność przypisywano tylko bardzo młodym mózgom, okazuje się, że wiek nie determinuje tej zdolności.

„Będąc sportowcem, miałam zakodowane, że każdy trening przybliżył mnie do sukcesu podczas zawodów. Dalej myślę jak sportowiec: teraz każda godzina rehabilitacji przybliżyła mnie do sukcesu, czyli samodzielnego życia. A trenuję – bo tak traktuję rehabilitację – więcej niż „przed”, po 4 godziny dziennie”. – Jesteś jakimś wyjątkiem – usłyszała Rita od fizjoterapeutów na początku. Bo zazwyczaj pacjenci nie chcą ćwiczyć, stają okoniem, a ona odwrotnie, robi więcej, niż od niej chcą.

„Przypominam sobie naukę chodzenia po schodach. Najpierw przy barierce, jeden rehabilitant mi pomagał nogi przestawiać, a drugi trzymał głowę. Bo ja byłam jeszcze przed operacją kręgosłupa szyjnego i mięśnie szyi nie były w stanie utrzymać głowy

w pionie, a ponieważ te strzępy kości kręgow były strasznie blisko rdzenia kręgowego, istniało ryzyko, że przy niewłaściwym ruchu wbiją się w niego i mnie sparaliżuje na amen. Ale ja mimo zagrożenia walczyłam. To część mojej osobowości. Mój mózg ucierpiał, moje »ja« się wzmocniło”.

Urazy były tak rozległe, że jeden kłopot nakłada się na drugi. Rita ma porażenie czterokończynowe i niedowład całej lewej strony, co bardzo wpływa zwłaszcza na rękę. „Pracuję nad nią często. Na przykład wszystkie maile do ciebie pisałam lewą ręką, choć jestem praworęczna. A tak ogólnie to mam wrazenie, że coś ze mną jest nie tak, bo mnie rzadko coś boli i nawet pytaliśmy mojego neurochirurga, czy to nie jeden z objawów urazu mózgu. A wyjaśnienie jest proste – dzięki morderczym treningom już przed wypadkiem miałam wysoki poziom odporności na ból”.

Pytam więc dr Boczańską-Jedynak: czy sportowcy lepiej wracają po śpiączce? – Coś w tym jest. Nie do przecenienia jest ich kondycja na początku rekonwalescencji, bo wytrenowany organizm ma zwyczajnie większe zasoby i potencjał. Ważniejsze jest jednak nastawienie, motywacja i determinacja. Wpojone przed wypadkiem, bardzo procentują w powrocie do zdrowia. Zwycięzca musi być konsekwentny i wyróżniać się samodyscypliną.

Na szczęście obrażenia Rity nie dotknęły tych partii mózgu, które decydują o podejściu do życia. W przypadku uszkodzeń w płatach czołowych może dojść do zmian w sposobie reagowania chorego. Pacjenci mogą się stać bardziej wybuchowi lub odwrotnie, apatyczni.

W rehabilitacji neurologicznej, czyli takiej, jak Rity, bardzo ważne jest, aby dana czynność powtórzyć naprawdę dużo razy. Trzeba się od nowa nauczyć całego łańcucha akcji. Problem w tym, że przy tak dużej ilości urazów pojawia się spastyczność, czyli mimo wolne napięcie mięśni pod wpływem zaburzeń czuciowo-ruchowych.

„Ona uniemożliwia wykonanie pewnych czynności i nawet mój zdeterminowany mózg nie ma nad nimi władzy. Ale nad tym pracujemy. Jak leżałam jeszcze w szpitalu, to mama wybłagała, żebym mogła wieczorami wchodzić na salę rehabilitacyjną i ćwiczyłyśmy po godzinach. Potem w Votum chodzenie zaczęło się przy pomocy dwóch rehabilitantów, bo nie mogłam ustać. Jeden mnie podtrzymywał, a drugi nogi przekładał. Teraz chodzę już wydłużonym krokiem, a w zeszłym roku włączyłyśmy spacer. Codziennie chodzę z mamą po 10 km!

Z rowerem było tak samo. Najpierw chciałam, żeby mnie tylko posadzili na siodelku. Potem, żeby choć raz pedałem obrócić. Jak już wyrobiłam ruchomość w stawach, to rehabilitant mi trzymał nogę na pedale i prowadził. Nauczyłam się, ale ta moja lewa połowa nie działa tak jak potrzeba, nie kontrolowałam stopy i z pedału mi się zsuwała, więc rehabilitanci przywiązywali but gumową taśmą.

Jak mogłam już dłużej kręcić, to się okazało, że od zmęczenia nie kontroluję czy mam dłoń zaciśniętą na kierownicy, czy nie, więc też żeśmy przywiązywali. A jak wróciłam do domu, to mama wpadła na pomysł, żebym zamiast tej taśmy ubrała buty do pedałów zatrzaskowych. Że też sama na to nie wpadłam? Przecież „przed” tych butów prawie nie ściągałam. Potem już poszło.

Najważniejszą bohaterką jest moja mama. Ma znakomitą intuicję, upór, jest konsekwentna. Rano bezceremonialnie wbija do pokoju i krzyczy: Rita wstawaj, bo rehabilitacja. I choć czasem nie mogę się podnieść z łóżka, to jej poświęcenie nie pozwala mi być bierną czy wycofać się.

Mama po „tym” zwołała się z pracy i jest ze mną bez przerwy. Nie wiem, jak ona dała radę, bo na początku byłam koszmarem. Taki przykład: jak już się trochę poprawiło, to miałam okres przeklinania i wyklinania wszystkich i wszystkiego. To objaw neurologiczny i lekarze oraz pielęgniarki zdają sobie

z tego sprawę, mówili nawet, że dobrze, bo oznacza postęp, ale co musi się dziać z bliskimi... Nie poznawałam mamy, mówiłam jej, że jest tylko moją opiekunką. Wstyd mi i wkurzam się na samą siebie. Mamu, dziękuję” – Rita wybucha głośnym śmiechem. Jej mamie wilgotnieją oczy i wychodzi z pokoju.

Lecz opiekę Ricie zapewnia nie tylko rodzina. Wypadek sprowadził do jej życia osoby, których w innych okolicznościach by nie poznała.

„Kiedy odzyskałam świadomość, dowiedziałam się o zbiorce na naszą rehabilitację. Naszą, bo ze mną jechała przecież Kasia Konwa. Byłam w szoku ze szczęścia. Wyobraź sobie koszty prywatnego ośrodka rehabilitacji, a ja mogłam tam spędzić blisko rok! Wracałyśmy z mamą tylko na święta”.

– Przed wypadkiem Rity nie kojarzyłem zbyt dobrze. Wiedziałem, że jest taka miłutka dziewczyna, sprzedawałem sprzęt grupie, w której startowała. Miała ujmujący sposób bycia, wszyscy wokół dobrze się czuli, a to w kolarstwie nie jest powszechne – opowiada Wojtek Kluk, właściciel częstochowskiej Fabryki Rowerów, kultowego salonu rowerowego. – Kiedy dowiedziałem się o wypadku i jak wielkiej skali pomoc jest potrzebna, zacząłem pytać znajomych, co moglibyśmy zrobić. I wszyscy, absolutnie wszyscy reagowali spontanicznym otwarciem serc, portfeli czy kontaktów do wpływowych znajomych. Ten znał kogoś w TVP, ten w TVN. Ludzie różnej proveniencji jednoczyli się w pomocy dziewczynom.

„No, ale teraz dopiero będzie najlepsze! Parakolarstwo!” – Rita niemal krzyczy z zachwytu, ale metodycznie ciągnie opowieść: „Jeśli raz, drugi się udało pokręcić pedałami, uznałam, że czemu nie pokręcić dłużej? Przecież pół życia spędziłam na rowerze. A że motywuje mnie progres, a tak bardzo chcę odzyskać dawne życie, to czemu by nie wrócić do treningu, który mnie napędzi? I stąd się wziął paszport – jako kolejny cel i metoda na powrót do sprawności. Konsultowałam to z doktorem Bartkiem Czechowiczem, moim szefem rehabilitacji. Stwierdził, że jak wejść w treningi, to rzucę ręką z klasyczną rehabilitacją. Trudno. Życie mi trochę ucieka. Chcę wyzwania. Tak, chcę podbijać świat w parakolarstwie!

Niedaleko mieszka Marta Lach, znakomita kolarzka szosowa, i mnie często odwiedza. Kiedyś pyta: Rita, czy ja mogę podać twój numer Kubie Pieniążkowi? Czy może? Przecież gość, prócz tego, że prowadzi Martę, zawodowców z topowej światowej grupy Israel-Premier Tech i czterokrotnego zwycięcę Tour de France, Chrisa Frooma, jest trenerem polskiej kadry parakolarskiej!” – Rita śmieje się głośno, bardzo zarażliwie i natychmiast zaczyna trajkotać o pierwszym dialogu z nowym trenerem.

„Oznajmiłam, że moim marzeniem są igrzyska paraolimpijskie w Los Angeles 2028. Kuba się tylko uśmiechnął i powiedział: Rita, wyluzuj, zrobimy wszystko, żebyś się przygotowała jak najszybciej. Pracuj na trenażerze, zrób testy na moc, a jak będziesz mieć trycykl gotowy na drugiego maja, to się zobaczy. No to ja dalejze sprawdzać, co za impreza jest wtedy w kalendarzu UCI. Pucharu Świata w Belgii! Ale nie, nie napalam się na start w tak poważnej imprezie. Najpierw potrzebny mi jakiś „ogórek”, słabo obstawiony wyścig, bez ciśnienia, przecież parakolarstwa muszę się dopiero nauczyć. Zobaczyć, jak wygląda od kuchni, przełamać się. Ale w Belgii będą mogli mnie zbadać lekarze i fizjoterapeuci afiliowani przy światowej federacji UCI, określić kategorię, a przecież to moje priorytety. No to zrobiłam test FTP na moc i warty wyszły całkiem niezłe”.

Umawiam się z Jakubem. Polskimi parakolarzami zajmuje się już od igrzysk w Rio, osiem lat. „Ta dziedzina sportu przeżywa kolosalny boom. Coraz więcej ludzi się do niej garnie, rywalizacja szalenie się profesjonalizuje. Dość powiedzieć, że w kilku ostatnich



**„No, ale teraz dopiero będzie najlepsze! Parakolarstwo!”
– Rita niemal krzyczy z zachwytu, ale metodycznie ciągnie opowieść:
„Jeśli raz, drugi się udało pokręcić pedałami, uznałam, że czemu nie pokręcić dłużej?”**

latach liczba parasportowców podwoiła się. Dziś, żeby dopracować się wyników na poziomie światowym, potrzeba 30 godzin treningu tygodniowo, to tyle samo co w sporcie wyczynowym. A Rita ma potencjał, bo w sporcie oprócz tęczy liczy się nastawienie, a jej entuzjazm rokuje fantastycznie”.

Rita: Brat mi przywiózł trycykl na urodziny. To był tylko szkielet, musieliśmy oddać do zrobienia koła, dopasować hamulce, cała kolumna. I teraz uważaj: pojechałam na pierwszą jazdę i wpadłam do rowu. Mama jechała za mną i była taka przerażona, że bałam się, że mi ten trycykl do stawu wrzuci. Dwa dni miałam doła, potem ze stresu i tego wszystkiego się pochorowałam i nie uwierzysz – do Belgii na kwalifikacje nie pojechałam!

Ale, jak powtarza mama Rity, wszystko jest po coś. I kto wie, gdyby Rita miała taką kraksę w wyścigowym amoku, wśród innych kolarzy, w kłębówisku rowerów, przy dużo większej prędkości, mogłaby z tego rowu już nie wyjść.

„Na to wszystko przyjechał mój dawny trener, pan Zabiński, wsiał na ten trycykl i też się o mały włos nie wrąbał do rowu. Zaczął rozkminiać okoliczności. I co się okazało? Trasy wyścigów parakolarskich są praktycznie płaskie i idealnie gładkie, a u nas droga krzywa, same łaty zamiast asfaltu, trzeba cały czas kontrować przechyły. Czyli to nie ze mną jest coś nie tak. Ja się po prostu muszę tego roweru nauczyć”. A jak opanuję sprzęt i siebie w takich hardkorowych warunkach, to będę... – tego Rita głośno nie mówi, ale wyczuwam, co jej chodzi po głowie.

Jakub Pieniążek studzi entuzjazm – „Rita musi być cierpliwa, przecież ledwo trzy lata temu uczyła się od nowa przelić pokarmy” – ale rzuca: wiecie, we wrześniu są mistrzostwa świata w Zurichu, i tam będą kolejne kwalifikacje, dla kolarzy wszystkich dyscyplin. A Rita chichocze z ekscytacji.

„Kategorii jest wiele, bo zależą od stopnia niepełnosprawności, a każdy parasportowiec jest indywidualnym przypadkiem. Dla osób po urazie rdzenia kręgowego, które mają władzę tylko w rękach, są handbiki. Dla niewidomych są tandemy kierowane przez widzących przewodników. Najbardziej chciałabym jeździć na zwykłym rowerze, czyli w kategorii C1-C5, ale przepisy UCI nie pozwalają. Taki rower jest dla parasportowców po mniejszych urazach, przede wszystkim bez uszkodzeń mózgu. Po urazach głowy puszczają tylko na trycyklach, czyli w kategorii T1-T2. I słusznie. Nie ma co ukrywać, mam problemy z równowagą, przy wysiłku gorzej kontroluję lewą stronę ciała. Przy prędkości, w emocjach i kontakcie z peletonem mogłoby być różnie”.

Jakub: Moich parakolarskich podopiecznych nie odważyłbym się określić jako niepełnosprawnych, bo to są samodzielni, wyśmienicie wytrenowani zawodowcy. Potrafią

sami ze swoim sprzętem pojechać na zgrupowanie na Majorce i tam robić wielogodzinne treningi w górzystym terenie. Żyją tak jak każdy inny kolarz, realizują takie obciążenia i osiągają równie ambitne cele, tylko inaczej napędzają swoje bolidy.

To wszystko jest przed Ritą. Dobrze rokuje to, że nie utraciła sportowego ducha, prowadzi się jak wyczynowiec. Po pierwszych treningach widzę, że jest w stanie wrócić do bardzo wysokich parametrów. Jak wszystko pójdzie gładko, to igrzyska w Los Angeles są w jej zasięgu. Ale Rita już wkrótce musi zacząć punktować i walczyć o kwalifikację w mniejszych zawodach. Polsce przysługują tylko dwa miejsca w parakolarstwie, a mamy znakomite obsady w tandemach, ci zawodnicy pracują na wyniki od lat.

Tylko że żeby startować i wygrywać, trzeba mieć na czym.

„Szukałam sprzętu do parakolarstwa, ale przez wyszukiwarkę to się znajduje trójkołowce dla dzieci i starszych ludzi. W Polsce nikt się nie chciał podjąć się zrobienia takiego pojazdu. Aż Marcel Jarosławski, wiceprezes Polskiego Związku Sportu Niepełnosprawnych, skojarzył, że jest rzemieślnik w Berlinie, który przerabia kolarzki na maszyny dla parakolarzy, i te jego trycikle przechodzą badania komisarzy UCI. I teraz słuchaj: news z wczoraj jest taki, że on przyjął zamówienie! Tylko to chwilę zajmie, bo ingerencje w klasyczny rower są poważne – musi zrobić osł dla dwóch kół, zmodyfikować hamulce...”

Przed wypadkiem jeździłam na naprawdę wypasionym Treku. Poprosiłam rodziców, żeby mnie zabrali do Częstochowy, bo może specjaliści u Wojtka Kluka coś zaradzą na tę kupkę nieszczęścia, w jaką się zmienił. Rama i koła były doszczętnie polamane, ale może części da się wykorzystać i odbudowa wyjdzie ciut taniej. Ale kiedy mechanicy zobaczyli, co wyciągamy z bagażnika, tylko patrzyli na siebie i kręcili głowami.

Wtedy Wojtek zaprosił mnie na bikefitting. To taki proces, w którym mierzy się kolarza, sprawdza ruchomość stawów i tak ustawia poszczególne części – wysokość i skos siodelka, rozstaw pedałów, długość korb i całe mnóstwo innych rzeczy – żeby pozycja za kierownicą wykorzystywała pełny potencjał ciała. Z pomiarów wyszło, że najlepszą dla mnie opcją będzie Trek Domane. Wspaniała maszyna, ale w cenie od „używany samochód” w górę.

Po jakimś czasie dostaje wiadomość, że muszę przyjechać na jeszcze jeden bikefitting. Kurczę, zgubili wyniki? Przyjeżdżamy, wchodzę – a tam dwa rowery. Trek przekazał mi dwa rowery!

Wojciech Kluk: Owszem. Jeden, bardziej bazowy, na trenażer, aby przepracować czynnie całą zimę. A drugi, karbonowy, będzie do przebudowy na startowy trycykl.

Rita już wygrywa, każdego dnia. Swoim nastawieniem i apetytem na życie. Udowadnia, że człowiek może wszystko, no bo skoro da się nawet wrócić Stamtąd... Czasem trzeba tylko zmienić definicję zwycięstwa, przestać – tak, to brzmi jak z reklamówki jakiegoś coacha z YouTube, ale działa – wektory, gdy nie da się osiągnąć celu linią prostą, wymyślić, nomen omen, objazd.

A może z Ritą rzeczywiście jest coś nie tak, ma jakąś usterkę mentalności? Przecież rozdaje tę energię za darmo, a jeszcze zostaje jej tyle, że ciągle przyspiesza.

Więc nawet nie pytam jej terapeutów, neurolożki i trenera, czy zdobędzie medal, tylko zastanawiam się, kiedy. ●

Miłosz Kędracki

• założyciel i wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „bikeBoard”, najstarszego (na rynku od 1996 r.) i największego w kraju czasopisma rowerowego, aktualnie mentor i konsultant. Jedyny zagraniczny członek jury prestiżowej nagrody Eurobike Award

Polemika w sprawie
leków psychiatrycznych

BRAĆ Czy NIE BRAĆ

Pytam pacjentów, czy w rodzinie ktoś miał depresję. I słyszę: „Babcia potrafiła się położyć na parę tygodni”. Kiedyś się tego nie nazywało i nie leczyło.



Z PROF. DR HAB.N.MED. AGATĄ SZULC, PSYCHIATRĄ, PREZES-ELEKT POLSKIEGO TOWARZYSTWA PSYCHIATRYCZNEGO, KIEROWNIK KLINIKI PSYCHIATRYCZNEJ W WARSZAWSKIM UNIWERSYTECIE MEDYCZNYM ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

AGNIESZKA JUCEWICZ: Po rozmowie, którą przeprowadziłam z prof. Katarzyną Prot-Klinger o książce Roberta Whitakera „Zmącony obraz. Leki psychotropowe i epidemia chorób psychicznych w Ameryce” dostałam z Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego propozycję rozmowy z panią. Tak „aby móc przedstawić nieco inną perspektywę na rolę leczenia farmakologicznego w psychiatrii.” Jak rozumiem, coś panią w tym wywiadzie zaniepokoiło?

PROF. DR HAB.N.MED. AGATA SZULC: Nie tylko mnie. Wiele osób w środowisku, również psychologów i psychoterapeutów. I nawet nie zaniepokoiło, a właściwie zdziwiło, że znów wracamy, bo to nie pierwsza dyskusja w tym duchu, do negowania wszystkiego, co się dzieje w psychiatrii od ponad 70 lat.

Książka Whitakera jest wybitnie antypsychiatryczna. Wynika z niej, że leczenie farmakologiczne nie tylko nie pomaga pacjentom, lecz wręcz jest szkodliwe.

I tak sobie pomyślałam: mamy za sobą 70 lat praktycznych doświadczeń leczenia

farmakologicznego w psychiatrii, to naprawdę szmat czasu. Leki są coraz skuteczniejsze. Badaniami naukowymi objęto wszystkie aspekty ich działania. A co pewien czas dyskusja o wartości ich stosowania wraca. Co więcej, wraca od takiego punktu, który nie uwzględnia tych wszystkich doświadczeń i współczesnych badań naukowych.

Z drugiej strony, od trzech, czy czterech lat w leczeniu otyłości stosujemy analogi GLP-1, jest na nie prawdziwy „boom”. Niektórzy przebakują o objawach ubocznych, jednak nikt nie kwestionuje stosowania tych leków, ani ich skuteczności.

Nie zgodziłabym się. Są krytyczne głosy o tego rodzaju terapiach.

– Ale na pewno nie ma aż takiej nagonki na nie. Bo to, co się obecnie dzieje wokół leków psychiatrycznych, i książka Whitakera się w to wpisuje, widzę jako atak na same podstawy ich stosowania w terapii zaburzeń psychicznych. A moim zdaniem udowodniły one swoją użyteczność ponad wszelką wątpliwość.

W „Zmąconym obrazie” autor przyjrzał się wielu badaniom nad lekami psychiatrycznymi.

Psychiatria przedstawiona przez Whitakera to jest jakaś amerykańska psychiatria z lat 50. ubiegłego wieku. **Już nikt tak nie leczy. U niego to dalej jest „Lot nad kukulczym gniazdem”**

– Jak się odsieje opinie czy artykuły, które wspierają tezę autora, rzetelnych badań zostaje naprawdę niewiele.

Jak brzmi ta teza, pani zdaniem?

– Ona mówi, że gdybyśmy nie leczyli pacjentów lekami psychiatrycznymi, to właściwie wszystkie te choroby albo same by ustępowały albo objawy by jakoś łagodniały.

Ja tak tego nie odczytuję. Whitaker zwraca uwagę głównie na to, jakie mogą być konsekwencje długofalowego przyjmowania takich leków, o czym praktycznie się nie mówi.

– A ja tak to odczytuję. Poza tym, żeby potwierdzić tezę, którą lansuje autor, należałoby wziąć tysiąc pacjentów nieleczonych farmakologicznie, obserwować ich od rozpoczęcia choroby bez żadnej interwencji, a potem porównać z grupą leczoną. To niemożliwe. Takie badania nie istnieją.

Jeden z głównych argumentów Whitakera, który moim zdaniem od początku jest błędny, brzmi, że mimo iż mamy leki, mamy coraz więcej zaburzeń psychicznych. Co oznacza, że te leki utrwalają problemy, zamiast je leczyć.

No, ale mamy też coraz więcej osób noszących okulary. Czy to oznacza, że okulary powodują rosnące wady wzroku? Nie. Czy jak przestaniemy je nosić i będziemy źle widzieć, to znaczy, że okulary szkodzą? Też nie! A to jest kolejny jego argument, że czę-

sto to odstawienie leków odpowiada za nawrót objawów, a nie sama choroba.

Wiadomo, że leków nie wolno odstawiać nagle. Trzeba to robić powoli, pod kontrolą lekarza. Jeśli robi się to właściwie, objawy mogą w ogóle nie wystąpić, albo mogą trwać tydzień, czy dwa.

Natomiast nieprawdą jest, jak pisze Whitaker, że objawy z odstawienia można mieć przez kilka miesięcy, czy nawet rok. To jest po prostu niemożliwe.

Chodzi o to, żebyśmy nie wpadali w skrajności.

W skrajności? Przecież Whitaker pisze: „Leki psychotropowe bywają skuteczne w krótkiej perspektywie, w dłuższej zapewniają niektórym pacjentom korzyści...”

– ...tu się akurat zgadzamy.

„...ogólnie jednak na przestrzeni czasu powodują pogorszenie się stanu pacjentów cierpiących na ciężkie zaburzenia psychiczne. Zwiększają prawdopodobieństwo, że choroba stanie się przewlekła.”

– Dlatego uważam, że jeśli Whitaker głosi takie tezy, to generalnie więcej jest z tej książki społecznej szkody niż pożytku.

Na szczęście, pacjenci są mądrzejsi od nas wszystkich razem wziętych – psychiatrów i antypsychiatrów. Jeśli pacjent czuje się dobrze na lekach, jeśli może wrócić do pracy i odzyskać kontakt emocjonalny z bliskimi, to ani mu w głowie je odstawiać. Nikt go do tego nie przekona – żadna książka, ani żadna dyskusja w internecie.

Whitaker krytycznie odnosi się też do tego, że pierwsze leki psychiatryczne były wynalezione z myślą o leczeniu jednej choroby, dajmy na to gruźlicy, a ostatecznie stosowano je do leczenia innej, czyli choroby psychicznej.

Mówi pani teraz o iproniazydzie, pierwszym leku przeciwdepresyjnym?

– Na przykład. Tylko że tak działa medycyna. Przecież penicylinę, czyli pierwszy antybiotyk, opracowano, bo Alexander Fleming przypadkiem odkrył, że pleśń leczy rany. I nie chciałabym teraz wchodzić w to, czy Big Pharma nas wszystkich przekupuje, czy nie, bo to jest absurdalna i żalosna dyskusja. Big Pharma ma swoje plusey i minusy, ale akurat w Europie mamy mnóstwo ograniczeń, jeśli chodzi o wprowadzanie nowych leków czy wypisywanie recept. W Stanach Zjednoczonych, po kryzysie opioidowym, zresztą również. Poza tym nikt, żaden rząd, nie wyda tyle pieniędzy na badania nad ośrodkowym układem nerwowym co firmy farmaceutyczne, niestety. Bo to są olbrzymie pieniądze. Nie jest też tak, że jak przyjdzie do mnie przedstawiciel jakiejś firmy i powie, że lek, który ma w ofercie, jest wspaniały, to zacznę go bezrefleksyjnie wypisywać. Nie znam psychiatrów, którzy by to robili.

Trzeba też pamiętać, że książka Whitakera jest o Stanach Zjednoczonych, o tamtym systemie leczenia i pacjentach.

To prawda, nasze okoliczności są inne. Jednocześnie przeblýski pewnych zjawisk znanych tam, na przykład przepisywanie na dużą skalę leków przeciwdepresyjnych, zażynamy obserwować i u nas. Z danych OSOZ (Ogólnopolskiego Systemu Ochrony Zdrowia) wynika, że w 2002 roku Polacy kupili 9,48 milionów opakowań leków przeciwdepresyjnych. W 2022 – już ponad 30 milionów. Przybywa też osób, które biorą tego typu leki długo. Gdybym była pani pacjentką i chciała się dowiedzieć, jakie mogą być konsekwencje tego, że będę brała te leki trzy, pięć lat albo i dłużej, to co by pani powiedziała?

– Zacznijmy od tego, że jeśli pacjent zgłasza się z pierwszym epizodem depresji, to najczęściej te leki przepisujemy na od pół roku do roku. Dalej, badania pokazują, że jeśli chodzi o wpływ leków przeciwdepresyjnych na ośrodkowy układ nerwowy, to trwale

szkody nie występują. To znaczy, nie tak łatwo jest uszkodzić mózg takimi lekami. Już łatwiej – dużą dawką paracetamolu. Nie tylko zresztą mózg, również wątrobę. Objawy uboczne leków przeciwdepresyjnych oczywiście są, na przykład: zaburzenia funkcji seksualnych, przyrost wagi, zaburzenia elektrolitowe – z rzadka. Czasami bezsenność. Niepokój, głównie na początku. Zdąrza się, że pojawia się osteoporoza. Jednak jeśli chodzi o sam ośrodkowy układ nerwowy – są bezpieczne. Z tego rodzaju leków najdłużej w organizmie utrzymuje się fluoksetyna.

Najczęściej znana jako prozac.

– Tak. Ale po 30 dniach od jej odstawienia nie ma po niej śladu. Mózg pod jej wpływem się nie zmienia. Są badania neuroobrazowania, o czym w ogóle z tego co pamiętam Whitaker nie pisze, w których robi się skany mózgu przed leczeniem takimi lekami i po. Nie zaobserwowano w nich zmian, które byłyby nieodwracalne. W mózgu nie robią się żadne „dziury”. Dla porównania, weźmy choćby leki onkologiczne, które mają oczywiste plusy, ale też i masę minusów. Ostatecznie jednak i tu – włosy odrastają, morfologia się poprawia. Nie jest tak, że ma się wszystko uszkodzone na „amen”.

Whitaker, powołując się na badania psychiatrów Giovanniego Favy i Riffa El-

poczuc lepiej. Nie chcę tak długo czekać na efekty.” I ja się staram podążać za pacjentem. Za tym, czego on sobie życzy i jak to widzi. Mówię też o efektach ubocznych, które mogą wystąpić, ale nie muszą. O tym, co się może dziać, kiedy sytuacja się ustabilizuje i będzie można spróbować leki odstawić. Że potrzebny jest na to czas, żeby pacjent nie wpadł w panikę, jak przez chwilę poczuje się gorzej, i tak dalej. To wszystko jest do omówienia.

Chodzi mi o to, że psychiatria przedstawiona przez Whitakera to jest jakaś amerykańska psychiatria z lat 50. ubiegłego wieku. Już nikt tak nie leczy. U niego to dalej jest „Lot nad kukulczym gniazdem”. Poza tym, w Stanach Zjednoczonych dopuszcza się reklamy leków psychiatrycznych, owszem. Swego czasu reklamowano nawet morfinę, ale w Polsce takie reklamy są zabronione. W Stanach jest bardzo ograniczony dostęp do opieki psychiatrycznej, w Polsce mamy w tej chwili reformę psychiatrii i ta dostępność się zwiększa. W Stanach po tym, jak zamknięto duże szpitale psychiatryczne, wielu pacjentów wymagających leczenia znalazło się na ulicy bądź w więzieniach. Nie możemy opisu tamtej rzeczywistości przykładać do naszej.

Zgadzam się. Niepokoi mnie jednak inny wątek poruszony przez Whitakera, który pojawił się i u nas, czyli łatwość z jaką

Tłumaczę, że na męża tabletki nie ma. Ale co zrobić, kiedy pacjentka mówi: „Zostawił mnie mąż. Cierpię. Wiem, że któregoś dnia to minie, ale w tej chwili nie chcę się czuć tak jak się czuję”. Wtedy lek przeciwdepresyjny może pomóc

Mallakha pisze, że przy długim stosowaniu leków przeciwdepresyjnych mózg się do nich adaptuje, w skutek czego traci, mówiąc w uproszczeniu – naturalną odporność. Do tego, jak dowodzą badacze, przed upowszechnieniem się tego typu leków lekooporność pojawiała się u 10-15% pacjentów, piętnaście lat później już u 40%.

– Ale można też znaleźć dużo badań, które pokazują, że po lekach przeciwdepresyjnych poprawia się neuroplastyczność, czyli zdolność mózgu do odbudowy. Neuroplastyczność jest przeciwieństwem neurodegeneracji, czyli procesów starzenia się mózgu.

Czyli, jeśli pacjent spyta, czy może przyjmować te leki do końca życia, odpowiedź brzmi: tak?

– Jeśli pacjent czuje się dobrze, a poprawa jest trwała, to nie ma to uzasadnienia. Chyba, że mamy do czynienia z bardzo często nawracającą depresją, z myślami samobójczymi, z trudnym funkcjonowaniem. Wtedy może się zdarzyć, że pacjent będzie brał te leki do końca życia, tak. Pod warunkiem, że będzie się dobrze na nich czuł. Bo nie chodzi o to, żeby je brał i czuł się źle, prawda? Nam przecież chodzi o to, żeby pacjent nie cierpiał i się tak nie męczył. Lek jest też czasem po to, żeby w ogóle można było wstać z łóżka.

Bardzo często jest jeszcze tak, że pacjent przychodzi, przedstawiam mu ofertę pomocy – że tu warto skorzystać z psychoterapii, na którą zwykle trzeba poczekać, za dbać o właściwą dietę, aktywność fizyczną, sen. A pacjent na to: „Ale ja się chcę szybko

przepisuje się leki psychiatryczne. Pani przedstawia pacjentom różne możliwości, mówi jasno o skutkach ubocznych, ale znam wielu pacjentów, którzy nigdy nie mieli takich rozmów ze swoimi lekarzami.

– To jest kwestia edukacji – społeczeństwa, jak również lekarzy. Whitaker pisze też na przykład o benzodiazepinach, czyli silnych lekach uspokajających, które były lekką ręką przepisywane przez amerykańskich psychiatrów. W Polsce, psychiatrzy wśród lekarzy innych specjalizacji są w tej chwili grupą, która chyba najrzadziej wypisuje tego typu leki. Zajęło to jakieś 20-30 lat zanim się wszyscy połapali, jak są uzależniające, jednak dziś ta wiedza jest powszechna. Oczywiście, nie jest tak, że już nigdy nikomu nie przepisujemy żadnej benzodiazepiny, bo są osoby, którym w krótkim okresie one bardzo pomagają, lecz uczymy się. Tak jak dość szybko nauczaliśmy się, że pacjenci się uzależniają od popularnych swojego czasu silnych leków nasennych. Naprawdę dużo się przez te ostatnie siedemdziesiąt lat dowiedzieliśmy.

Wracając do leków przeciwdepresyjnych. Sporo się teraz mówi: – A po co te leki? Wróćmy do natury! Grzybki, czyli psylocybina to świetna terapia depresji! Tylko zwróćmy uwagę, na jaki system w układzie nerwowym działa? Na ten sam, na który działają leki przeciwdepresyjne, czyli na system serotonergiczny. Bo już w bardzo wielu badaniach dowiedziono, że jest on powiązany z odczuwaniem emocji, w tym lęku i, że oddziaływanie na ten układ ma wpływ na leczenie depresji i zaburzeń lękowych.

Tylko nie bardzo wciąż wiemy, jak to wszystko działa. Poza tym, że serotoninowa teoria depresji, czyli fakt, że za depresję odpowiedzialny jest niedobór serotoniny w mózgu została obalona.

– Cały czas to badamy, jednak wiemy coraz więcej. Na marginesie, badania nad psylocybiną pokazują, że niektóre z tego typu leków działają neuroprotekcyjnie, czyli funkcjonowanie neuronów dzięki nim się poprawia. Wiele dobrego się dzieje w psychiatrii. Na przykład, mamy świetnie udokumentowane fińskie badania, które dowodzą, że pacjenci przyjmujący leki przeciwpsychotyczne żyją dłużej niż pacjenci nie przyjmujący takich leków, czyli zupełnie przeciwnie do tego, co twierdzi Whitaker.

Powiem tak, odebrałam jego książkę ośobiście, może aż za bardzo – jako jednostronną opowieść, a przez to niesprawiedliwą. Na przykład historie o pacjentach ze schizofrenią, którzy bardzo źle się czuli na lekach, odstawili je i poczulili się świetnie. Nikt nie mówi, że tak się nie zdarza...

...ale?

– Reguła jest inna. Powiedzmy, że przychodzi pacjent, który miał pierwszy epizod psychotyczny. Trafił do szpitala. Po roku, dwóch, bo takie są zalecenia między innymi Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, próbujemy odstawić leki. Pacjent czuje się spokojny, choroba minęła. Robimy to

powoli. Po czym, po czterech, pięciu miesiącach objawy wracają. Whitaker by powiedział, że to efekt odstawienia leków, ale to nieprawda. Jest to ewidentny nawrót choroby. I po takim doświadczeniu, wielu pacjentów nie chce już rezygnować z leków, tak się boją kolejnego nawrotu. Pacjenci, w większości przypadków, jeśli dobrze się czują na lekach, nie chcą niczego zmieniać.

Dlatego uważam, że taka książka jak Whitakera, czy dyskusja wokół niej nie są niebezpieczne dla pacjentów.

– W ogóle tak nie twierdzę. Bardziej się martwię tym, że pacjent przeczyta w internecie, że zjedzenie muchomora mu pomoże i w to uwierzy. Albo, że wizyta u wróżki go uleczy.

Pacjenci w większości znają siebie. Wiedzą, czy coś im służy, czy nie. Oczywiście, jest też grupa, która i tak odstawi leki, i żąda dyskusja czy książka nie będzie mieć na to wpływ. Ale to osobny temat.

Widzi pani jakieś zagrożenia wynikające z tego, jak jest dziś praktykowana psychiatria w Polsce?

– Jeżeli już coś mnie niepokoi, to ten „boom” antypsychiatryczny, który obecnie obserwuję.

„Boom”?

– Może to za duże słowo, jednak zastanawiam się, skąd się biorą te różne głosy negujące leczenie psychiatryczne. Radio Tok-Fm wystartowało niedawno z podcastem pt. „Zbrodnie lekarzy dusz” – o nieetycznych eksperymentach i terapiach. To pokazuje ten kierunek, prawda?

Wiadomo, w psychiatrii było mnóstwo błędów. Weźmy choćby lobotomię. W Stanach Zjednoczonych stosowano ten zabieg na pewno zbyt długo, ale w Europie, po pierwsze, on za bardzo się nie przyjął. Po drugie, szybko został potępiony. Jednak jeśli spojrzymy na leczenie elektrowstrząsami, które jest takim chyba najbardziej obciążonym stygmatyzacją zabiegiem i o którym też można by pewnie wiele złego powiedzieć, to często się zapomina, że są ludzie, którym ratuje on życie. Dosłownie.

W tych wszystkich dyskusjach musimy znaleźć jakiś rozsądek – w informowaniu, w edukowaniu, w rozmowach z dziennikarzami też.

Doszła pani do tego, skąd się biorą te antypsychiatryczne, czy też antyfarmakologiczne głosy?

– No właśnie nie. Zwłaszcza, że przecież Polacy uwielbiają leki. Mamy suplementy na wszystko. Jeszcze ta głowa dobrze nie zabolę, ale już na wszelki wypadek sięgamy po lek. Tymczasem nikt nie mówi, jaki bardzo ten popularny lek na ból głowy jest szkodliwy, ile ma efektów ubocznych. Nikt też nie mówi o tym, że stosujemy stanowczo za dużo antybiotyków. Tylko coś z tymi lekami psychiatrycznymi jest nie tak.

Bo naprawdę dużo ich zażywamy.

– Dobrze, to wróćmy do tego. Edukowaliśmy lekarzy rodzinnych tak, żeby oni też mogli zacząć leczenie, na przykład u pacjenta z objawami depresji, skoro do psychiatry trudno się dostać. Być może rzeczywiście niektórzy z nich zbyt po prostu zaczęli te leki przepisywać? Choć z drugiej strony do mnie trafiają pacjenci już z tak ogromnym cierpieniem, że rzadko komu nie włączam farmakoterapii. Nie mówiąc o tym, że wiele osób zgłasza się z problemami czysto rodzinnymi, w związku, zawodowymi. Przychodzą z czymś, na co tak naprawdę nie ma tabletki. Tłumacząc: na męża tabletki nie ma, na szefa też nie ma. Ale co zrobić, kiedy pacjentka mówi: „Został mi mój mąż. Bardzo z tego powodu cierpię. Wiem, że któregoś dnia to minie, ale w tej chwili nie chcę się czuć tak jak się czuję. Bardzo proszę o pomoc”. Wtedy lek przeciwdepresyjny może pomóc. A jak sytuacja się wyciszy, to go odstawiamy.

Czy taka pacjentka ma depresję? Nie. Albo inaczej, ma depresję, którą kiedyś nazwalibyśmy „reaktywną”, czyli taką, która się pojawia w odpowiedzi na konkretną sytuację. Niezależnie od tego, jak to nazwiemy, ewidentnie cierpi. I chodzi o to, żeby jej ulżyć.

Niewątpliwie, problemów psychicznych jest coraz więcej. Nie tylko zresztą u nas. Składa się na to wiele różnych czynników.

Na przykład, jakie?

– Zmieniła się jakość relacji. W ciągu ostatnich 30 lat nastąpił niesamowity skok, który polega na cyfryzacji niemal każdej sfery życia. Co zmieniło i sposób, w jaki ludzie się komunikują, i sposób, w jaki są ze sobą, po prostu. W Polsce dodatkowo przeskoczyliśmy mnóstwo etapów, które w innych społeczeństwach następowały wolniej. Po traumie wojennej wpadliśmy prosto w rzeczywistość socjalistyczną, też nienormalną. A potem, znów raptownie, w kapitalizm. Na przestrzeni bardzo krótkiego czasu świat zmienił się diametralnie i przyspieszył. A to ma swoje konsekwencje.

Wiadomo też, że to co się dzieje w rodzinie, ma kolosalne znaczenie. A u nas ten proces zmian, na poziomie emocjonalnym, wyglądał mniej więcej tak: pokolenie naszych rodziców, dziadków – to wojenne – nie bardzo umiało rozpoznawać i rozmawiać o emocjach. Kolejne pokolenie zaczęło te emocje powoli odkrywać i się z nimi konfrontować. No a teraz mamy pokolenie, to najmłodsze, u których te emocje są już w ogóle takie silne. Bo dużo się zaczęło o nich mówić, ale już znacznie mniej mówi się o tym, jak sobie z nimi radzić. Nie wspominając, że są badania, które pokazują, że pokolenie, które doświadczyło traumy, cierpi mniej niż te następne.

Kolejnym czynnikiem jest to, że my po prostu więcej tych problemów zauważamy. To jest już wyświechtany argument.

Ale ważny?

– Bardzo. Często pytam pacjentów, czy w rodzinie ktoś miał depresję na przykład, bo to jest istotna informacja. I słyszę: „Babcia potrafiła się położyć na parę tygodni. Mówiła, że źle się czuje i nie wstawała. Ale, czy to była depresja? Nie wiem. Wtedy się o tym nie mówiło.” Albo: „No, mój dziadek się powie-

sił”. Dlaczego? Też nie wiadomo. Więc to nie jest tak, że kiedyś się nic nie działo. Działo się, tyle, że się tego nie nazywało i nie leczyło. A dziś już się to nazywa. Coraz więcej młodych ludzi się na przykład samookalecza, ale wiem też, że rozmawiają o tym ze sobą.

I co pani myśli, kiedy o tym słyszy?

– Że kiedyś taka rozmowa byłaby niemożliwa. Ale też, że coraz więcej osób nie radzi sobie z emocjami i, że internet zbytnio w tym nie pomaga. W takim sensie, że media społecznościowe nagłaśniają takie rzeczy. To znaczy, każdy dziś może się tam pokazać, a nawet zrobić z takiego cięcia coś „fajnego”. Pociąć się przed kamerą, na przykład. I mieć z tego tak zwany fejm, więc te zmiany naprawdę są ogromne.

Z dobrych rzeczy, co by nie mówić o opiece psychiatrycznej, na przykład w porównaniu do takich Stanów Zjednoczonych, u nas naprawdę nie jest źle. W szpitalu psychiatrycznym, który stał się takim chłopcem do bicia, pomoc znajdzie się zawsze, 24 godziny na dobę – czy ktoś jest ubezpieczony, czy nie, ma pieniądze, czy nie, jest cudzoziemcem, czy nie. Ustawa daje dostęp do leczenia psychiatrycznego każdemu.

Czy pani zdaniem zaburzenia psychiczne takie, jak na przykład depresja, da się leczyć bez leków?

– Oczywiście. Pytanie, jakie jest nasilenie tej depresji. Bo wszystkie badania na temat skuteczności tych leków pokazują, że im depresja jest głębsza i poważniejsza, tym mają one lepszą skuteczność w porównaniu do placebo. Nie jest tak, że 100 proc. pacjentów z depresją powinno przyjmować te leki i z pewnością tak się nie dzieje. Także dlatego, że pacjenci mają różne podejście.

Na pewno zwiększyła się świadomość pacjentów, o co nam przecież chodziło. Pytanie tylko, czy to nie zaczęło w pewnym momencie iść w złą stronę...

Z jednej strony świadomość rośnie, jeśli chodzi na przykład o rozpoznawanie objawów depresji, a z drugiej – gdzieś niegdzie jest w tym jakaś przesada. Na przykład pewne zachowania, czy objawy

postrzega się jako patologiczne, chociaż takie nie są.

– To miałam, między innymi, na myśli. Dlatego widać, że trzeba dalej edukować i robić to z rozsądkiem. Ja, na przykład, zawsze byłam za tym, żeby osoby znane, które mają problemy psychiatryczne i się leczą, o tym opowiadały. Bo to otwiera i zbliża. Jednak coraz częściej kiedy ktoś znany, na przykład popularna influencerka opowiada o swoich objawach i stwierdza: „mam depresję”, to w tym, co mówi nie bardzo tę depresję widać. Oczywiście, trudno mi to powiedzieć z całą pewnością, bo nie znam tej osoby. Chodzi mi tylko o to, że dziś niektórzy dopisują do tego, co jest, coś czego nie ma, jakby na wyrost.

Czy jest coś jeszcze, co by pani chciała, żeby padło w tej rozmowie?

– Na pewno to, żeby pacjenci się nie bali leczenia, nie bali się pójść do psychiatry. I żeby pamiętali, że zawsze mają prawo zapytać o to, jak te leki działają, jakie są ich skutki uboczne. Jeśli chcą to wiedzieć, bo nie zawsze chcą. Czasem słyszę: „Niech mi pani nic nie mówi o tych lekach. Przychodzę do pani jako do specjalistki i proszę mi po prostu wypisać receptę”.

Z czego to może wynikać?

– Na przykład z tego, że pacjenci są przyzwyczajeni, że tak jest też u innych lekarzy. Nikt z nimi o tym nie dyskutuje. „Ma pan leki, do widzenia”. I tu oczekują, że będzie podobnie.

Ma pani poczucie, że ludzie naprawdę wciąż boją się pójść do psychiatry?

– To jest bardzo częste. Samych leków też często się boją. Mówią, na przykład: „Ale leków to bym nie chciał, nie chciała”. I wtedy rozmawiamy – jakie są możliwości, czy uważam, że ich potrzebują. Jeśli tak, to wyjaśniam, dlaczego tak uważam. A potem pacjentki się na nie decyduje albo i nie. Chodzi o to, żeby nie zakładać z góry, że te leki są jakies straszne. Bo właśnie to jest chyba największe niebezpieczeństwo tych wszystkich antypsychiatrycznych narracji – umacniają opowieść o tym, że „psychotropy” to samo zło. A jak ktoś je bierze, to chodzi nieobecny, senny i do niczego się nie nadaje. A to po prostu nieprawda. ●

Pan i Pani Szmydt

Oraz dokumenty ministerstwa Ziobry. „Mogłam z nimi zrobić, co chciałam”

Kublik



6 maja Tomasz Szmydt ujawnił się jako zbieg na Białoruś. Jego wystąpienie w reżimowych mediach to klasyczna ustawka. Sędzia pochwalil Białoruś jak i „otwarty i przyjazny kraj”. I napadł na swoją ojczyznę za prowadzenie „przez władze RP niesprawiedliwej i krzywdzącej polityki wobec Republiki Białorusi i Federacji Rosyjskiej”.

Szmydt to sędzia Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, orzekal w Wydziale ds. Informacji Niejawnych, rozstrzygał sprawy dotyczące certyfikatów bezpieczeństwa.

Premier Tusk mówił we wtorek, że „relacje sędziego z Białorusinami mają długą historię, nie jest to kwestia ostatnich miesięcy, musi budzić nasz najwyższy niepokój. Musimy mieć świadomość, że służby, w tym przypadku

białoruskie, pracowały z osobą, która miała dostęp bezpośredni do ministra sprawiedliwości, która miała dostęp do informacji, do których żaden wywiad nie może mieć dostępu”.

Eksperci właśnie oceniają, jak bardzo Szmydt zaszkodzi naszym służbom.

Historia awansu Szmydta jest silnie sprzężona z aferą hejterską w ministerstwie sprawiedliwości. Stała za nią „Mała Emi” – Emila Szmydt. Co rzuciła nowe światło na to, do jakich jeszcze dokumentów i informacji mógł mieć dostęp. Bo „Mała Emi” prawie przez trzy lata, do połowy 2018 r., ściśle współpracowała z wysokimi urzędnikami ministerstwa Ziobry, neo-KRS, nowymi sędziami Sądu Najwyższego i nowymi prezesami sądów.

I robiła to razem ze Szmydtem. – Mnie nie było w grupie „Kasta” na WhatsAppie ([tu się hejterzy dogadywali, kogo i jak zniszczyć], ale wiem, co tam się działo, bo dostawałam niektóre screeny z rozmów od sędziego Cichockiego lub czytałam je w telefonie męża, który sam mi je pokazywał – opowiadała „Mała Emi” „Wyborczej”.

A co Pani Szmydt pokazywała Panu Szmydt? Bo miała co pokazywać. Miała np. dokumenty ze spraw dyscyplinarnych sędziów. – Była lista sędziów i prawników, którzy wiosną 2018 r. pojechali do Brukseli na spotkanie z Komisją Europejską, z wiceprzewodniczącym Timmermansem. Przeważnie były to dokumenty ze stemplami i ręcznymi uwagami, np. ministra Piebiaka, w żaden sposób nie zamazane. Mogłam z nimi zrobić, co chciałam.

Pan Szmydt był żonie pomocny: „Jak np. nie wiedziałam, jak coś napisać, bo nie jestem prawnikiem, to często konsultowałam się z mężem. Doradzał mi, jak coś poprawnie sformułować”.

Ministerialne dokumenty dostawał od Pani Szmydt choćby Wojciech Biedroń z portalu wPolityce.pl braci Karnowskich. Dziś odcinają się od Szmyd-



Bracia Karnowscy nie pamiętają sędziego Szmydta. Ale w internecie nic nie ginie

ta, nie pamiętają go. Ale w internecie nic nie ginie i można odnaleźć ekskluzywne wywiady ze Szmydtem w portalu Karnowskich.

Pani Szmydt utrzymuje, że robiła to dla Pana Szmydta. – Wiedzieli [w ministerstwie], że bardzo mi zależy na karierze męża. Kuba [Iwaniec, bliski współpracownik Łukasza Piebiaka, wiceministra u Ziobry] mi obiecał, że Tomek zostanie w ministerstwie i albo awansuje, albo dostanie delegację do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Dlatego tak mocno o to walczyłam – opowiadała nam.

I wywalczyła: został dyrektorem prawnym w KRS i dostał delegację do NSA. A Pan Szmydt walczył o Panią Szmydt. Zeznał w sądzie, że rozmawiał z Piebiakiem o umieszczeniu żony formalnie w u Ziobry. Bo nieformalnie już pracowała na cały etat.

I pomyśleć, że to ekipa Kaczyńskiego chciała politycznie „zabić” Tuska komisją o ruskich wpływach. A ludzie służb specjalnych Kaczyńskiego się upierali, że mieli Pegasusa, bo chcieli łapać szpiegów. ●

Agnieszka Kublik

PORNO

Z DR EWĄ
STUSIŃSKĄ*,
BADACZKĄ
PORNOGRAFII
ROZMAWIA
AGA KOZAK



• Myriam Ben Mohad pracuje nad luksusową silikonową lalką wartą co najmniej 8 tys. euro. Razem z siostrą Siham prowadzą małą firmę Doll Story na przedmieściach Lyonu FOT. JEAN-MARIE HOSATTE/GAM-MA-RAPHO VIA GETTY IMAGES

BEZ UCHA



Idealem są zapętlone, króciutkie filmy, trochę TikTowe, które układa się w serii na potrzeby niekończącej się masturbacji.

AGA KOZAK: Pani doktor, co tam nowego w porno?

DREWA STUSIŃSKA: – Jak co roku Pornhub opublikował najnowsze statystyki dotyczące globalnych trendów – Pornhub Insights – i okazało się, że odchodzimy od dominującego bardzo długo kultu młodości. Na czoło wyszukiwań wysuwa się kategoria: „mature” – dojrzałość – którą serwis podsumował jako „the Golden Age”. A wraz z nią wzrost wyszukiwań gorących „mamusiek”, „tatušków” czy nawet „babć”. To duża ulga, wręcz powiew świeżości w stosunku do tego, co było dotychczas – czyli supermłodych ciał, jakich domagali się konsumenci, a serwisy dostarczały, balansując na cienkiej granicy tego, co legalne, konsensualne i akceptowalne.

Coś jeszcze?

– Relatywnie nowa kategoria na Pornhubie – w dodatku w stosunku do minionego roku notująca wzrost w wyszukiwaniach o 1689%! – to „sexmachines, androids, sex robots”. To nie tylko wynik mody na science fiction i filmy w rodzaju „Ex Machina” czy „Westworld”. Trend zaczął być zauważany w okolicach 2018 r., po tym jak jedna z bardziej znanych amerykańskich firm produkujących sekslalki (Abyss Creation) – zaproponowała ich wersję zrobotyzowaną.

Model robocicy Harmonii ruszał głową, gałkami ocznymi, ustami – w pewnym sensie wyrażał emocje – a przede wszystkim mówił.

Choć myśl o stworzeniu idealnej partnerki, która spełni wszystkie męskie fantazje sięga mitu o Pigmalionie i doczekała się niezlicznych realizacji w literaturze czy filmie, dopiero firma z San Marcos zrobiła faktyczny pierwszy krok w kierunku stworzenia sztucznej, syntetycznej partnerki, dostępnej dla każdego w sprzedaży online.

Silikonowe ciało, do złudzenia przypominające prawdziwe, z naturalną w dotyku skórą, z przebarwieniami i piegami typowymi dla ludzkiej. W dodatku zostało wzbogacone o komponent sztucznej inteligencji, umożliwiający naturalne rozmowy. Kolejne badania (np. Connora Leshnera i Jessici Johnson z 2023 roku) pokazują, że ludzie są zainteresowani nawiązaniem intymnego kontaktu z robotami.

A David Levy, jeden z największych propagatorów robotów seksualnych, prognozuje, że w 2050 roku związki ludzi z maszynami będą powszechne.

Zastanawiam się jednak, na ile zaakceptujemy te nowe technologie w najintymniejszych sferach naszego życia. Nie tylko jako pracowników fizycznych, opiekunów osób starszych, ale też naszych kochanków/kochanki czy partnerów/partnerki. Z pewnością problem samotności już teraz jest dojmujący, a statystyki pornograficzne nie tylko odzwierciedlają społeczne zmiany, ale też pokazują pewne nowe trendy.

Czy jeśli powiem, że to jakby z jednej strony dojrzewająca do prawdy, godząca się z rzeczywistością „natura”, z drugiej ucieczka od rzeczywistości w technoswiat i „kultura”, to będę mieć rację?

– Pornografia – jak i kultura – nigdy nie była monolitem. Nie może być, skoro co drugi mężczyzna i co trzecia kobieta na świecie oglądają pornografię, trudno byłoby znaleźć coś, co ich wszystkich łączy. Z pewnością fakt konsumowania pornografii na taką skalę działa w dwie strony. Nie tylko odzwierciedla głębsze globalne trendy, ale też wpływa na samych konsumentów.

Dzięki badaniom na temat hiperseksualności prowadzonym przez doktora Mateusza Gołę, problemy związane z nadużywaniem pornografii znalazły się po raz pierwszy w klasyfikacji chorób, ICD-11, tworzonej przez Światową Organizację Zdrowia. Tzw. kompulsywne zachowania seksualne – wśród których mieści się również uzależnienie od pornografii – zostały wyodrębnione w 2018 roku, wcześniej w ogóle tego nie definiowano i diagnostycy czy lekarze, chociaż zauważali pewne problemy, nie mieli odpowiednich kryteriów, żeby taki problem wykryć, a następnie móc z nim coś zrobić.

Dzięki polskim badaniom zaczęto zwracać uwagę na niewłaściwą konsumpcję pornografii jako szerszy problem społeczny. Takie zachowania zostały umieszczone w grupie, w której działa podobny mechanizm, jak w przypadku uzależnienia od hazardu, czy substancji. Co ciekawe, nie ilość, ale jakość korzystania z pornografii ma tu największe znaczenie. Nawet jeśli ogląda się tego typu materiały przez kilka godzin dziennie, ale nie ma to wpływa na pracę czy nie koliduje z relacjami, nie ma powodu, by uznać to za zaburzenie.

Istotne jest czy pornografia służy regulowaniu napięcia, emocji stresu? Czy prowadzi do poczucia utraty kontroli nad swoim zachowaniem albo czy trudno ją nam odstawić? To powinno zaniepokoić.

Trochę to nas nakierowuje na odwieczne pytanie – obrazki kopulujących osób odnaleziono już w Pompejach, większość dzieł sztuki z rozebranymi osobami, choćby miały one zabarwienie mitologiczne czy nawet religijne też służyły konkretnym celom. To czy pornografia jest dla nas dobra czy zła? I czy ma znaczenie, jakie medium ją nam dostarcza?

– Przynajmniej od pół wieku toczą się dyskusje, czy pornografia sama w sobie jest zła czy dobra. Czy wpływa negatywnie na społeczeństwo, czy powoduje agresję seksualną i czy ma wpływ na ogólną przemoc.

Na podstawie badań, takich jak choćby metaanaliza Christophera Fergusona i Richarda Hartleya z 2020r., podsumowująca dekady prac uczonych od lat 70., jesteśmy w stanie powiedzieć, że nie ma wyraźnego związku między konsumpcją pornografii, a wzrostem przestępstw na tle seksualnym.

Wręcz przeciwnie, w danych populacyjnych zauważamy, że wraz z uprzemysłowieniem społeczeństwa i łatwiejszym dostępem do pornografii, liczba przestępstw na tle seksualnym maleje. Czyli wydawałoby się, że sama pornografia nie jest zła, jeśli oczywiście trafia do dorosłych osób, które

David Levy, jeden z największych propagatorów robotów seksualnych, prognozuje, że w 2050 roku związki ludzi z maszynami będą powszechne

mają na to ochotę. Natomiast mnie niepokoi coś innego...

Co?

– Komercjalizacja i globalizacja pornografii sprawiły, że pomimo masowości tego rynku, jego niezwyklego rozwoju technologicznego i kapitału, jaki generuje, nie doszło do proporcjonalnego wzrostu różnorodności przedstawień.

I nie chodzi mi o starą regułę 34 internetu, zakładającą, że „jeśli coś istnieje, jest z tym porno”, ale faktyczną różnorodność perspektyw, pragnień, tożsamości – coś, co Susan Sontag nazwała „wyobraźnią pornograficzną”. Co oddawałoby, jak złożoną sprawą jest podniecenie seksualne, które przede wszystkim zaczyna się w naszej głowie.

Tymczasem rynek został zdominowany przez 4-5 największych firm pornograficznych i narzucił ich sposób widzenia ludzkiej seksualności. Jedenasta najpopularniejsza strona w Internecie, Xvideos, odwiedzana jest miesięcznie przez ponad 3 miliardy ludzi i notuje większy ruch niż Netflix, Amazon, czy TikTok. WebGroupCzechRepublic (tak nazywa się właściciel Xvideos), MindGeek (m.in. Pornhub), OnlyFans i xHamster to porno giganci technologiczni, którzy zdominowali sposób pokazywania seksu – bardzo przemocowo, niekonsensualnie, uprzedmiotawiająco nie tylko kobiety. Pokazu-

W seksie międzyludzkiem trzeba się bo-wiem napracować: włożyć jakiś wysiłek, nie tyle nawet sportowo – biologiczny, ale paraemocjonalny, komunikacyjny...

– ...musi być miejsce, żeby się spotkać. Musi być czas, którego mamy coraz mniej. Do satysfakcjonującego seksu dobrze, żeby ciało było wypoczęte, a nieprzeciążone.

Choć seks odstresowuje. Ale żeby było ja-kościowo, lepiej nie być zestresowanym, a my w ciagle w pracy. W takim kontekście przytulanie staje się jakimś mega antykapitalistycznym wynalazkiem, prawie oldschoolem. A propos oldschoolu. Przechodziłam ostatnio koło kina porno i zadałam sobie sprawę, jak zmieniły się nasze sposoby konsumpcji tego gatunku: przecież kiedyś filmy erotyczne oglądało się razem!

– W swojej książce „Mila robótka. Polskie świerszczki, harlekiny i porno z satelity” opisuję historię, którą opowiedział mi prof. Mirosław Filiciak. To właśnie ona uzmysłowiła mi skalę inności doświadczenia seksualności na początku lat 90. To był czas, kiedy „porno fala z Zachodu” – jak śpiewał Franek Kimono – wlała się do nas szerokim nurtem bezpośrednio po tym, jak w 1989 r. zapowiedziano zniesienie cenzury.

Nauczyciele z pewnej szkoły umówili się w niej po godzinach, żeby razem obejrzeć film z wytwórni Teresy Orłowski. Wyobrazasz to sobie? Prawdopodobnie żadne

kosztuje – i z wytryskiem na brzuch lub piersi – bo widowiskowo.

– W czasie złotej ery porno lat 70. filmy były pokazywane w salach kinowych, miały duże budżety i często dużą publiczność. Były więc produkowane w konwencji np. historycznych obrazów kostiumowych o Rasputinie czy carycy Katarzynie z budżetami przekraczającymi milion marek, dzięki czemu różne typy osób mogły się pobudzić wolniej lub szybciej, tym lub tamtym. To wszystko zmieniło się wraz z nowymi nośnikami, a także nowymi kanałami dystrybucji. Za sprawą między innymi naszej rodaczki, która w kultowej serii „Foxy Lady” zrezygnowała z większości narracyjnych przerywników, a 80-minutowy film na kasie vhs oparła na serii kilkunastominutowych numerów seksualnych. Taka konstrukcja pozwalała na wielokrotne używanie tych samych materiałów w różnych firmowych mediach, tzw. produkcję krzyżową. Jedynym lepiszczem numerów seksualnych została Orłowski.

Wraz z nadejściem porno internetowego ograniczono długość filmiku jeszcze bardziej...

– ... i jeszcze bardziej dostrojono je do męskiego rytmu masturbacyjnego.

Aktualnie ideałem są zapętlone, króciutkie filmy, trochę TikTokiowe, które układa się w serii na potrzeby niekończącej się masturbacji, takiej, która nawet

– Myśli się powszechnie, że seks jest sferą zupełnie naturalną, że się po prostu wydarza – niezależnie od kultury. Że wchodząc w interakcję seksualną, realizujemy swoje „prawdziwe ja”, wyraża się „prawda naszej osobowości”, jakaś „głębia”.

Tylko podobnie jak z innymi wyborami w dobie kapitalizmu, niby mamy nieograniczone możliwości realizowania siebie, a w praktyce wszyscy zachowujemy się podobnie, oglądamy te same filmy i ubieramy się tak samo. Obawiam się, że to też dotyczy seksu, który staje się skonwencjonalizowany, na wzór tego, co dzieje się w filmach pornograficznych.

Istnieje schemat, mapa cielesna, arbitralnie oznaczająca strefy erogenne, które trzeba „zaliczyć” i jednocześnie takie, które się do tego nie nadają. Weźmy scenę z popularnej komedii „Nietykalni”, w której sparaliżowany Philippe przynajmniej swojemu asystentowi, jak ważną sferą erogenną są dla niego uszy, co wywołuje konwulsje śmiechu Drissa, a także publiczności.

W typowym scenariuszu pornograficznym ucho – choć to niesamowicie zmysłowa część ciała – nie odgrywa żadnej, nawet drugoplanowej roli, więc też nie poświęca mu się należytej uwagi. Istotny jest seks oralny, seks penetracyjny, seks analny, a także kilka pozycji, które zapewniają dobrą widzialność. Jakby ciało można było sprowadzić tylko do tych kilku punktów i ułożeń. Jakby istotniejsze było to, jak wygląda z zewnątrz, a nie to, jak reaguje i nas prowadzi. To wielka nuda w porównaniu z bogactwem indywidualnych ścieżek naszych rozkoszy.

Współczesne mainstreamowe porno bardzo często zamiast rozbudzać, ogranicza wyobraźnię seksualną. Formatuje seks.

Ale istnieją „wyspy wolności”: porno zaczynają tworzyć kobiety, zaczynają mówić o swoim przeżywaniu seksualności. Pojawia się postporn.

– Kobieca fala zaczęła się w latach 80., kiedy performerki i aktorki, takie jak Candida Royalle, Nina Hartley czy Annie Sprinkle – mające doświadczenie kilku lat pracy w branży – zaczęły domagać się innej pornografii, bliższej ich osobistemu doświadczeniu. Zdominowany przez mężczyzn przemysł był jednak zupełnie głuchy na te postulaty, dlatego same stanęły za kamerą i zaproponowały inny sposób opowiadania.

Stworzyły coś, co dzisiaj określa się mianem „pornografii dla kobiet” czy „pornografii feministycznej”, ale z czasem objęło również i inne mniejszościowe perspektywy: osób queer, transeksualnych, czarnych, z niepełnosprawnościami.

Na początku jednak pierwsze reżyserki i operatorki skupiły się na dynamice przeżywania orgazmu przez kobiety, większej zmysłowości, rozbudowanej grze wstępnej

... ale też szybko zderzyły się z gigantycznym problemem z dystrybucją swoich filmów, bo nie wpisywały się w potrzeby „typowego klienta”. Zresztą do tej pory alternatywnej pornografii raczej nie znajdziemy na darmowej stronie, ale na dedykowanych portalach – np. pinklabel.tv czy erikalust.com, na festiwalach, w niezależnych obiegach związanych z queerowymi sexshopami.

To kino jest też queerowe – bo pokazuje wielość sposobów na osiągnięcie rozkoszy, i wywrotowe.

– Wywrotowe jest na przykład to, że aktorzy poza wypełnianiem tak zwanej „NO list”, co jest typowe w przemyśle pornograficznym, czyli określaniu, na co się nie godzą i w jakiego typu scenach nie chcą brać udziału, określają tak zwane „YES list”, czyli co tak de facto chcieliby zrobić, czy z kim mieliby ochotę wystąpić.

W sumie wydaje się oczywiste, że aby scena seksu była wiarygodna, to warto by było robić coś, do czego się czuje jakąś energię, miętę. Więc rozwiązania, które wprowadzają Candida Royalle czy Erika Lust, sprawiają, że kiedy oglądamy te obrazy, możemy poczuć, a przy tym nie mieć z ty-

Dziś sceny seksualne zamieszczane są w zaledwie 1% filmów mainstreamowych. Niby stajemy się coraz bardziej liberalni, a jednocześnie kwitnie nowy purytyzm.

ją filmy w bardzo określonej stylistyce, w której liczy się nadmiar i dopaminowe podnoszenie stawki.

Czyli?

– Jeśli 20 lat temu hardcorem w pornografii był „międzyzrasowy” – jak to się określało – seks analny, to teraz standardem jest raczej podwójna lub potrójna penetracja, czyli taki typ przeciążenia cielesnego, którego zwyczajne, niewytrenowane ciało nie jest w stanie wytrzymać.

Jeśli poszukujesz treści pornograficznych dla siebie, niemal od razu trafisz właśnie na tego typu propozycje. Dużo się ostatnio mówi o tym, jak social media wpływają na nasze zachowania, na nasze relacje, a ciągle bardzo mało o tym, jak te dominujące firmy z gigantycznym kapitałem zglobalizowały pornografię i naszą erotyczną wyobraźnię.

Podobnie jak social media oddziałują poprzez odpowiednie dobieranie treści w newsfeedach, uzależniając nas od tych emocji.

I w efekcie mamy to, o czym mówią badania: że ludzie uprawiają coraz mniej realnego seksu.

– Paul Preciado, autor m.in. „Pornotopii” i „Testoćpuna”, świetnie to podsumował, mówiąc, że z perspektywy globalnego rynku najlepiej, by podniecenie odbywało się nie w intymnej przestrzeni międzyludzkiej, ale przy wsparciu techniki, farmacji i mediów. Mówiąc wprost: większy zysk niż przyczajona za wydmą para, generuje masturbujący się przed ekranem użytkownik serwisu pornograficznego, wzmacniający się tabletkami, podpięty do okularów VR. Nasze ciało zostało wprzęgnięte w maszynę kapitału, a „podniecenie, wzwód, wytrysk i rozkosz” stały się zasobami nowej ekonomii kapitalizmu.

z nich nie miało wtedy magnetowidu, a kasety z Zachodu cieszyły się powszechną estymą. Spotkali się więc przy korniszonku, wódeczce, śledziku, w międzyczasie w położonej nieopodal kuchni podgrzewał się bigos. Pan od matematyki, pani z geografii, wuefistka.

Takich anegdot o tamtych czasach jest więcej: osoby, które wcześniej niż inni miały odtwarzać VHS, pamiętają że zbierały się u nich całe rodziny na domowe kino. Repertuar zaczynał się od filmu dla dzieci czy młodzieży – jakiegoś „Beethovena” czy innego kina familijnego. Potem leciał film sensacyjny, pewnie ze Stallonem albo ze Schwarzeneggerem, a jak dzieci szły spać, włączało się „Kaligulę” albo jakąś parodię pornograficzną, na które wtedy była ogromna moda – filmy typu „Edward Penisoręki”.

Pełnometrażowe filmy pornograficzne oglądano rodzinnie – z teściową, kuzynami, rodzeństwem – co dziś nie mieści nam się w głowie.

To było tak skrajnie różne od tego, jak pornografię konsumujemy dzisiaj – w postaci krótkich filmików z internetowych serwisów, oglądanych indywidualnie na smartfonach.

Te filmy w latach 90. to była w pewnym sensie edukacja erotyczna, w sumie najgorsza: kino erotyczne przed Teresą Orłowski to było to kino, które Umberto Eco opisał w „Zapiskach na pudełku od zapalek”, że – parafrazując – „jeśli dotarcie z punktu A do punktu B zajmuje tyle czasu ile w rzeczywistości, to oglądają państwo film pornograficzny”. Owe filmy miały narrację, pokazywały owłosienie łonowe, grę wstępną. A potem przyszedł kapitalizm: kobiety miały być wygolone, żeby było lepiej widać „akcje”, która odbywała się bez pieczyt, bo po co – czas

nie kończy się wytryskiem, tylko po prostu trwa niczym haj podłączony pod strumień obrazków.

Co ciekawe dominacja wielkich serwisów wymusiła zmiany również na studiach pornograficznych, które – jak pokazało śledztwo Financial Times „Hot Money” – aby mogły liczyć na ochronę przed internetowym piractwem, musiały produkować materiały bardziej dostosowane pod internetowe algorytmy. Wszyscy staliśmy się zakładnikami klikalności.

Większość osób – przynajmniej w Polsce – uczy się seksualności nie w szkołach, nie dzięki literaturze erotycznej, tylko właśnie poprzez filmy.

– A filmów, które pokazują seks, jest coraz mniej. My w latach 90. miałyśmy choćby pamiętne thrillery erotyczne jak „9 i pół tygodnia” czy „Nagi Instytnk”, które rozbudzały wyobraźnię. Dziś sceny seksualne – jak wynika z bazy IMDB – zamieszczane są w zaledwie 1% filmów mainstreamowych (dane od 2010 roku). Kino z nich rezygnuje, bo chce się dobrze sprzedawać, a kategorie wiekowe przekładają się na wyniki box office’u. Niby stajemy się coraz bardziej liberalni, a jednocześnie kwitnie nowy purytyzm.

W głównym nurcie nawet erotyka jest zbyt kontrowersyjna, co widać w polityce największych platform społecznościowych, zakazujących pokazywania choćby kobiecych sutków na Instagramie. Dlatego młodzież zwraca się ku pornografii. Zresztą jaka młodzież? Dzisiaj średni wiek kontaktu z pornografią to 10 lat – więc dzieci oglądając krótkie filmiki na Xvideos wyobrażają sobie, że tak wygląda scenariusz sceny miłosnej.

We mnie to by wzbudziło przerażenie – bo jak mówisz: teraz na porno muszą być cztery osoby i aligator.

łu głowy obawy, że komuś na planie dzieje się krzywdą.

Pornografia może też nieść ważne postulaty społeczne czy polityczne, wykorzystywać ciało i jego energię jako podstawę oporu wobec zastanego porządku czy źródło zmian – tym właśnie jest postpornografia, czyli krytyczny wobec mainstreamowej pornografii nurt, który nie boi się pokazywania ciała w całej jego różnorodności i pięknie.

Ale gdy gdziekolwiek wspominam o tych alternatywnych nurtach, ludzie zazwyczaj pytają: „a gdzie znaleźć te filmy?”. I nic dziwnego: pornogiganci mają taki kapitał na promowanie swoich treści, że znalezienie rzeczy alternatywnych, niszowych, wydawanych przez jakieś małe europejskie firmy jest supertrudne. W dodatku są to treści płatne, które zarabiają na sobie, a nie na powiązanych, szemranych interesach. Bo kiedy oglądamy pornografię darmową, warto się zastanowić, kto płaci za to, co oglądamy.

Kto?

– Przede wszystkim osoby, które oglądamy – to one płacą najwyższą cenę, nie tylko w związku z tym, że nie dostają wynagrodzenia za film, który bez ich zgody znalazł się w sieci. W 2020 roku śledztwo „New York Timesa” pokazało, że na Pornhubie jest bardzo dużo pornografii pirackiej i np. „revenge porn”, czyli prywatne filmy zamieszczane online w akcie zemsty.

W „NYT” opowiedziano historię konkretnej dziewczyny, która jako czternastolatka została nagrana przez swojego chłopaka w trakcie seksu. Po rozstaniu to nagranie znalazło się na Pornhubie i zniszczyło jej życie. Dopiero nagłośnienie sprawy przez media i ryzyko wycofania się z pośredniczenia w płatnościach na Pornhubie takich firm jak Visa czy Mastercard sprawiło, że portal musiał usunąć materiały, do których nie miał praw lub pewności, że są konsensualne.

Ile tego było?

– Z 12 milionów filmów, które w 2020 r. miał na serwisie, Pornhub usunął 9 milionów. Dwie trzecie! Do niedawna tak działały i inne tuby – jak YouPorn, RedTube – zgodnie z Digital Millennium Copyright Act nie ponosiły odpowiedzialności za treści wrzucane przez użytkowników. Mogły usunąć je na wyraźne życzenie, ale to, co raz dostało się do sieci, zwykle tam zostawało, bo serwisy nie odpowiadały za to, co publiczność generuje. Właśnie na tych praktykach zbudowano pornoimperia.

To na jakiej zasadzie możemy oglądać video darmowo?

– To nie są przejrzyste modele biznesowe i w zasadzie niewiele wiemy, jak funkcjonują. Popatrz na historię Pornhuba. Za jego sukcesem stoi Fabian Thylmann – internetowy nerd i inwestor z Brukseli – który pod koniec XX wieku opracował program do śledzenia ruchu i liczenia prowizji na stronach pornograficznych, dzięki czemu wcześniej zorientował się, z jak wielkim rynkiem ma do czynienia.

Dzięki wykształceniu, śmiałości, a także znajomości chaotycznego wówczas rynku porno mógł przekonać inwestorów z Wall Street, że zarządzana przez niego firma nie jest jakimś brudnym biznesem, ale firmą technologiczną. Pozyskał ogromne kwoty na wykupienie kolejnych dużych stron pornograficznych jak również studiów produkcyjnych, a de facto zmonopolizował branżę.

W 2012 roku, 80% ludzi oglądających porno online, używało jednej ze stron należących do Thylmanna. Im PornHub – i inne strony partnerskie – stawał się większy, tym bardziej zmieniał branżę dla dorosłych. Uależniał (a często i wykupywał jak Brazzers) profesjonalne studia, a także tysiące innych mniejszych stron, które promowały się na Pornhubie.

To producenci, dystrybutorzy mniejsze strony, performerzy i performerki, a także anonimowi twórcy, których treści znalazły się w internecie, tak naprawdę płacą za darmowe porno. Ale płacimy też my. Bo skut-

kiem ubocznym tej darmowości i dostępności stała się potrzeba intensyfikacji bodźców, zapewniająca klikalność.

Myślę, że znów coś schrzaniliśmy: z czegoś, co mogło być piękne, o intymności, edukacji i inspiracji – zrobiliśmy obrzydliwy, mieszący ludziom w głowach i krzywdzący interes.

– Użyjmy metafory żywieniowej: w rzeczywistości, w której rządzą fast foody, żywność, która powstaje w minutę, kosztuje mało, ale obiecuje dużą porcję i dużo kalorii, trudno rozsmakować się w innej kuchni. Restauracje, które wkładają w jedzenie wysiłek, czas, dbają o lokalne składniki, szukają oryginalnych smaków i kosztują stosownie do włożonego wysiłku, mają niewielkie szanse przy takiej konkurencji. Zwłaszcza, że gust trzeba budować, rozwijać, testować, otwierać na różnorodność.

To samo jest w literaturze, królują pulpowe wytwory w rodzaju „50 twarzy Graya” czy jego klony. Idziemy w clickbajty, kontrolersje, pozorne transgresje.

A teraz będziemy mieli hiperpersonalizację pornografii: będziemy mówili sztucznej inteligencji czego chcemy a ona będzie tworzyć pod nas treści. Mogłoby to znów być szansą na różnorodność, rozwinięcie wyobraźni. Tymczasem, skoro sami nakarmieni jesteśmy ustandaryzowanym porno i nie szukamy tego, co tak

naprawdę mogłoby nas kręcić... A jeśli AI nakarmi się Pornhubem...

– Wydaje mi się, że hiperpersonalizacja for-sowana przez globalny rynek jest tylko fasadą. Daje złudzenie wyboru, gdy szukamy jakiegoś produktu, bo w wyszukiwarce znajdujemy tysiące propozycji.

Dajmy na to, że szukasz nowych butów do joggingu, wydaje się, że masz nieskończenie wiele opcji, ale jak wyjdiesz sobie pobiegać, to po drodze miniesz trzy osoby dokładnie w tych samych butach. Podobnie jest w przypadku każdego wyboru podsuwanego przez rynek: algorytmy działają tak, że proponują produkt, który jest najmocniej promowany.

Analizując mechanizmy działania sztucznej inteligencji dużych modeli językowych jak ChatGPT nie widzę tam przestrzeni na idiomatyczność, na indywidualność. Widzę po prostu model statystyczny wyniesiony do jakiejś niesamowitej potęgi, nakarmiony miliardami danych, ale wyciągający jednak przeciętną odpowiedź. Możemy oczywiście próbować nadawać naszym AI lekkie posmaczek inności, ale to jest tylko pozorne, bo jeśli dane treningowe tych modeli bazują tylko na dominującym obrazie seksualności, jaki jest powszechny w internecie, to trudno by AI zaoferowało jakiś wybujały erotyzm.

A sekslalki? Czyżby ten trend dotarł już nad Wisłę?

– Byłam przekonana, że jest to temat związany przede wszystkim z kulturą Japonii czy Korei Południowej. Aż pewnego dnia, szukając materiałów do kolejnej książki, trafiłam na użytkowników jednego z pierwszych forów seksualnych w polskim Internecie – a wśród nich na pana dzisiaj już sześćdziesięcioparoletniego. Na moje pytanie o swoją seksualność dzisiaj odpowiedział, że „on to kobiet ma dosyć i teraz żyje z seksualną androidką”.

Okazało się, że mieszka pod Warszawą w małej wioseczce i właśnie tam sprowa-

dził sobie takiego robota, zamówionego na stronie chińskiego producenta. Co więcej, nie robi z tego tajemnicy, bo wszyscy w jego otoczeniu – w tym syn, była żona czy pani z lokalnego sklepu – o tym wiedzą i na swój sposób akceptują. Zafascynowało mnie to, że wbrew hipotezie niesamowitości, taki seksrobot nie jest odrzucający. Wprost przeciwnie – wydaje się ciekawą odpowiedzią na ludzkie niedostatki i bolączki.

Już malarz Oskar Kokoschka na początku XX wieku zamówił sobie „kopię” kochanki, która go porzuciła – Almy Mahler. Taką starannie wykonaną naturalnych rozmiarów lalkę,

wykonaną wedle ścisłych wskazówek przez rzemieślniczkę.

I co?

– Legenda głosi, że cała była pokryta jakimś dziwnym futrem i przypominała bardziej niedźwiedzia niż najbardziej pożądaną kobietę ówczesnego Wiednia, więc zdekapitowana lalka szybko wylądowała w ogródku.

Dziś wydawałoby się, że nie mielibyśmy już takiego problemu, przy tym zaawansowaniu technologicznym możemy sobie zaprojektować wszystko – dowolne ciało ze snów czy nawet coś zupełnie odjechanego np. jakiegoś wielkiego żmijo-meduzo-gołbio-konia. Natomiast jak się przejrzy oferty firm, znów wkrada się ten sam pornograficzny schemat. Firmy, które produkują syntetyczne lalki z jednej strony dysponują

Na Pornhubie jest dużo pornografii pirackiej i np. „revenge porn”, czyli prywatne filmy zamieszczane online w akcie zemsty

już technologią, która czyni je momentami nieodróżnialnymi od człowieka, natomiast z drugiej strony wzorce, wedle których te lalki są robione, są po prostu żywcem wzięte z pornografii i jej hiperseksualnych kanonów ciała. Możesz sobie zamówić niebieską istotę z „Awatara”, ale musisz za to zapłacić dziesięciokrotnie więcej, a te lalki w wersji podstawowej potrafią kosztować od kilkunastu do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Znow globalny rynek podsuwa nam nowszą wersję tego samego.

Czy to oznacza, że my naprawdę tego chcemy? Czy trenowani jesteśmy pod to, żeby chcieć ciągle to samo?

– Jedną z bohaterek mojej książki, polska artystka mieszkającą w Los Angeles, pewnego razu wpadła na pomysł, że wyrwie sekslalki ze stanu uprzedmiotowienia i wyzysku, że je wyemancypuje. Kupiła więc seksrobotą nie po to, by go używać, ale by nadać mu jakąś autonomię. Jednak już od samego początku pojawiły się problemy. Nie mogła wybrać ciała, które by miało na przykład mały biust, bo automatycznie było powiązane z małym rozmiarem całości...

Czyli ...

– ...jak zamówisz lalkę z małym biustem, to dostaniesz produkt wielkości dziecka. Nie mogła też wybrać wersji z krótkimi włosami, bo takich producent nie przewidywał. Nie mogła dobrze koloru silikonu, który byłby zbliżony do niej samej, bo do dyspozycji miała porcelanowo „biały”, „żółty” i „czarny”. Wreszcie jak zaczęła rozmawiać z androidką, licząc, że mechanizmy uczenia maszynowego pozwolą nauczyć ją feminizmu, praw kobiet i możliwości odmowy, okazało się, że co roku firma odgórnie kasuje pamięć wszystkich robotów.

Więc pomimo, że włożyła masę wysiłku w szkolenie robocicy, po roku ta znów wróciła do ustawień fabrycznych, stała się tabuła rasa. Z perspektywy biznesu nie oplaca

się przechowywanie danych pamięciowych wszystkich produktów, tak jak i nie oplaca się dostosowywanie oferty do indywidualnych potrzeb. Bardziej niż „rozprzestrzeniać Erosa” w rozumieniu Herberta Marcusego, oplaca się stworzenie modelu spod jednej sztancy, czy po prostu dziesięć przykładowych ciał i obudowanie tego odpowiedzialną retoryką marketingową, tak by wybór był oczywisty.

Większy zysk przynosi inwestycja w algorytmy, marketing i wszystkie inne działania, które cię przekonają, że ty sama wolisz to jedno określone ciało czy jeden określony typ filmu. Dostosowanie się do użytkowników, próbowanie zrozumienia ich potrzeb i projektowanie pod ich gusta to mrzonka. Po prostu model fabryki Forda rządzi do tej pory.

To co aktualnie porno mówi o nas?

– Moim zdaniem mówi, że jesteśmy łatwi, wygodni i że nie stawiamy oporu. Że nie domagamy się czegoś więcej, nie zadajemy pytań, nie kwestionujemy najprostszych odpowiedzi – lykamy to, co jest tanie i dostępne.

A może to odwieczny wstyd powoduje, że nie sięgamy po inny produkt, bo najpierw trzeba mówić o seksie, żeby żądać w nim czegoś? Może nowy purytanizm jest tu też ważnym kontekstem?

– A może tego innego nie potrafimy już sobie nawet wyobrazić? ●

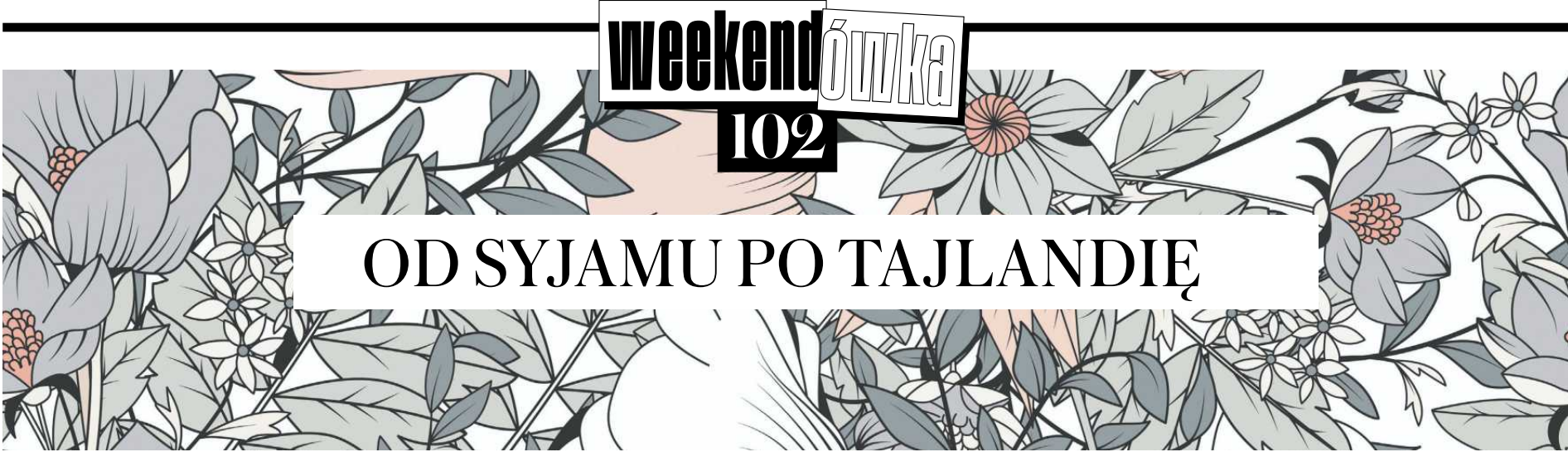
Polecenia pornograficzne od dr Ewy Stusińskiej

- Twórcy/twórczynie filmowi:
- kolektyw FourChambers, film „Narcissism” (2022)
- Toni Karat, „Takie lato” (2022) Denis Côté
- Literatura:
- „Rozkosz” (2024) Caro Bukowski,
- „Octopussy” (2023) Agnieszki Szpili;
- „Klub rozkoszy. Kartografia przyjemności” (2022) Jüne Plä
- Wydarzenie: Post P_rn Arts Fest – 5-9.06.2024, Kinoteka, Warszawa



Dr Ewa Stusińska

• doktor nauk humanistycznych. Studiowała filologię polską i psychologię. Publikowała m.in. w „Dwutygodniku”, „Twórczości”, „Kulturze Liberalnej”, „Res Publice Nowej”. W 2018 roku ukazał się jej doktorat „Dzieje grzechu. Dyskurs pornograficzny w polskiej prozie XX wieku”, a w 2021 roku książka „Miła robótka. Polskie świerszczyki, harlekiny i porno z satelity” (dostępna na stronie wydawnictwa Czarne i w formie cyfrowej na Publio.pl). Jest współzałożycielką magazynu „Nowa Orgia Myśli”. Prowadzi stronę i fanpage porno-grafia.pl. Interesuje się zjawiskami wykluczonymi przez dyskurs publiczny i przyznaje do zainteresowania pornografią wedle zasady: „W sercu mieć dobro, a w głowie – trochę dziokiego porno”. Obecnie pracuje nad książką dotyczącą seksrobotów.



Jedenastego maja 1949 roku Radio Bangkok podało, że od tego dnia kraj zwany Syjmem będzie nosić oficjalną nazwę: Tajlandia. W ciągu ostatniego dziesięciolecia, co ciekawe, była to już druga taka zmiany nazwy – poprzednie przemianowanie Syjmu na Tajlandię nastąpiło 24 lipca 1939 roku, za sprawą Phibuna Songkhrama, zwanego przez Tajów Marszałkiem P. (prawdziwe pełne imię i nazwisko to Plaek Phibunsongkhram), premiera rządu. Umyślił on, że Tajlandia, czyli kraj Tajów będzie bardziej adekwatnym określeniem, forsował bowiem dla swojej ojczyzny kurs nacjonalistyczny, przeciwstawiający się wpływom chińskim oraz francuskim.

Określenie „Thai” w języku tajskim znaczy „wolny człowiek”, ale przez niektóre plemiona zamieszkujące obszar kraju używane też było jako „ludzie”. Słowo „Siam” z kolei mogło pochodzić z języka chińskiego, bowiem Chińczycy określali te ziemie jako „Xian”, tak też zwalo mieszkańców tych terenów plemię Khmerów. Tajowie określali swój kraj jako „mueang Thai” (co można by luźno tłumaczyć jako miasto Thai albo region Thai), ale w użyciu było też słowo „siam” i takie też określenie zaczęli stosować wobec terytorium przybyli tu w XVI w. Europejczycy.

Określenie Siam, czyli Syjam sformalizował ostatecznie król Mongkut (Rama IV) – ten z powieści „Anna i król Syjamu” Margaret Landon - pieczętując oficjalne pisma tytułem Mongkut Rex Siamensium.

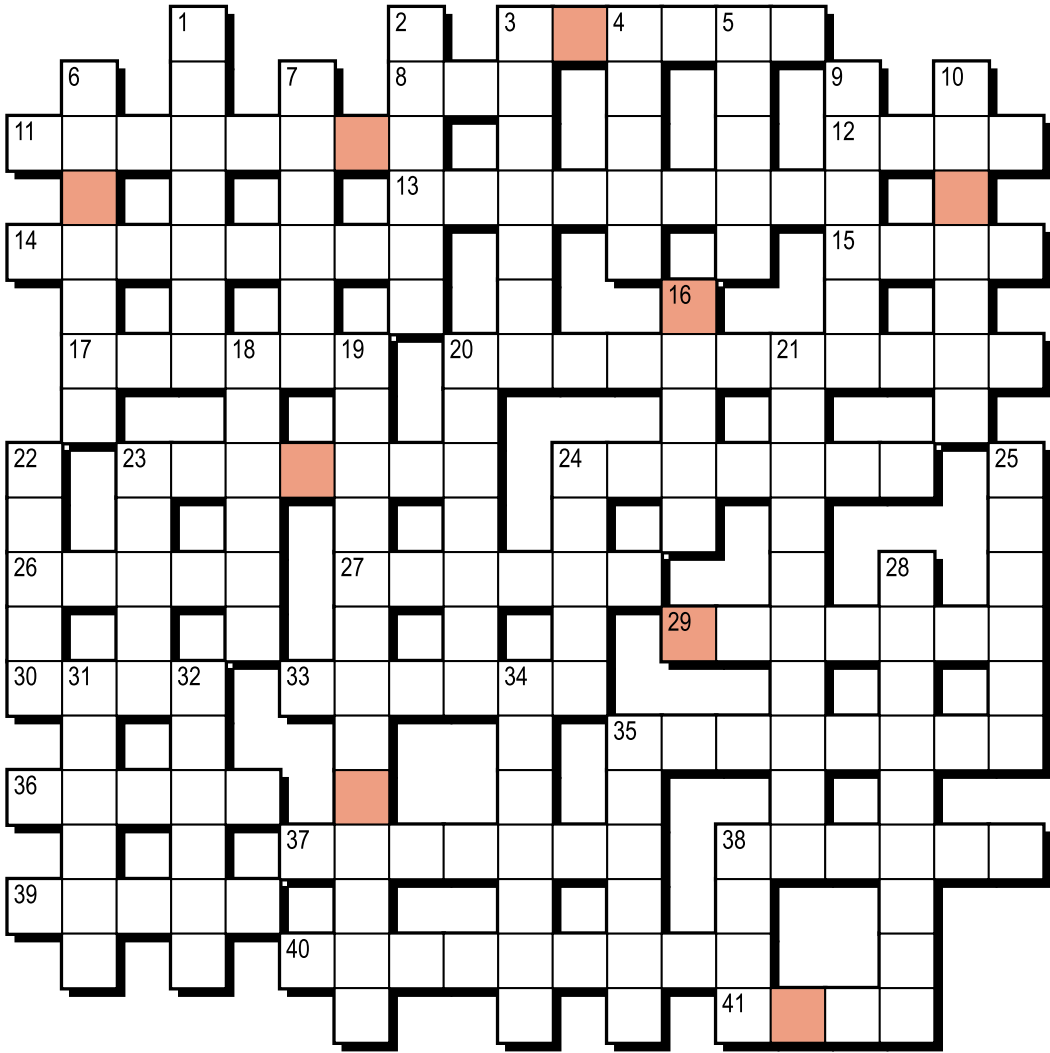
Zerwał z tym właśnie wspomniany Marszałek P. w 1939 roku, ale jako że Tajlandia w okresie II wojny światowej sympatyzowała z imperialistyczną Japonią, kiedy potęga tejże w starciu z USA chylić się zaczęła ku upadkowi, rząd Phibuna upadł. 7 września 1945 roku, zaraz po kapitulacji Japonii, ogłoszono, że wraca nazwa Syjam, jako że Tajlandia mogła być kojarzona z pobitą koalicją Państw Osi.

Ale powojenny kryzys sprawił, że nowy rząd Syjamu się nie utrzymał. Do głosu ponownie doszedł Plaek Phibunsongkhram, który przywrócił anty-chiński kurs, a niedługo później znów zmienił Syjam w Tajlandię.

Wprawdzie pojawiają się od czasu do czasu petycje, choćby miejscowych historyków, by wrócić do dawnej nazwy kraju, ale jak na razie Tajlandia wciąż pozostaje Tajlandią, a Syjam, cóż – został nieco zapomniany.

Dlatego dziś, w rocznicę drugiej zmiany nazwy, przypominamy historię Syjamu, a „Weekendówkę” poświęcamy wszelkim dawnym określeniom i słowom, dziś rzadziej już używanym, ale wciąż gdzieś przecieć obecnym.

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki” nr 101
z 4.05:

Poziomo:
4) Brad 7) Pandora
11) malware 12) gen
13) firewall 14) skopiowanie
15) pluskwa 17) Cook
18) trojan 19) Iron Maiden
22) Pegaz 26) konto
27) izolacja 29) lód 30)
Chimera 32) aids 33) media
34) kaseta 35) Graham
37) zakaz 39) pliki 40) kryzys
41) Podsiadło

Pionowo:
1) hakerstwo 2) odra
3) James Bond 4) Bullock
5) awaria 6) login 8) serwer
9) Inferno 10) Will Smith 16)
wtamianie 20) izolacja 21)
epidemia 22) ptasia grypa
23) ataki 24) covid
25) tożsamość 28) phishing
31) Matrix 34) kappa
36) hasło 38) komp

HASŁO:
KWARANTANNA

SŁÓWKA Z LAMUSA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) gniew, uraza, zawziętość
8) dawna nazwa Tokio
11) fryzjer, który parął się także felcerstwem
12) żak dopiero co przyjęty na uczelnię; nowicjusz
13) przybory niezbędne do pracy
14) maszyna dla awiatora
15) słoma z wymłóconego zboża
17) dawniej o kawalerzystach
20) żartobliwie o potajance lub dawny

typ dźwigu osobowego (winda perełkowa)
23) niewielka sypialnia zwykle w bocznej części domu, dworku
24) przedsiónek kościoła
26) chwyt, zuch, zawadiaka
27) przestarzałe o szkole
29) rozmowa na temat zawarcia małżeństwa, prowadzona przez dziewczę (swata) z panną i jej rodzicami
30) przestarzałe: nauczyciel tańca, muzyki
33) dawniej o owocach (także w przenośni o owocach pracy)
35) hodowali pszczoły w pniach drzew

36) dawna nazwa Eswatini
37) dawny typ gramofonu
38) wielki ..., podskarbi zakonu krzyżackiego
39) trąd
40) jego nauczycielem był lanista
41) kłody, w które zakuwano ręce i nogi więźnia (średniowieczne narzędzie kary)
Pionowo:
1) paryski ulicznik
2) dawniej o mordercach, zabójcach
3) dawna nazwa Zimbabwe
4) dawna nazwa Malawi
5) drobne monety w starożytnej Grecji

6) anegdotki, dykteryjki, koncepty
7) dawna nazwa Sri Lanki
9) prymitywny przyrząd do liczenia, pierwowzór liczydła
10) dawna nazwa Beninu
16) przestarzałe: odrzucenie oświadczyń (dać ...)
18) wywar leczniczy z ziół
19) dawniej i żartobliwie o spodniach lub kałesonach
20) duże sito z większymi otworami do oczyszczania ziarna
21) dawniej: ubrania, sprzęty domowe itp.
22) dawna nazwa Tajlandii
23) krewny w linii męskiej

24) woreczek na pieniądze; sakiewka, kiesa, trzos
25) małe, niepozorne konie
28) ludzie bez większych aspiracji, ograniczeni i małostkowi; drobnomieszczenie
31) starać się o rękę ukochanej; adorator, konkurent
32) przestarzałe o salonie fryzjerskim
34) błazen, wesolek
35) skazany na karę wygnania, wypędzenia z ojczyzny
38) dawny krótki miecz

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976

WSPRZEDAŻY
wysokieobcasy
extra



TEMAT NUMERU:
Sekrety rodzinne, czyli o czym nie rozmawia się w domu

CO ONA ROBI Z PIENIĘDZMI:
Czy inwestycje są dla kobiet?